

JAK WYJŚĆ Z ZAPAŚCI?
PODATKOWE POMYSŁY PiS UJAWNIA PROF. MARIUSZ ANDRZEJEWSKI



TAŚMY PEŁCZYŃSKIEJ-NAŁĘCZ: MINISTER O PRZEMOCY, KŁAMSTWACH I BEZPRAWIU EKIPY TUSKA

RZĄD OSZCZĘDZA NA NAJSŁABSZYCH, TERAZ CHCE UDERZYĆ W NIEPEŁNOSPRAWNYCH



GODŁO NA ŚMIETNIKU, CZYLI SYMBOL UPADKU III RP

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
45 (727) 2026
2–8 listopada 2026
CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

KIM PAN JEST, PANIE BEREK?

ZAWSZE BLISKO DONALDA TUSKA. ZAWSZE W CIENIU. TERAZ MA SPACYFIKOWAĆ TRYBUNAŁ KONSTYTUCYJNY, ALE MOŻE SIĘ POTKNĄĆ

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694 45
9 772544 269601
Numer w sprzedaży do 9 XI 2026 r.

eprasa.pl

NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Wybierz swój Paczkomat®
i czytaj SIECI
już w poniedziałek



Zyskujesz też możliwość czytania SIECI na telefonie



- **dostawa już w poniedziałek** przez Paczkomat®
- dodatkowo **dostęp do e-prenumeraty** SIECI i e-booków Sieci Extra niedostępnych dla innych czytelników
- **cena niższa niż w kiosku** – tylko 9,39 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)
- opcja zmiany na inny Paczkomat® (np. na czas urlopu)
- darmowa dostawa

Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!

prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl a3944fb8dc

Cała prawda o kłamstwach Tuska

Z nagrań z wewnętrznych spotkań polityków i sympatyków Polski 2050, które ujawniliśmy w telewizji wPolsce24, wynika dobitnie, że każdy, kto chce robić politykę z Donaldem Tuskiem po partnersku, może być pewien, że to się nie uda. Że albo da się podporządkować w stopniu maksymalnie służalczym, albo go pożrą, przemielą, wyplują i oplują.

Gdy usłyszałem, jak Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz na tajnym spotkaniu mówi o swoich pretensjach, że jej polityczna grupa poparła kandydaturę Macieja Berka (mimo oczywistych braków formalnych) na sędziego Trybunału Konstytucyjnego, pomyślałem sobie, że to całkiem zgrabna samokrytyka. Była już przewodnicząca Polski 2050 nie powiedziała co prawda nic nowego, bo o przeszkodach w tym wyborze trąbi pół sceny politycznej i ten bardziej rozsądny komentariat. Ale jednak usłyszeć od konstytucyjnego ministra, że rządowa koalicja ma w nosie prawo, że liczy się wepchnięcie „swojego sędziego" do TK po to, by przejąć tę instytucję... Ma to swoją wagę. Warto ten wątek zanotować, to apel do prokuratorów, którzy kiedyś, w uczciwej Polsce, wezmą się za prostowanie zwichrowanego przez Tuska porządku prawnego.

Ze środowiska marginalnej dzisiaj partii usłyszeliśmy dosyć rytualny komentarz, który próbował przekierować naszą uwagę z treści nagrań na sposób ich pozyskania. „Potajemne nagrywanie wewnętrznych spotkań członków ugrupowania narusza standardy, jakich oczekujemy w życiu publicznym" – to brutalna samokrytyka. Nagranie wyszło przecież z wewnętrznego spotkania ludzi, którzy obiecali Polakom inną, nową jakość w polityce. Którzy do dzisiaj klepią, że liczą się idee, a nie stołki. To mowa publiczna, za kulisami jest coś kompletnie odwrotnego. Może dlatego tak bardzo oburza ich fakt nagrania i upublicznienia ich prawdziwego sposobu myślenia.

Szymon Hołownia – przypomnę, to ten, który miał wdeptywać w ziemię Putina – okazuje się politykiem dbającym tylko o stołki, choć zastrzega, że tego słowa nie używa. Pytany przez działaczy, co z postulatem „odplatformienia mediów publicznych", bezradnie rozkłada ręce i biadoli, że takie postawienie się kierownikowi wiązałoby się nieuchronnie z zabraniem ministerialnych i wiceministerialnych posad: „Jesteś gotów, żeby złożyć ofiarę ze stanowiska [...] Kasi Nowakowskiej, Michała Gramatyki, Marty Cienkowskiej, innych?". I to – szanowni czytelnicy – nie narusza żadnych standardów.

Taśmy Polski 2050, które usłyszeli widzowie telewizji wPolsce24, to wcale nie jest opowieść o tej marginalnej partyjce. Jej już właściwie nie ma. Bez lupy nie wypatrzysz ich w sondażach. Z nagrań można się natomiast dowiedzieć, dlaczego tak się stało i dlaczego Trzecia Droga była oszustwem Tuska, wykonanym rękami Hołowni, Pełczyńskiej-Nałęcz i innych. To opowieść o całej koalicji 13 grudnia, która szła do władzy, oskarżając Zjednoczoną Prawicę o nieuczciwość i złodziejstwo, a prezesa Jarosława Kaczyńskiego o dyktatorskie zapędy. Nawet po przejęciu władzy nominaci Tuska tracą energię głównie na „rozliczenia". Z kolejnych zatrzymań i aresztowań ma wynikać pewna polityczna prawidłowość: jeśli próbowałeś cokolwiek robić z PiS, jeśli byłeś w węższym lub szerszym aktywie pracującym dla Polaków z nadania Zjednoczonej Prawicy, wykończymy cię.

Z rozpaczy Polski 2050 wyłania się natomiast obraz Tuska „przemocowca", którego pójście na rympał, rządzenie pałą i uchwałą jest po prostu sposobem na polityczne życie. I to zarówno wobec innych, jak i wobec „swoich" – piszę celowo w cudzysłowie, bo gołym okiem widać, że poza wąskim gronem kierownik nikogo nie traktuje podmiotowo. Najpierw kłamiąc, wabi i winduje do dużej polityki, ale gdy nie widzi bezmyślnej lojalności, przeżuwa i wypluwa. Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz i Szymon Hołownia dobrze to już wiedzą, ale przyznają tylko na zamkniętych spotkaniach, nigdy publicznie. Dlatego zdecydowaliśmy się pokazać taśmy Polski 2050 w telewizji wPolsce24.

Marcin Wikło



Autopromocja

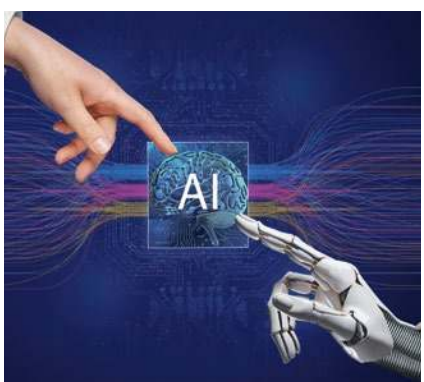
eprasa.pl a3944fb8dc

SIECI

spis treści



38 Lex Kaligula
Maciej Pawlicki



40 Człowiek i ponadludzkie moce AI
Maciej Walaszczyk



49 Brazylijskie wybory wygrywa Rosja
Dariusz Matuszak

NA POCZĄTEK

5 **JAK DŁUGO JESZCZE?**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **GORZEJ NIŻ RYNSZTOK**
Dorota Łosiewicz

9 **RUDY I BRUDY**
MuMa

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **RACHUNKU NIE DA SIĘ ZAGADAĆ**
Daniel Obajtek

13 **SPOTKAJMY SIĘ W WARSZAWIE 11 LISTOPADA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA TOMASZA CIECHOMSKIEGO**
Michał Korsun

16 **NOWA TWARZ DO FIRMOWANIA PORAŻEK…**
Arkadiusz Mularczyk

17 **A ONI WCIĄŻ SIEDZĄ ZA STODOŁĄ**
Samuel Pereira

18 **WARSZAWO, TY MOJA WARSZAWO**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

19 **CONSIGLIERE TUSKA**
Piotr Gursztyn

KRAJ

23 **JAK ZACHĘCIĆ PRZEDSIĘBIORCÓW DO INWESTYCJI**
Z dr. hab. Mariuszem Andrzejewskim rozmawia Jerzy Szmit

27 **WYROK NA PEŁCZYŃSKĄ-NAŁĘCZ**
Stanisław Janecki

30 **PRAWICOWY PROLETARIUSZ**
Konrad Kołodziejski

33 **RZĄD OSZCZĘDZA NA NAJSŁABSZYCH**
Dorota Łosiewicz

36 **GODŁO NA ŚMIETNIKU, CZYLI SYMBOL UPADKU III RP**
Marzena Nykiel

OPINIE

38 **LEX KALIGULA**
Maciej Pawlicki

40 **CZŁOWIEK I PONADLUDZKIE MOCE AI**
Maciej Walaszczyk

43 **ZDRAJCY WEWNĘTRZNI – PRAWDZIWI INSPIRATORZY ROZBIORÓW POLSKI. CZY TO WCIĄŻ AKTUALNE ZAGROŻENIE?**
Oskar Szafarowicz

ŚWIAT

46 **MILCZENIE EUROPEJSKIEJ „WIELKIEJ TRÓJKI”**
Marek Budzisz

49 **BRAZYLIJSKIE WYBORY WYGRYWA ROSJA**
Dariusz Matuszak

52 **SERBIA NA DŁUGIEJ DRODZE DO DEMOKRACJI**
Goran Andrijanić

HISTORIA

54 **KORONA ZA WSZELKĄ CENĘ. WALKA O POLSKI TRON PO ŚMIERCI KAZIMIERZA WIELKIEGO**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

57 **OJCIEC I SYN NA ZAKRĘCIE**
Jolanta Gajda-Zadworna

60 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

62 **SEKRETY SANTIAGO DE COMPOSTELA**
Grzegorz Górny

NATURA DLA LUDZI

64 **TAJEMNICE WRZOSOWISK**
Przemysław Barszcz

PODRÓŻE

66 **MOJE SZLAKI: FRÉD I ADAM**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

67 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

68 **OGRÓD KONCENTRACYJNY**
Robert Tekieli

70 **ŻYĆ BEZPIECZNIE CZY RZĄDZIĆ WYGODNIE? DYKTATURA SMART CITY**
Joanna Formela

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **NIE WYGRALI, BO SĄ... POLAKAMI**
Ryszard Czarnecki

74 **PAŃSTWO JAKOŚ DZIAŁA**
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl a3944fb8dc

BRONISŁAW WILDSTEIN

Jak długo jeszcze?

Co może łączyć odejście z rządu Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz i referendum w Częstochowie? Czy można potraktować je jako symptomy załamywania się koalicji 13 grudnia, a szerzej reprezentacji politycznej establishmentu III RP?

Frekwencja w Częstochowie zdecydowanie przekroczyła wymaganą. 97 proc. uczestników referendum głosowało za odwołaniem prezydenta Krzysztofa Matyjaszczyka, a ponad 96 proc. za dymisją rady miasta, w której rządziły wspólnie Nowa Lewica i Koalicja Obywatelska. Matyjaszczyk, prezydent miasta od 2010 r., od ośmiu miesięcy był zawieszony w obowiązkach z powodu zarzutów korupcyjnych. Sprawa dotyczy ponad 20 osób, m.in. wicemarszałka województwa śląskiego z KO, a także dwóch radnych (z Lewicy i KO).

Wcześniej w Krakowie został odwołany prezydent z KO, a zwyciężył niezależny kandydat Łukasz Gibała. W ub.r. odwołano prezydent Zabrza reprezentującą rządzącą partię i zastąpił ją niezależny kandydat. Prawdopodobne jest referendum w Gliwicach, które wysadziłoby ze stołka żonę Borysa Budki. Trzy czwarte mieszkańców Poznania deklaruje, że zagłosowałoby przeciw obecnemu prezydentowi z KO. I to w mieście, które stanowi bastion tego ugrupowania.

Wcześniejsze próby zmian w większych miastach, w których rządzą dobrze osadzone grupy mniej lub bardziej oficjalnie związane z obecną władzą, kończyły się niepowodzeniem. Ostatnią taką porażką była próba referendum w Warszawie. Czy mieszkańcy dużych polskich miast rozczarowani rządami Donalda Tuska i działaniami powiązanych z obecną władzą samorządów, czyli korupcją, nieudolnością i upartyjnieniem wszystkiego, zaczynają zdejmować ideologiczne okulary? Wprawdzie nie głosują na przedstawicieli prawicy, ale na niezależnych już owszem. Wygląda to na symptom szerszych zmian.

Pełczyńska-Nałęcz odeszła z rządu, uzasadniając to tym, że wartości ceni bardziej niż stołek. Fakt, że decyzję podjęła w momencie, w którym Tusk ogłosił, iż stanowisko wicepremiera, o które ubiegała się polityk Polski 2050, dostanie Andrzej Domański, odbiera wiarygodność tym deklaracjom. Inna sprawa, że awans dla ministra, którego jedynym sukcesem jest zadłużanie na potęgę kraju i który deklaruje, że do polityki poszedł, aby wsadzać do więzienia swoich przeciwników, nawet u radykalnego zwolennika rządu powinien wzbudzić wątpliwości.

Pani minister ogłosiła, że odchodzi, ponieważ większość jej partyjnych towarzyszy wbrew popieranemu wcześniej programowi głosowała za zniesieniem kadencyjności w samorządach. Można się zgodzić, że to kolejny znak degrengolady Polski 2050, ale tym razem kadencyjność została obroniona. Nie było zatem powodu do tak radykalnej reakcji, zwłaszcza że wcześniej Pełczyńska-Nałęcz potrafiła się godzić ze skutecznym łamaniem wszystkich ogłaszanych przez koalicję 13 grudnia zasad. Ale też jedynej z rządu zdarzało się jej dystansować do niektórych jego działań.

Nie oczekujmy, że jej odejście, na które już od dawna naciskał premier, i to w dość obcesowy sposób, wywoła jakieś poważniejsze poruszenie w jej partii. Niemniej słowa minister: „Myśmy wołali, że trzeba [Trybunał Konstytucyjny – przyp. red.] odpolitycznić, a tymczasem sami wprowadziliśmy tam polityka", a szczególnie wskazanie, że Maciej Berek nie spełnia prawnych warunków do zasiadania w TK, powinno spowodować wstrząs. Dowodzi bowiem, że wbrew temu, co głoszą „symetryści" (medialna propaganda rządu nie widzi naturalnie żadnego problemu), nie o żaden „spór kompetencyjny" chodzi, ale o złamanie prawnych reguł i prezydentowi po prostu nie wolno się było zgodzić na zaprzysiężenie prawej ręki Tuska. Okazuje się, że sprawa jest oczywista nawet dla członków jego rządu, chociaż po prostu lekceważą ją sobie jak wszelkie inne normy prawne.

Czytelnik mógł zauważyć, że nie jestem apologetą Pełczyńskiej-Nałęcz, niemniej chciałbym podkreślić różnicę między nią a Szymonem Hołownią. Ten w przeciwieństwie do partyjnej koleżanki dla utrzymania jakiegokolwiek stanowiska gotów jest nie tylko znosić wszystkie upokorzenia ze strony premiera, lecz także sygnować wszelkie dokonywane przez niego draństwa. Mimo to ma on wielką zasługę dla Polski, czyli zaprzysiężenie prezydenta Nawrockiego, co zapobiegło planowanemu przez premiera zamachowi stanu. Wszystko wskazuje wprawdzie, że uczynił to powodowany strachem przed konsekwencjami puczu, który przekroczył jego rutynowy lęk przed Tuskiem, ale nie należy wytaczać procesu intencjom.

Dominujące media nie zauważają nagrania Pełczyńskiej-Nałęcz, czyli faktu, że rząd ma świadomość łamania prawa i zupełnie się z tym nie liczy. W zdrowej demokracji byłby to wystarczający powód do odwołania go i przedterminowych wyborów. W III RP władza szykuje się do skoku na bank narodowy i przejęcie TK.

Jak długo jeszcze?



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a3944fb8dc



Sygnalista nadaje

Jest nowa bohaterka strony demokratycznej: pani Natasza z Gdańska. To kolejna wspaniała postać obok Jacka Murańskiego – postaci znanej. Obok Ani Kanigowskiej (teraz Anna K., bo kryptoziobryści z pisowskiego dipstejtu uwięzili ją w zakładzie karnym pod zarzutem oszustwa i fałszowania dokumentów). Patrzcie i podziwiajcie, ale nie sugerujcie się zdjęciami pani Nataszy z internetu. Są już trochę nieaktualne, gdyż upływ czasu jest nieubłagany. Nawet dla strony demokratycznej, która wierzy w ideę postępu.

Teraz o bohaterkach negatywnych: cudowne jest to hejtowanie ***Kaśki Pełczyńskiej-Nałęcz***. Teraz wreszcie można! Hejtowanie Kaczora od dawna nie daje już tyle radości, ile kiedyś. Tego Nawrockiego z Gdańska to oczywiście nadal trzeba hejtować, ale to też już robi się trochę nudne. Ile można pisać to samo? I wiecie co tutaj, z tą Kaśką, jest najbardziej fajne? Że jest nowy cel do hejtowania, ale nie trzeba niczego nowego wymyślać. Pasuje do niej to wszystko, co pisaliście i mówiliście na Kaczora, wszystkich pisiorów, tego Nawrockiego z Gdańska. Kopiuj, wklej. W memach zmieniacie tylko zdjęcie, a reszta zostaje ta sama. O tym, że jest agentką Putina, PiS, że jest głupia, że nakradła, jak była w rządzie. A jeszcze jedno! Dziura budżetowa to jej wina. Jak zresztą cała reszta.

Odeszła. Krzyż na drogę. Wszyscy, którzy ją poznali, wiedzą, że dobrze się stało – powiedział o odejściu Kaśki Pełczyńskiej-Nałęcz z rządu Pan Premier Franz Donald Tusk. Jako demokraci walczący popieramy słuszną linię Pana Premiera, który tym gestem umacnia rozdział Kościoła od państwa w naszej laickiej ojczyźnie. Wreszcie skończy się głupi zwyczaj prawicy ukazywania zdjęcia Pana Premiera i Jego Rodziny na tle mebla wypełnionego dewocjonaliami. To właśnie przedstawiony na tym zdjęciu krzyż zostanie przekazany tej wrednej babie, która nie doceniła zaszczytu bycia osobą ministerską w rządzie Polski Uśmiechniętej.

Najtęższa (obok Marcina Kierwińskiego) głowa polskiej polityki, czyli Janusz Palikot, ogłosiła plan pokonania Rosji. Jeszcze lepszy od planów panów Witkoffa i Kushnera. Trzeba napaść na Rosję i ją pokonać. To zarys ogólny planu. A bardziej szczegółowy jego element polega na tym, że Janusz uruchomi nowy biznes, a pan Putin z Rosji będzie jego głównym udziałowcem. Zainwestuje w projekt Janusza wszystkie swoje pieniądze. Po kilku miesiącach działalności biznesowej Janusza pan Putin i cała Rosja będą kompletnie zrujnowani. Sprytne, co nie?

O jej szczególnie wrednym charakterze świadczą jej słowa wypowiedziane na zebraniu partii, której była szefową i która to ją zgodnie z wolą Pana Premiera wyrzuciła ze swych szeregów. Mowa oczywiście o szeroko znanym w wąskim kręgu swoich wyborców ugrupowaniu Polska 20 Łamane na 50. „Znowu wszystkie moje wysiłki, żeby partia była o czymś, spełzły na niczym, ponieważ staliśmy się znowu partią stołka ***Szymona Hołowni*** i o tym, czy on będzie w rządzie, czy on nie będzie w rządzie, czy mnie wyrzucą z tego tytułu, czy nie” – wysyczała Pełczyńska-Nałęcz. Dodajmy, że partie często zmieniają nazwy w ramach tzw. rebrandingu. Nowa nazwa – Partia Stołka Szymona Hołowni – brzmi naprawdę nieźle.

Szymek pragnie zostać ministrem kultury. Już nie ambasadorem w Watykanie. Nie chce być apdejtowaną Hanką Suchocką, choć z wyglądu jest trochę do niej podobny. Mamy mieszane uczucia, bo bardzo polubiliśmy panią ***Cienkowską*** z Ciechanowa. To prawdziwa intelektualistka, autorka samych mądrych wypowiedzi i jeszcze lepszych decyzji. Wizerunkowa podpora tego rządu. Czy Szymek udźwignie jej spuściznę?

eprasa.pl a3944fb8dc

Osoby ulegające przesądowi populizmu mówią, że istnieje coś takiego jak klątwa Gibały. Jej ofiarą padł zasłużony (choć ostatnio nieco kontrowersyjny) włodarz miasta Częstochowa, wybitny polityk lewicy Krzysiek Matyjaszczyk. Stało się z nim to samo, co z Olkiem Miszalskim, a nawet bardziej, bo roszczeniowa ludność tego zagrożonego klerykalizmem miasta odwołała także radę miejską. Pretensje do Krzyśka są doprawdy głupie. Ponoć przyjął 40 tys. zł od soli tej ziemi, czyli jakiegoś przedsiębiorcy. Po pierwsze, to śmieszna suma, starczy tylko na waciki. A po drugie, niech kamieniem rzuci pierwszy ten, kto nigdy nie przyjął 40 tys. zł!

Lecz zaklinamy: niech demokraci nie tracą nadziei. I przed tym roszczeniowym narodem niosą demokracji i praworządności kaganiec. Jest pomysł na zwycięstwo i uratowanie Częstochowy: Iza Leszczyna jest z tego miasta. Niech ona startuje na prezydenta Medalikowa. Z kimś takim jak ona ludzie pójdą w dym!

Klątwa Gibały, w którą trochę jednak trzeba wierzyć, zaczyna zagrażać miastu Gliwice. W ogóle byśmy się nie przejmowali tą zapuszczoną dziurą, gdyby nie to, że rządzi nią postać szczególnie wartościowa. To ***Kasia Kuczyńska*** – uwaga, uwaga – Budka. Tak, ta Budka. Kasia jest żoną Borysa. Formalnie żoną, bo Borys dawno od niej się wyprowadził, ale jeśli chodzi o politykę, to ich drogi się nie rozeszły. Niestety, źli i nieodpowiedzialni ludzie zebrali podpisy pod referendum w sprawie jej odwołania. To pierwsza zła wiadomość. Druga zła jest taka, że zebrali ich dużo więcej niż trzeba. Dobra wiadomość jest taka, że finanse miasta Gliwice są w tak kiepskim stanie jak w Krakowie. Zatem następca Kasi będzie w takiej samej czarnej dziurze jak Gibała.

Teraz o ludzkiej niewdzięczności. Był eurodeputowany z listy Koalicji Obywatelskiej, niejaki ***Leszek Miller***, obraża marszałka Włodka Czarzastego. Nazwał go giermkiem Tuska (dla nas Pana Tuska). Właściwie to próba obrażenia, bo dla każdego demokraty walczącego i odpowiedzialnego koalicjanta określenie „giermek Tuska" to powód do chwały, a nie wstydu. Zapytajcie zresztą Szymka Hołownię. On to potwierdzi.

Okrucieństwa trumpizmu nie znają granic. Po porwaniu Nicolása Maduro i bombardowaniu Iranu trumpiści prześladują personel naszego zasobu strategicznego, czyli telewizji TVN. Łamiąc wszelkie zasady humanitaryzmu, nowi właściciele stacji ogłosili koniec pracy zdalnej w TVN. Pracownicy będą musieli osobiście stawiać się w zakładzie pracy przy ul. Wiertniczej. Personel jest w szoku. Liczy na interwencję mecenasa Romka Koń-Giertycha. Jeden wpis mecenasa na platformie X w ich obronie już był. Jeśli to nie pomoże, to będzie drugi. Chyba że Krzysiek Gawkowski zamknie X, tak jak zapowiada. To wtedy wpisu nie będzie. I pracy zdalnej też nie.













Jeszcze o okrucieństwie. A właściwie pechu. Nie jest prawdą, że czas goi rany. Widać to po Władku K-K i jego kolegach z PSL, którzy chodzą po mediach i bardzo boleśnie łkają z powodu przegranego głosowania w sprawie likwidacji limitu kadencji dla wójtów, burmistrzów i prezydentów miast. Już byli w ogródku, już witali się z wójtami, burmistrzami i prezydentami miast. Niestety, zabrakło trzech głosów. To niedobry dzień dla Tenkraju. Za chwilę setki, a może nawet tysiące wybitnych samorządowców trafi na bruk. Często po wielu dekadach ofiarnej i zupełnie bezinteresownej pracy włodarzy swych gmin i miast. Wielu z nich nie zdążyło przygotować do tej roli swych synów i córek. A przecież nie każdy z nich ma szwagra, który przejmie po nich stanowisko.

Oszustwo i skandal! Wybitny uczony słowackiego pochodzenia, dr hab. Sławek Cudak, został okradziony z należnego mu tytułu. Nie został rektorem Akademii Kształcenia Klawiszy. To należne mu stanowisko ukradł mu, stosując populistyczną metodę wygrania wyborów, jakiś profesorek o nazwisku Czarkowski. I wiecie, co tu jest najbardziej straszne? To, że ten Czarkowski pracuje w Akademii Kształcenia Klawiszy od 2019 r. Wiecie, kto wtedy rządził?

Wyciekły taśmy ***Sławka Mentzena***. Charyzmatyczny przywódca ciągle Nowej Nadziei zapowiada tam plan: trzeba czekać, aż PiS zgnije, a także na moment, gdy wymrą emeryci popierający partię kaczystowską. Znakomity plan. Wtedy, gdy już nastąpi ten moment, Sławek i jego wyborcy osiągną wiek emerytalny. A Nowa Nadzieja dopisze do swojego programu wyborczego walkę o utrzymanie 13. i 14. emerytury. PS Ej! A ta Magda Sobkowiak-Czarnecka to chyba podrywa Sławka Mentzena. I to na ostro! Zaprasza go na jakieś wspólne ćwiczenia czy inne balety, a on odmawia. Ona się wścieka, mówi, że jest tchórzem. A on na to, że nie będzie pajacował. Drama jak w liceum. Ale Sławek chyba nie jest gejem?

Fot. Andrzej Wiktor (3x), Liudmyla Skwarczynska, Julita Szewczyk, Katarzyna Kuczyńska-Budka/facebook

eprasa.pl a3944fb8dc

WIEŻA BAB

Gorzej niż rynsztok

Marta Nawrocka powinna poważnie rozważyć wystąpienie na drogę sądową przeciwko Markowi Zagrobelnemu

W polskim życiu publicznym można się spierać o wszystko. Można ostro krytykować prezydenta, wytykać błędy rządzącym, wyśmiewać polityczne obietnice i rozliczać władzę z każdej decyzji. Ale czy naprawdę nie ma już żadnej granicy? Czy w politycznej wojnie wolno insynuować wszystko, również na temat rodziny głowy państwa?

Wpis Marka Zagrobelnego dotyczący Marty Nawrockiej pokazuje, jak niebezpiecznie nisko potrafi upaść internetowa debata. A pytanie, które powinno dziś wybrzmieć głośno, brzmi: gdzie jest nieprzekraczalna granica hejtu wobec najważniejszych osób w państwie?

Marek Zagrobelny, znany z aktywności w mediach społecznościowych i krytycznych wypowiedzi pod adresem PiS oraz prawicy, postanowił skomentować sprawę sądowego sporu prezydenta Karola Nawrockiego z portalem Onet. Chodzi o publikację, w której dziennikarze przedstawili zarzuty dotyczące rzekomego związku prezydenta z procederem sutenerstwa. Jak się okazało, główny świadek Onetu nie tylko jest mało wiarygodny i plącze się w zeznaniach, lecz także był w redakcji dzień przed rozprawą. To wszystko nic dla Zagrobelnego, który w swoim wpisie zasugerował, że również Marta Nawrocka mogła być związana z tym procederem. „Stawiam na to, że Martę też tam poznał. Możliwe, że kilka razy ją przywoził, prowadził do pokoi, odwoził... a potem mu się spodobała. Tej wersji nie można wykluczyć!" – napisał na platformie X. To nie jest komentarz polityczny, lecz uderzenie w kobietę przez upokarzającą, seksualną insynuację. To obrzydliwa próba zdyskredytowania pierwszej damy.

Nie trzeba być zwolennikiem Karola Nawrockiego, by dostrzec, że istnieje zasadnicza różnica między krytyką działalności prezydenta a rozpowszechnianiem insynuacji dotyczących jego żony. Funkcja pierwszej damy nie odbiera jej prawa do godności, dobrego imienia i ochrony przed pomówieniami. Polityczna niechęć nie jest przepustką do publicznego poniżania człowieka.

Tego ścieku nie wytrzymała nawet Katarzyna Kotula, minister ds. równości z Nowej Lewicy. „Wpis na poziomie bruku. Niżej się nie da. Obrzydliwe. Gdybym była Panią Martą Nawrocką, poszłabym z Panem do sądu i zrobiła z Pana miazgę" – odpowiedziała.

Najwyższy czas skończyć z przekonaniem, że w internecie można powiedzieć wszystko, a potem schować się za politycznym komentarzem, prowokacją czy deklaracją, że chodziło tylko o opinię. Wolność słowa jest fundamentem demokracji, ale nie oznacza prawa do bezkarnego naruszania cudzej godności. Krytyka i satyra są czymś innym niż insynuowanie komuś czynów, które mogą zrujnować reputację.



Dlatego Marta Nawrocka powinna poważnie rozważyć wystąpienie na drogę sądową przeciwko Markowi Zagrobelnemu. Nie po to, by zamykać usta krytykom, lecz by sprawdzić, czy publiczne rozpowszechnianie tak daleko idących sugestii może pozostać bez konsekwencji. Ostateczna ocena prawna należy oczywiście do sądu, ale osoba, której dobre imię zostało zaatakowane, ma prawo go bronić.

Bo jeśli dziś można bez skrupułów rzucać seksualne insynuacje pod adresem żony prezydenta, to gdzie przebiega granica, której nie wolno przekraczać nawet w najostrzejszym sporze politycznym? Jeśli odpowiedzią ma być milczenie, przyzwolenie albo obrona „swoich", to znaczy, że problem jest znacznie poważniejszy niż jeden skandaliczny wpis.

Nie trzeba się zgadzać z prezydentem, by bronić prawa jego żony do szacunku. Nie trzeba popierać pierwszej damy, by sprzeciwić się upokarzaniu jej za pomocą nieudowodnionych insynuacji. Wystarczy uznać, że istnieją standardy, których nie wolno porzucać w imię politycznej nienawiści.

W przeciwnym razie zostanie nam już tylko internetowy rynsztok, w którym każdy kolejny atak będzie usprawiedliwiany tym, że poprzedni również uszedł bezkarnie.

Dorota Łosiewicz

Maharadża



Ronald Kieł z satysfakcją oglądał swoje zdjęcie w turbanie powieszone na ścianie. Najlepszy w historii premier Tenkraju siedział w ustawionym pośrodku jego gabinetu fotelu, a przed nim stała absolutna elita władzy: wicepremier Tygrysław Kociniak-Kamasz, były marszałek Szymon Bezhołownia, minister sprawiedliwości Waldemar Barszczyk, minister spraw zagranicznych Radek Świrowski oraz przebiegły niczym stary wałach, prawnik Roman Naszaszkapa. Fotel Kła nieprzypadkowo wyglądał jak tron, a zebrani przybrali służalcze pozy niczym dworzanie.

– Powiadam wam – przemówił Kieł, wznosząc wskazujący palec. – Zaprawdę powiadam wam, że od dzisiaj zakazuję mówienia do mnie „Kierowniku".

– To jak mamy mówić? – zapytał, pochylając nisko głowę, Kociniak-Kamasz, który miał mentalność pańszczyźnianego chłopa.

– Mówcie „Maharadżo". – Kieł się uśmiechnął. – Maharadża po hindusku znaczy „wielki król", a to lepiej niż słowo „Kierownik" oddaje moją osobowość oraz pozycję społeczną. Zrozumiano?

– Tak jest, Kierowniku! – zameldował natychmiast minister Barszczyk, po raz kolejny udowadniając, że nie jest najostrzejszą kredką w koalicyjnym piórniku.

– Barszczyk, chyba nie zrozumiałeś, co przed chwilą powiedziałem. – Kieł lekko się poirytował. – Koniec z Kierownikiem! Masz mówić „Maharadżo!". Powtórz.

– Koniec z Kierownikiem, mam mówić „Maharadżdżo" – powiedział Barszczyk z wysiłkiem.

– Nie „dżdżo", tylko „dżo" – poprawił go Naszaszkapa, który nie pominął żadnej okazji, by skrytykować ministra sprawiedliwości. – Nie mów „dżdżo", bo to się kojarzy z dżdżownicą. Mówiąc w ten sposób, obrażasz Maharadżę. Prawda, Maharadżo?

Kieł pokiwał głową z uznaniem. Naszaszkapa szybko się uczył i był elastyczny jak guma w majtkach. Premier polubił tego szpakowatego mężczyznę o końskiej twarzy i chytrych oczach, który przeszedł nieoczywistą drogę od bogobojnego narodowca do liberalnego miłośnika kolorów tęczy.

– Brawo, Romanie – pochwalił Naszaszkapę premier. – Ale nie wszystkim w tym gronie należą się brawa. Cieszę się, Szymku, że w końcu zabrałeś się za porządki w swojej partii, ale naraziłeś nas na ogromne straty wizerunkowe. Jak patrzę na ostatnie trzy lata w wykonaniu twoim i tej, pożal się Boże, partyjki, to mi się scyzoryk w kieszeni otwiera. Popełniłeś dwa niewybaczalne błędy, Szymonie. Po pierwsze, przyjąłeś ślubowanie od prezydenta Rocky'ego.

– Przyjąłem, bo nie chcę iść do więzienia – przerwał mu Bezhołownia, któremu natychmiast zebrało się na płacz. – Przecież to się kwalifikuje na zdradę stanu, gdybym nie przyjął ślubowania.

– Nie mazgaj się, Szymuś – rzekł cynicznie Kieł. – Zaraz ulokujemy Maćka Gonionego w trybunale i wszyscy mogą nam skoczyć. Ale wracając: to, co zrobiłeś, jest niewybaczalne. A po drugie, wyhodowałeś we własnym łonie żmiję. Ostrzegałem cię, że ta Katarzyna to taka jest, że szkoda gadać. Trzeba było słuchać!

– Z jednej strony mówiłeś, że trzeba słuchać, a z drugiej, żeby pokazywać, że niby jesteśmy niezależni. No to się pogubiłem – skarżył się Bezhołownia ze łzami w oczach. – W telewizji mi się to nigdy nie zdarzyło...

– Bo polityka jest dla twardzieli, a telewizja dla miękkich chłopców – wszedł mu w słowo Radek Świrowski, który we własnych oczach uchodził za największego twardziela. – Don't cry. Ty tutaj nie pasujesz, Szymuś. Co nie, Ronaldzie?

– Nie mów tak do Kierownika – poprawił go Barszczyk. – Mów do niego „Maharadżdżo!".

Wszyscy zebrani jednocześnie spojrzeli na Barszczyka, jakby był debilem.

– Barszczu! Ty się ode mnie odwal, bo przestanę być dżentelmenem. Zrozumiano? – odszczeknął Świrowski. – Natomiast muszę zwrócić ci uwagę, Ronaldzie, że znowu za granicą zachowałeś się dziecinnie, ubierając ten turban. Po co ci to było?

– Nie pouczaj mnie, Radek, bo stracę do ciebie cierpliwość – odpowiedział Kieł. – Mnie jest bardzo dobrze w nakryciach głowy. Poza tym lubię jeździć po świecie, bo całe życie o tym marzyłem, a najlepszą pamiątką z wyjazdów są zdjęcia w lokalnych czapkach.

– A mam ci przypomnieć, jaka była beka, po tym jak sobie zrobiłeś zdjęcie w czapce z Peru? – zapytał złośliwie Świrowski.

– Nie było żadnej beki! Wszystkim się podobało – odparł niespecjalnie zmieszany Kieł. – Mówisz tak, bo mi zazdrościsz.

– Oczywiście, że ci zazdroszczę, Maharadżo – odpowiedział lodowatym tonem Świrowski.

I wszyscy w gabinecie poczuli chłód jak w peruwiańskich Andach. Nadchodziła zima.

MuMa

Fot.Grafika wygenerowana przez AI/MuMN

eprasa.pl a3944fb8dc

Desperacja Sáncheza


Hiszpania

29 listopada w Hiszpanii odbędą się przedterminowe wybory. Stało się to po tym, jak Kortezy odrzuciły dwa rządowe projekty ustaw mieszkaniowych przedstawione przez rząd Pedro Sáncheza. Nie poparli ich m.in. katalońscy separatyści, którzy niegdyś wspierali premiera.

Projekty miały być odpowiedzią na gwałtowne protesty, które wybuchły po eksmisji 87-letniej Maricarmen w Madrycie. Budynek wraz z mieszkaniem, w którym żyła przez ostatnich 70 lat, został przejęty przez korporację, która najpierw podniosła czynsz, a potem zaproponowała zaporową cenę wykupu. Kobieta kilkanaście dni temu zmarła w jednym z madryckich szpitali.

Mimo rosnącego niezadowolenia i utraty poparcia rząd nie wycofał się również z przyjmowania tysięcy nowych imigrantów. Wiosną przeforsował nowe prawo legalizujące pobyt 500 tys. osób, które wcześniej nielegalnie przekroczyły granicę. Ogłoszenie przedterminowych wyborów nastąpiło dwa miesiące po masowej inwazji marokańskich imigrantów na Ceutę. Być może teraz nastąpi polityczne trzęsienie ziemi.

We wszystkich sondażach, już od pół roku, wyraźnie prowadzi centroprawicowa Partia Ludowa, na którą chce głosować ponad 32,3 proc. wyborców. Taki wynik nie przesądza jednak o jej samodzielnych rządach, dlatego teoretycznie najbliższym koalicjantem wydaje się prawicowa partia VOX, której poparcie sięga ok. 18 proc. Głosowanie na rządzącą Partię Socjalistyczną (PSOE) deklaruje dziś 26,5 proc. wyborców, czyli aż o 5,2 pp. mniej niż w wyborach w 2023 r. Do tego ok. 11 proc. uzyskuje Sumar, konglomerat ugrupowań skrajnej lewicy.

Sánchez podgrzewa atmosferę, wzywając do postawienia tamy nadchodzącej „fali skrajnej prawicy" i kreując się na gwaranta utrzymania Hiszpanii jako „bastionu otwartości i sprawiedliwości społecznej". A przekładając to na normalny język: w Hiszpanii toczy się zacięta walka o władzę. Socjaliści nie tylko nie radzą sobie z sytuacją ekonomiczną, imigracją i kryzysem mieszkaniowym, lecz także panicznie boją się utraty rządu. „Ten człowiek jest zdolny do wszystkiego" – przestrzega lider VOX Santiago Abascal, wstrzymując się na razie z optymizmem. Przedterminowe wybory są odczytywane jako desperacka próba ucieczki do przodu, która ma uchronić Sáncheza przed katastrofą.

Maciej Walaszczyk

Przełomu nie będzie


Serbia

Aleksandar Vučić postawił wszystko na jedną kartę i przegrał. Były prezydent, sprawujący władzę nieprzerwanie przez 14 lat, skrócił swoją kadencję i doprowadził do przedterminowych wyborów parlamentarnych, które jego Serbska Partia Postępowa niespodziewanie przegrała, otrzymując 39 proc. głosów, podczas gdy opozycyjna Lista Studencka zdobyła 53 proc.

W serbskim parlamencie będą teraz reprezentowane jedynie dwie formacje, a zwycięzcy elekcji wybiorą nowego prezydenta. Lista Studencka jest koalicją różnych sił społecznych i politycznych. Można ją określić mianem „pospolitego ruszenia" Serbów, którzy mieli już dość długich rządów Vučicia.

Przez ostatnie dwa lata Serbią wstrząsały protesty, które zaczęły się po tym, jak w Nowym Sadzie zawalił się dach dworca autobusowego. W katastrofie zginęło 16 osób, a opinia publiczna oskarżała rządzących o korupcję związaną z przydzieleniem kontraktu chińskiej firmie budowlanej i niechęć do wyjaśnienia sprawy. Vučicia obwiniano zaś o niedemokratyczne praktyki i kontrolowanie mediów, co jednak nie przeszkadzało władzom Europejskiej Partii Ludowej, do której należy jego ugrupowanie, przymykać oczy na tego rodzaju praktyki. Manifestacyjne fetowanie Xi Jinpinga w trakcie zeszłorocznej wizyty w Belgradzie, kiedy państwowa telewizja przerwała nawet transmisję festiwalu Eurowizji, aby pokazać lądowanie jego samolotu i dwuznaczne relacje z Putinem, również nie skłoniły Brukseli do rewizji nastawienia wobec Vučicia, który swoją karierę polityczną zaczynał przy boku Miloševicia jako jego minister od propagandy.

Niejasne są priorytety polityczne zwycięzców serbskich wyborów, w tym ich stosunek do Rosji. Liderzy Listy Studenckiej ogłosili jedynie 11 bardzo ogólnikowych punktów swojego programu. Zapowiadają one m.in. restart systemu sądowniczego, lustrację urzędników, pełną przejrzystość zamówień publicznych, a także „wyzwolenie" mediów spod kontroli rządu. Pozostałe obietnice dotyczą gospodarki i sfery społecznej, ale w obecnej sytuacji ekonomicznej będą trudne do spełnienia.

W kwestiach polityki zagranicznej liderzy Listy Studenckiej unikali jednoznacznych deklaracji, wyraźnie jednak oświadczyli, że są przeciwnikami sankcji, bo w ich wyniku cierpi ludność cywilna. Może to oznaczać, że zwycięzcy serbskich wyborów wcale nie są tak antyputinowscy, jak twierdzi fetująca ich sukces europejska prasa.

Marek Budzisz

eprasa.pl a3944fb8dc

Kryzys zbożowy



Rosja

Uderzenia na infrastrukturę portową i szlaki morskie na Morzu Czarnym doprowadziły do poważnego ograniczenia eksportu zbóż z Ukrainy i Rosji. Jak się szacuje, spadki sprzedaży rosyjskiego ziarna osiągnęły najniższy poziom od 16 lat.

Wstępne oceny wskazują, że we wrześniu Rosja wyeksportowała ok. 2,3 mln ton pszenicy, a więc o połowę mniej niż rok wcześniej. Prognozy na październik są nieco lepsze i mówią o 3 mln ton, ale i tak jest to wyraźny spadek wobec 5,1 mln ton odnotowanych w październiku 2025 r. Jeszcze gorzej było w sierpniu, gdy spadki względem poprzedniego roku sięgały 56 proc.

Kryzys eksportowy wybuchł w lipcu, gdy ukraińskie drony uszkodziły terminale zbożowe nad Morzem Azowskim i Morzem Czarnym, co doprowadziło do ich długotrwałego wyłączenia z eksploatacji. Na początku sierpnia rosyjskie zboże było wysyłane z zaledwie ośmiu portów w tym rejonie, podczas gdy rok wcześniej było ich 29. Eksporterzy coraz częściej korzystają więc z transportu kolejowego oraz z portów nad Bałtykiem. Tworzy to jednak liczne zatory i wąskie gardła, bo tą samą drogą przechodzi duża część rosyjskiego eksportu nawozów i węgla.

Moskwa chce udrożnić handel, przesyłając zboże tranzytem do portów na Litwie, Łotwie i w Estonii. Państwa bałtyckie podjęły próbę zablokowania tych transportów, ale – według doniesień mediów – miało to spowodować negatywną reakcję Białego Domu, który obawiał się, że zaszkodzi to jego pertraktacjom z Kremlem.

Paradoksalnie to właśnie Stany Zjednoczone mogą się stać beneficjentem czarnomorskiego kryzysu zbożowego. Zahamowanie eksportu zbóż z Rosji i Ukrainy doprowadziło już do wzrostu cen na światowych rynkach. Na razie korzystają na tym inni producenci, głównie z Argentyny, Australii, Kanady i Unii Europejskiej. Rosnące ceny sprawiają jednak, że dla wielu krajów coraz bardziej opłacalny staje się import drogiego zboża ze Stanów Zjednoczonych.

Zupełnie na odwrót jest w Rosji i na Ukrainie. Oba kraje cierpią teraz na nadwyżkę zboża na rynku wewnętrznym i – co za tym idzie – gwałtowny spadek cen. W Rosji ceny pszenicy – w zależności od klasy ziarna – spadły o ponad 40 proc., do poziomu 7–8 tys. rubli za tonę. Czyni to produkcję zupełnie nieopłacalną, zważywszy, że koszt produkcji tony ziarna przekracza 10 tys. rubli. Producenci mówią już, że jeśli kryzys się przedłuży, trzeba będzie zmniejszyć powierzchnię upraw.

Konsekwencje wzajemnych ataków na Morzu Czarnym wykraczają więc poza kwestie militarne. Skala zniszczeń w tamtejszych portach bezpośrednio wpływa bowiem na całą gospodarkę obu walczących stron.

Konrad Kołodziejski

Czas transformacji

Do Caracas po 10 miesiącach pobytu na emigracji wróciła ubiegłoroczna laureatka Pokojowej Nagrody Nobla María Corina Machado [na zdj.]. Jej powrót do Wenezueli został wymuszony przez USA, które w styczniu porwały i uwięziły prezydenta tego kraju Nicolása Maduro.

Amerykanie nie obalili wtedy reżimu ani nie zaprowadzili demokracji. Pozostawili dotychczasowe władze na czele z wiceprezydent Delcy Rodríguez, ale zarazem zapoczątkowali proces zmian. Pojawienie się Machado może przyspieszyć transformację, której finałem mają być wolne wybory. Jak mówi sekretarz stanu USA Marco Rubio, powinny się one odbyć w 2027 r.

Pierwszym etapem ma być wybór 32 sędziów Sądu Najwyższego, który jest ostateczną instancją decydującą o zatwierdzeniu bądź anulowaniu wyników elekcji. W 2018 i 2024 r. była to kluczowa instytucja, która sprawiła, że Maduro, choć przegrał wybory, to jednak je wygrał. Teraz o obsadzie tego gremium debatuje mieszana komisja, złożona z przedstawicieli rządu i opozycji. Następne rozmowy będą dotyczyć zreformowania Krajowej Rady Wyborczej oraz likwidacji przepisów wykluczających niektórych polityków ze startu w wyborach. Opozycja dąży zwłaszcza do zniesienia prawa o „mowie nienawiści", które wielokrotnie służyło jako pretekst do eliminowania przeciwników politycznych.

Większość Wenezuelczyków jest jednak rozczarowana powolnym tempem zmian. Duże niezadowolenie budzi dalsze przetrzymywanie więźniów politycznych. Niedawno w całym kraju odbyły się masowe wiece domagające się ich uwolnienia. Demonstranci żądają też wyznaczenia daty wyborów prezydenckich, bo widzą, że władza stara się jak najdłużej odwlec ten moment. Powrót Machado z emigracji może przyspieszyć proces zmian, nadając mu nową dynamikę. Noblistka została bowiem entuzjastycznie powitana przez tłumy rodaków, którzy wychodząc na ulice, wysłali władzom czytelny sygnał, że chcą jak najszybciej wolnych wyborów.



Wenezuela

Grzegorz Górny

eprasa.pl a3944fb8dc

Rachunku nie da się zagadać

Rząd Donalda Tuska walczy z drożyzną tak, jakby rachunki można było unieważnić konferencją prasową. Minister zapewni, że wszystko jest pod kontrolą, premier ogłosi sukces, a potem przychodzi faktura, która najwyraźniej nie zrozumiała komunikatu premiera. Tak wygląda rządowa „skuteczność" w polskim domu. Zimą nie grzeją przemówienia. Grzeją opał, prąd i centralne, za które trzeba zapłacić



PiS proponuje konkret, nie prezentację o tym, jak dobrze rząd radzi sobie z problemem, którego podobno nie ma. Od 1 listopada do końca marca VAT na węgiel, pellet, brykiet i inne paliwa stałe miałby wynieść 8 proc., a na prąd i ciepło – 5 proc. Autorzy szacują, że węgiel i brykiet mogłyby potanieć o 250–300 zł za tonę, a rodzina oszczędziłaby do 70 zł miesięcznie na rachunkach. To nie cud ani obietnica, że od samego ogłoszenia opał stanieje. To obniżka podatku wtedy, gdy domowe budżety najbardziej jej potrzebują. Osobno PiS postuluje niższy VAT i akcyzę na paliwa silnikowe. Państwo ma narzędzia. Pytanie, czy rząd zechce użyć tych, których sam nie wymyślił.

Tu zaczyna się sprawdzian. Sejm może przyjąć projekt przed zimą, rząd może pozwolić ludziom odetchnąć. Może też urządzić znajomy rytuał: przemilczeć pomysł, podważyć jego sens, a potem ogłosić własną, spóźnioną i okrojoną wersję jako wielki sukces. W tej dziedzinie władza ma wprawę. Z rachunkami radzi sobie gorzej. Nie dowozi pomocy, za to dowozi komunikaty, że wszystko jest dobrze. Kiedy Tusk mówi, że drożyzna jest pod kontrolą, choć najtrudniejsza część sezonu dopiero przed nami, łże Polakom w żywe oczy. Obywatele mają faktury. Nie potrzebują rządowej propagandy.

Obniżka VAT nie naprawi całej energetyki. Nie cofnie kosztów ETS, opłat sieciowych ani kosztów wytwarzania. Nie zagwarantuje też, że w całości przełoży się na ceny. Ale może szybko zmniejszyć obciążenie, zamiast odsyłać ludzi do kolejnych dokumentów z obietnicą pomocy na przyszłość. To doraźny ruch, nie reforma. Rząd powinien umieć zrobić i jedno, i drugie. Na razie umie głównie tłumaczyć, dlaczego nic nie da się zrobić.

Trzeba mówić także o ETS. W sierpniu PiS złożyło projekt uchylenia krajowych ustaw wdrażających system i zniesienia obowiązku udziału polskich instalacji. To zasadniczy postulat, bo rachunek ETS przechodzi przez elektrownie i ciepłownie prosto do zakładów pracy oraz domowych budżetów. Bruksela wyznacza tempo Zielonego Ładu, jakby każde państwo startowało z tego samego miejsca, a każda rodzina mogła bez trudu wymienić ogrzewanie. Potrzebujemy zawieszenia i głębokiej zmiany systemu, przesunięcia wejścia ETS2 co najmniej do 2030 r., ochrony przemysłu i ciepłownictwa oraz stabilnych źródeł energii. Nie można żądać, by Polacy finansowali ideologiczny eksperyment, a potem z powagą nazywać ogromny rachunek ceną postępu.

Rodzina siedzi nad rachunkiem za prąd i fakturą za opał, a z telewizora słyszy, że rząd panuje nad sytuacją. Dobrze, że telewizor jest włączony, bo trochę ogrzewa atmosferę. Zima nie słucha konferencji ani politycznych zaklęć. Po prostu przychodzi.

Projekt PiS może pomóc już tej zimy. Niech Sejm go uchwali. Jeśli rząd go zablokuje, niech nie twierdzi, że zrobił wszystko. Gdy ludzie marzną, a rachunki topnieją tylko w rządowych prezentacjach, nie ma sukcesu. Jest nieudolność, która nauczyła się mówić językiem sukcesu.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl a3944fb8dc

Spotkajmy się w Warszawie 11 listopada



Marta Kaczyńska-Zielińska

Patriotyzm to postawa polegająca na przywiązaniu do ojczyzny, jej kultury, historii, tradycji i wspólnoty obywateli, połączona z gotowością do działania na jej rzecz. Nie ogranicza się do manifestowania dumy narodowej, wywieszania flagi czy uczestniczenia w uroczystościach państwowych. Jest zjawiskiem znacznie głębszym. Patriotyzm ma kilka wymiarów. W wymiarze emocjonalnym oznacza poczucie więzi z ojczyzną, dumę z jej osiągnięć, szacunek do historii oraz przywiązanie do miejsc i tradycji. W wymiarze obywatelskim wyraża się przez pracę, płacenie podatków, uczestnictwo w wyborach, troskę o dobro wspólne i odpowiedzialność za państwo. Wymiar kulturowy obejmuje pielęgnowanie języka, obyczajów, dziedzictwa narodowego i pamięci historycznej. Natomiast wymiar symboliczny przejawia się w szacunku do flagi, hymnu, świąt narodowych oraz wydarzeń, które kształtowały losy narodu. Patriotyzm ze swej istoty powinien być konstruktywny i dopuszczać krytykę błędów oraz słabości w trosce o dobro wspólnoty.

W polskiej tradycji patriotyzm ma znaczenie szczególne. Polska tożsamość narodowa przetrwała okresy, w których państwo polskie nie istniało na mapie Europy. Przetrwała dzięki językowi, rodzinie, kulturze, religii, pamięci historycznej i przekazywanym z pokolenia na pokolenie wartościom. To właśnie te elementy pozwoliły zachować poczucie wspólnoty pomimo prób wynarodowienia i podporządkowania Polaków obcym mocarstwom. Poczucie wspólnoty będące podwaliną sukcesu, który Polska osiągnęła w ostatnich latach.

Po 1989 r. w mainstreamowych mediach dominował obraz Polski jako państwa zacofanego, niezdolnego do samodzielnego rozwoju i skazanego na naśladowanie bogatszych społeczeństw Zachodu. Operacja dekonstrukcji polskiej tożsamości narodowej bazowała na mikromanii narodowej i imposybilizmie – przekonaniu, że Polacy nie są zdolni do realizowania ambitnych projektów, budowania sprawnych instytucji czy osiągania sukcesów na międzynarodową skalę. Wzorce czerpiące z polskiej tradycji miały być postrzegane jako zaściankowe, a rozwiązania suflowane przez lewicowe elity miały się stać wzorem do naśladowania. Z tym zjawiskiem wiąże się pojęcie „pedagogiki wstydu" oraz ojkofobii, rozumianej jako niechęć do własnego dziedzictwa kulturowego i narodowego.

Próby deprecjonowania polskiej tożsamości nabierają szczególnego znaczenia w kontekście przemian zachodzących w Europie Zachodniej. W wielu państwach obserwujemy napięcia związane z migracją, kontestowaniem wartości, które ukształtowały poszczególne europejskie narody, różnicami kulturowymi i bezpieczeństwem publicznym. Na tle tych przemian Polska zaczyna przyciągać uwagę jako państwo, które potrafiło połączyć dynamiczny rozwój gospodarczy, modernizację infrastruktury i otwartość na świat z przywiązaniem do własnej historii, kultury i tradycji. Części zagranicznych turystów i obserwatorów Polska zaczyna się jawić jako symbol Europy, w której nowoczesność nie musi oznaczać rezygnacji z narodowej tożsamości. Wartości przez lata przedstawiane jako przejaw prowincjonalizmu czy społecznego zacofania stanowią dziś jeden z kluczowych elementów atrakcyjności Polski.

Polska pozostaje państwem, w którym święta religijne, tradycje rodzinne, obyczaje i symbole chrześcijańskie są obecne w przestrzeni publicznej. O poziomie bezpieczeństwa decydują skuteczność państwa, sprawność policji i wymiaru sprawiedliwości, przestrzeganie prawa oraz warunki społeczne i ekonomiczne, ale to chrześcijańskie dziedzictwo symbolizuje określony model życia, oparty na odpowiedzialności, rodzinie, solidarności i szacunku do wspólnoty. Cechy polskiego narodu, które opiniotwórcze elity przez lata prezentowały jako przeszkodę w modernizacji, okazują się atutem coraz bardziej docenianym przez obcokrajowców z Zachodu, którzy we własnych ojczyznach stają się obywatelami drugiej kategorii.



Bernardowi Margueritte

Najszczersze wyrazy współczucia
i słowa otuchy
w trudnych chwilach po śmierci

ŻONY

składają

koleżanki i koledzy z tygodnika „Sieci",
portalu wPolityce.pl i telewizji wPolsce.pl

eprasa.pl a3944fb8dc



Walizka Tomasza Ciechomskiego

prezesa Stowarzyszenia Aktywnych Sąsiadów SAS

Wracam właśnie z Irlandii. Przywożę stamtąd obawy i pytania o centra danych – fizyczne zaplecze internetu i sztucznej inteligencji. Bo „chmura" nie unosi się w powietrzu. Ma konkretny adres: hale pełne serwerów, instalacje zasilające i systemy chłodzenia, często wykorzystujące wodę w upały.

Koleżanka z Zielonej Wyspy opowiada o rosnących rachunkach za prąd i ograniczeniach podlewania ogródka. Wiąże je z rozwojem serwerowni, które choć zużywają prawie tyle prądu, ile wszystkie domy w Irlandii, zatrudniają bezpośrednio tylko 3,5 tys. pracowników lub pośrednio 6654.

Jej opowieść skłania do pytania: co zyskują mieszkańcy, a jakie koszty ponoszą, gdy w ich sąsiedztwie rozrasta się cyfrowa infrastruktura? W Polsce boom na centra danych nabiera rozpędu. Dotarł także do Reguł pod Warszawą, gdzie planowany jest kompleks serwerowni wśród zabudowy jednorodzinnej. Takie obiekty są potrzebne. Nie oznacza to jednak, że każda lokalizacja i każda skala inwestycji są odpowiednie.



BARDZO WYSOKIE NAPIĘCIE

Położona w gminie Michałowice wieś Reguły ma być miejscem o naprawdę dużej mocy – dokładnie 126 MW. To tak, jakby jednocześnie włączyć 63 tys. zwykłych domowych czajników elektrycznych o mocy 2 tys. W każdy.





AWARIA

Na wypadek awarii sieci pod oknami stanie 86 potężnych agregatów prądotwórczych o mocy 2,2 tys. kW każdy. Gdyby połączyć ich moc, otrzymalibyśmy siłę równą 40 ciężkim lokomotywom towarowym pracującym pełną parą.

Fot. Michał Korsun, Shutterstock

eprasa.pl a3944fb8dc





RYZYKO

Nagromadzenie ryzyka w jednym miejscu budzi grozę: 3,5 mln litrów oleju napędowego, sąsiedztwo gazociągu wysokiego ciśnienia, linie energetyczne 220 kV i 110 kV, arterie transportowe zachodniej Warszawy, drogowe (Aleje Jerozolimskie) i kolejowe (WKD), operatora telekomunikacyjnego oraz infrastrukturę obsługującą internet, wartą 1,5 mld dol. Wojna za naszą wschodnią granicą pokazała, że na celowniku są właśnie centra danych.



RACHUNEK ZA PRĄD

Szacowane zużycie energii przez ten jeden kompleks to aż 1,5 TWh rocznie. Dla porównania: dokładnie tyle prądu zużywa przez cały rok cały Toruń, czyli miasto liczące 167 tys. mieszkańców. Czy polskie rodziny będą współfinansować rozbudowę tych infrastruktur korporacji?



ZANIECZYSZCZENIA

Nikt nie lubi wdychać spalin z diesla, a my będziemy mieli je w abonamencie. 86 wielkich agregatów nie będzie stało bezczynnie w oczekiwaniu na blackout – procedury wymagają, aby uruchamiać je testowo co miesiąc. Regularny hałas i kłęby dymu gwarantowane.

CYSTERNA PALIWA

Te wszystkie „lokomotywy" trzeba czymś nakarmić. Na terenie obiektu ma być magazynowane aż 3,5 mln litrów oleju napędowego. Aby przywieźć taką ilość paliwa, trzeba ustawić sznur 100 wielkich cystern po 35 tys. litrów każda.



WODA

Gdy temperatura na zewnątrz przekroczy 25 st. Celsjusza, rozgrzane serwery będą chłodzone... wodą pitną pobieraną z Wisły, która płynie w rurach dla 2,5 mln mieszkańców aglomeracji warszawskiej. Choć Polska zmaga się z suszą hydrologiczną wodę pitną zamiast ludziom będziemy oddawać komputerom.





GOLIAT

W sąsiedztwie niskiej zabudowy mieszkaniowej mają wyrosnąć cztery gigantyczne budynki – każdy długi na 100 m i wysoki na 18 m. Przeciętny dom jednorodzinny w naszej okolicy ma zaledwie 10 m długości i 8 m wysokości. Dawid przy tym Goliacie to mało powiedziane.

KTO JEST KTO?

Dla kogo właściwie powstają te serwerownie? Z czterech części inwestycji znamy tylko jednego gospodarza – to operator telekomunikacyjny. Pozostałe trzy to wielka tajemnica.





STOWARZYSZENIE AKTYWNYCH SĄSIADÓW

Mieszkańcy mówią głośne „sprawdzam" – piszemy petycje, protestujemy. Nie jesteśmy przeciwko rozwojowi technologii, ale przeciwko gigantycznej i ryzykownej infrastrukturze pod samymi oknami. W ramach protestów europejskich polski protest domagający się ustawodawstwa chroniącego mieszkańców i środowisko odbędzie się 6 listopada przed Sejmem o 16.00. Protestujemy z Piasecznem, które dowiedziało się o analogicznej inwestycji u nich.

Wysłuchał ***Michał Korsun***

eprasa.pl a3944fb8dc

Nowa twarz do firmowania porażek...



Minister Pełczyńska-Nałęcz odeszła z rządu i mam wrażenie, że była chyba ostatnią osobą w tej ekipie, której jeszcze o coś w ogóle chodziło. Choć negatywnie oceniam jej czas w rządzie, to trzeba przyznać, że miała własne zdanie i potrafiła go bronić. A takich ludzi Tusk nie lubi. Premier konsekwentnie realizuje swoją filozofię „ciepłej wody w kranie". Żadnych ambicji, żadnej odwagi, żadnego wychylania się. Najważniejsze, by polityczny spektakl trwał, a odpowiedzialność za niepowodzenia ponosił zawsze ktoś inny.

Teraz ministrem ogłoszono Agnieszkę Bartol, dotychczasową Stałą Przedstawiciel RP przy UE. Wszyscy klakierzy Tuska rozpływają się nad nią, choć większość jeszcze kilka dni temu nie wiedziała, kim jest... Sprzedaje się więc Polakom historię o jej apolityczności, a ja wiem jednak – z brukselskich korytarzy – że najczęstszymi gośćmi jej gabinetu byli co do zasady politycy jednej strony.

Była najbliżej Tuska podczas ostatnich szczytów Rady Europejskiej. Miała więc swój udział w przygotowywaniu stanowisk, z którymi Tusk jechał do Brukseli. A moja ocena tego, jak Tusk w Brukseli broni – a raczej nie broni – polskich interesów, jest jednoznacznie negatywna.

Przypomnijmy KPO. Najpierw środki dla Polski były przez Tuska blokowane i Tusk wykorzystał ten spór w walce o władzę. Następnie pieniądze, które miały służyć strategicznemu rozwojowi, stały się elementem upłynniania finansów państwa. Mówiąc w skrócie: łatano nimi dziurę budżetową. Symbolem tego skandalu pozostaną jachty i swingers cluby finansowane z KPO. Tak wygląda w praktyce wielki sukces, którym chwali się obecna władza.

A dziś rozstrzyga się sprawa jeszcze poważniejsza – budżet UE na lata 2028–2034. Już słyszymy od dziennikarzy w Brukseli, że „Polska odpuszcza" walkę o ambitne cele w negocjacjach nad unijnym portfelem. Rząd Tuska łagodzi stanowisko, a do regionów popłynie mniej pieniędzy. Zatem nie ma w rządzie determinacji, by obronić środki dla polskich rolników, samorządów i przedsiębiorców.

Przed panią Bartol więc trudne zadanie. Ale jedno chyba wie? Przyjmując ministerialną tekę, od teraz będzie własną twarzą firmować politykę tej ekipy. Nie będzie już można zasłaniać się urzędniczą neutralnością ani dyplomatycznymi formułkami.

Tusk nie ma dziś żadnych powodów do samozadowolenia. I nie zmieni tego uśmiech na twarzy awansowanego ministra Andrzeja „dziury" Domańskiego. Polska nie potrzebuje też kolejnej twarzy do firmowania rządowych porażek. Dlatego zarówno ja, jak i wielu Polaków wierzymy, że został już tylko rok tej fatalnej władzy.

Arkadiusz Mularczyk

Bardzo osobista tęsknota

Z reżyserem Sebastianem Chondrokostasem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Dlaczego nakręcił pan film „Lachtara. Tęsknota"?

Sebastian Chondrokostas: Jestem pół-Grekiem. Mój ojciec urodził się w Polsce, z dziadków Greków, partyzantów wojny domowej 1949 r. Był z pokolenia Milo Kurtisa, Costy Cordalisa i Eleni, jeszcze pochodzącego z czysto greckiej krwi. Natomiast ja już jestem z mieszanej rodziny. Moja mama jest Polką. Ten film jest bardzo osobisty, ale tylko w pewnym stopniu dotyczy wątków mojej biografii. To są pewne wektory emocjonalne, natomiast cała historia jest fikcyjna, bazuje także na doświadczeniach innych członków mojej polsko-greckiej rodziny czy rodzin moich przyjaciół, pół-Greków, pół-Macedończyków.

Za czym tęsknią bohaterowie filmu?

Greckie słowo „lachtara" poza tęsknotą ma w sobie konotację związaną z pragnieniem,



Fot. Karina Kosznik

silnym dążeniem do czegoś. Tworząc tę historię (korespondującą też ze współczesną emigracją), bardzo szybko się zorientowaliśmy, że to uczucie mocno dopełnia tęsknotę bohaterów za utraconą ojczyzną, rodziną, bliskimi, dziećmi...

Czy Wałbrzych, z którego bohater wyrusza w daleką drogę, jest i dla pana ważny?

To rodzinne miasto mojego ojca. Ja pochodzę z Białegostoku, jak moja mama. Rodzice poznali się w latach 70. na planie filmu „Zawiłości uczuć". Ojciec występował w zespole muzycznym zaangażowanym do tej produkcji. Mama projektowała kostiumy. Rodzice rozstali się, kiedy miałem siedem lat. Jako czternastolatek pierwszy raz pojechałem do ojca, który mieszkał w Atenach. Potem w wyniku pewnego zaniechania przestaliśmy utrzymywać kontakt na wiele lat.

Czytaj też na str. 57

Autopromocja

eprasa.pl a3944fb8dc

A oni wciąż siedzą za stodołą



Samuel Pereira

Obietnice niespełnione mają to do siebie, że po jednej kampanii można je w następnej wykorzystać. Podobnie jest ze strachami. Ostatnio znowu w modzie jest straszenie wyjściem z Unii Europejskiej. Stare lęki, podważone zresztą już siedem lat temu przez jej głównego kapłana. Donald Tusk, bo o nim mowa, w grudniu 2019 r. w Gdańsku przyznał, że jeśli Polsce grozi opuszczenie UE, to raczej poprzez wypchnięcie (nazywając to w swojej ulubionej wulgarnej mowie „wypierpol"). To oczywiście nigdy mu nie przeszkodziło straszyć tym wciąż i wciąż, w 2021, 2023 r. i teraz znowu.

Gdybym mógł mieć zaufanie do dobrych intencji premiera, uwierzyłbym, że nie zrozumiał, co Jarosław Kaczyński mówił w godzinnym wystąpieniu w Krynicy. Reforma? To zbyt trudne słowo dla Tuska, likwidacja prostsze. Inna sprawa, że twierdzenie, że krytyka = wyjście pokazuje, jak daleko są „demokraci" od rozumienia demokracji. Na szczęście Polacy są już nauczeni doświadczeniem rozgrywek unijnych komisarzy, którzy środkami europejskimi chcą wpływać na wyborcze decyzje Europejczyków, i tak łatwo fejkowej narracji o „polexicie" nie kupią.

Już nie tylko przewodniczący Koalicji Obywatelskiej wraca do starej bajki. W sukurs biegnie Władysław Kosiniak-Kamysz, który już ogłosił, że słowa Kaczyńskiego uruchomiły kampanię wyborczą i mają zdefiniować podział, czyli że właśnie ten odkurzony fejk o „polexicie" będzie osią kampanii. Jak zwykle: fałszywej. Stary strach, w który sam Tusk, jak kiedyś przyznał, nie wierzy, znów ma służyć mobilizacji i odwróceniu uwagi od niespełnionych obietnic rządu. Krytyka obecnej UE, postulat reformy traktatów czy obrona suwerenności to dla „uśmiechniętej" koalicji automatycznie „chęć wyjścia". Proste, wygodne i nie tyle durne, ile mało ambitne. W końcu nie „sramy w polu", więc po co cokolwiek zmieniać? Polacy jednak są dziś mentalnie już dużo dalej niż obóz władzy i widzą różnicę między żądaniem Unii zgodnej z traktatami a likwidacją członkostwa. Gorzej, że rządzący wciąż tam zostali: za stodołą.



GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52 telewizja naziemna | 909 921, 196 polsat box | 62 CANAL+ | 192 netia | 32 orange | 825 vectra | 65 339, 121 PLAY | 202 T | 631 TOYA | 43 evio | 459 inea | EPG 825, EPG PON 257 multiMedia | YouTube TelewizjawPolsce24

eprasa.pl a3944fb8dc

Warszawo, ty moja Warszawo



Zbliża się 11 listopada, święto państwowe. Dla większości Polaków – feta narodowej dumy. Czy na pewno dla większości?

Jak co roku ulicami stolicy przejdzie Marsz Niepodległości. I jak co roku będzie trwać spór o to, czy szło w nim 100 tys. manifestujących czy może więcej.

W największym polskim mieście, w którym na co dzień przebywa (mieszka, pracuje, dojeżdża) ponad 2 mln ludzi, swoją polskość manifestuje zaledwie 5 proc. populacji! A może i mniej: znaczna część uczestników Marszu to przyjezdni, którzy zjechali tu zewsząd autokarami.

Syndrom wielkich miast nie jest naszą specyfiką. Nowy Jork jest zupełnie inny niż reszta USA. Paryż to nie to samo co francuska prowincja. A mieszkańcy dzisiejszego Londynu też odstają mentalnie od szkockich górali. Jeśli ten trend się nie zmieni, Warszawa stanie się pierwszą w naszym kraju miejską dżunglą z płonącymi na ulicach samochodami, walkami migranckich gangów i demolką miasta przy każdym większym zgromadzeniu.

Cieszmy się zatem bezpiecznym (na razie) pochodem polskich patriotów. Chrońmy go przed prowokacjami służb (podpalenia, rozbijanie, aresztowania uczestników) i najazdem zagranicznych zadymiarzy (*vide*: Nowy Świat w 2011 r. i rajd uzbrojonych bojówek „antyfaszystów" z niemieckiej Antify).

Co wydarzyło się w ciągu trzech dekad, że mieszkańcy stolicy – następcy i potomkowie bohaterskich powstańców warszawskich – zobojętnieli na polskość? Czy z tej równi pochyłej, ściągającej nas w otchłań zniewolenia, jest jeszcze droga odwrotu?

„Trzeba z żywymi naprzód iść, / Po życie sięgać nowe... / A nie w uwiędłych laurów liść / Z uporem stroić głowę" – tak pisał 150 lat temu Adam Asnyk, poeta filozof. Brzmi jak wyborczy slogan lewicy: „Wybierzmy przyszłość". Mimo to nasz pozytywista walczył o wolność Polski w powstaniu styczniowym. Można więc być i nowoczesnym, i rozsądnym, i patriotą.

„Na kursie i ścieżce" do utraty suwerenności wraca cytat z „Wesela": „Miałeś, chamie, złoty róg [...]".

Lech Makowiecki

ZDJĘCIE TYGODNIA

Wyjątkowa wystawa dawnych zegarów na Zamku Królewskim w Warszawie



Fot. PAP

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA S.A.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA S.A., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA S.A. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: PAP/MARCIN OBARA x2, PIS.ORG.PL, ANDRZEJ WIKTOR, UWAGA, ŚMIECIARKA JEDZIE – WARSZAWA/FACEBOOK, SHUTTERSTOCK

Zamów prenumeratę Sieci!

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	**118** zł	**207** zł	**375** zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl a3944fb8dc



Consigliere Tuska

Fot. PAP/Marcin Obara

Do sierpnia br. opinia publiczna w większości nie miała świadomości istnienia kogoś takiego jak Maciej Berek. Niezależnie od pełnionej przez niego nadzwyczaj ważnej funkcji. Był szarą eminencją i trzeba stwierdzić, że unikał rozgłosu wokół siebie. Nawet więcej – strzegł nie tylko swojej prywatności, lecz także pilnował, aby nie upubliczniać żadnych informacji na swój temat.

KOWBOJ W TRYBUNALE

Zapadła jednak strategiczna decyzja. To Berek ma być tym, który przejmie Trybunał Konstytucyjny dla obecnej władzy. Wersje przekazu o początku tej decyzji są różne. Słychać, że był to jego pomysł wynikający ze znużenia dotychczasową, rzeczywiście ciężką i mało spektakularną, pracą w kancelarii premiera. Według innych to Donald Tusk zadecydował, wskazując na Macieja Berka jako na osobę najbardziej zdatną do odbicia TK. Obie wersje nie wykluczają się w tym sensie, że ewentualna ambicja Berka współgra z oczywistymi zamiarami Tuska.

Sprawa jednak się przeciąga i coraz bardziej komplikuje. To przecież w końcu sierpnia Tusk wygłosił słynną już deklarację na temat przejęcia Trybunału: „Muszę we wrześniu mieć pewność, że nasi sędziowie wejdą do tego gmachu i że to będzie wszystko zgodne z prawem". Mamy już listopad, a Bogdan Święczkowski jak był prezesem TK, tak nadal nim jest.

Teraz słyszymy od najważniejszych członków obecnego rządu, że sprawa zostanie załatwiona do grudnia czy też do świąt Bożego Narodzenia. Niewykluczone. Władza ma siłę i środki, np. do tego, aby zaszantażować lub przekupić kogoś ze starych sędziów. Ale też wcześniej słyszeliśmy kilka razy, że wejście do TK jest kwestią najbliższego czasu. Źródłem tych zapowiedzi byli ludzie z kręgu władzy. Zatem wygląda na to, że plan nie idzie zgodnie z założonym harmonogramem.

Dodatkową komplikacją, i to bardzo poważną, są słowa Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz ujawnione przez telewizję wPolsce24. Konstytucyjna minister



PIOTR GURSZTYN

Maciej Berek wypłynął na szerokie wody i od razu w niebezpieczny rejs. Już z niego nie zawróci, bo nie może i raczej nie chce. Przez długie lata funkcjonował w cieniu, ale wykonywał ważne zadania i zawsze bardzo blisko Donalda Tuska. Był jego prawą ręką. Teraz ma być prawą pięścią

rządu Tuska potwierdziła kluczową wątpliwość dotyczącą Berka jako kandydata na sędziego Trybunału Konstytucyjnego: „Wbrew wszelkim rzeczom, które głosiliśmy i o które poszliśmy walczyć też w 2023 r., była sprawa Maćka Berka, którego niezwykle szanuję, ale który jest politykiem, który bezpośrednio z rządu poszedł do TK, który myśmy wołali, że należy odpolitycznić, a tymczasem sami wprowadziliśmy polityka do TK. Co więcej, i to jest smutna prawda, ale prawda – niespełniającego formalnych kryteriów. I to jest fakt, poparliśmy to".

Chodzi oczywiście o staż rzeczywistej pracy Berka jako radcy prawnego. I jest to zasadnicza informacja, niezależnie od prób jej przemilczania przez obóz władzy i media liberalne. Trzeba stwierdzić, że prezydent – występujący tu w wygodnej, lecz mocno zapisanej w ustawie zasadniczej roli strażnika konstytucji – dostał piękny prezent na złotej tacy. Co zresztą już zostało zakomunikowane opinii publicznej.

Czy to zatrzyma Berka i cały jego obóz? Teraz oczywiście nie. Jesteśmy świadkami pokazu determinacji, tak samo brutalnej, jak rozpaczliwej. Polityka Donalda Tuska jest jak jazda z biletem tylko w jedną stronę. To konsekwencja jego metody, czyli ciągłego niszczenia reguł, łamania prawa i nieustannej eskalacji wojny politycznej w Polsce. Zawrócić się nie da, a wiele wskazuje na to, że nie będzie reelekcji w 2027 r. Przejęcie Trybunału, co już wszyscy wiedzą, ma być sposobem na bezkarność w niedobrym dla Tuska wariancie.

Z jednej strony TK będzie „trzecią izbą parlamentu" paraliżującą działania kolejnego rządu oraz obcinającą uprawnienia głowy państwa. Z drugiej zalegalizuje wszystkie bezprawia obecnej kadencji. Istnieje już ponoć lista takich pięćdziesięciu spraw. Przygotowana w KPRM jeszcze za czasów Macieja Berka i jego następczyni Joanny Knapińskiej.

„Wchodzi Maciej Berek do Trybunału Konstytucyjnego i chciałbym, żeby wszedł kopniakiem w drzwi i zrobił tam porządek. To jest wojna i trzeba zawodników. Rolą Berka, po pierwsze, jest działanie w stroju kowboja z rewolwerami u boku. Berek z urzędnika, prawnika, urzędnika kancelarii premiera, przecież taka jest prawda, staje się dzisiaj zawodnikiem MMA, który wkracza do Trybunału" – zapowiadał publicznie Bartosz Arłukowicz. To nie był niekontrolowany strumień świadomości przypadkowego parlamentarzysty Koalicji Obywatelskiej. Arłukowicz całkiem szczerze opisał oczekiwania wobec Berka i wyznaczone mu zadania.

Brzmi niezbyt mądrze, bo zbyt agresywnie? Władza, jak już pisaliśmy, nie ma szczególnego wyboru. Jej pole manewru ograniczyło się do wymachiwania kijem, bo nie ma już żadnej marchewki. Ktoś może być zdziwiony tym, dlaczego Berek – prawnik o dystyngowanym wyglądzie, doktor, wykładowca akademicki – wchodzi w działania o gangsterskiej estetyce? Przecież także ludzie o poglądach liberalnych już wiedzą, że nie będzie żadnym niezawisłym sędzią. Tylko „prawą ręką" Tuska. A teraz nawet „prawą pięścią".

eprasa.pl a3944fb8dc

U BOKU TUSKA

To konsekwencja jego dotychczasowego życiorysu. Przez prawie całe swoje życie zawodowe jest związany z Tuskiem. Jego powodzenie, niezależnie od rzeczywistych zdolności, zależało od pozycji politycznej tego patrona. Berek jest sprawny, więc uznano, że będzie wiedział, jak się poruszać w przejmowanym TK. Zawsze był lojalny, zwłaszcza że jedzie na tym samym wózku, co cała Koalicja Obywatelska.

Maciej Berek skończył 54 lata. Może to był moment, w którym uznał, że czas wyjść z cienia. Bo jak nie teraz – gdy bliski jest koniec kadencji rządu Tuska – to kiedy? Nie można mu odmówić dużego formatu umysłowego, co jest o tyle ciekawe, że jest jedyną w miarę wybitną osobowością, którą Tusk toleruje w swoim otoczeniu. Reszta to dworzanie w postaci niezbyt udanego polityka Pawła Grasia czy byłej reporterki Polskiego Radia, również osoby maksymalnie przeciętnej – Agnieszki Rucińskiej. Tusk źle znosi ludzi o ponadprzeciętnym formacie, a Berek przetrwał przy nim prawie trzy dekady.

To akurat łatwo wyjaśnić: Berek nie wykazywał się żadnymi ambicjami politycznymi ani tym bardziej przywódczymi. Ale też Tusk potrzebował kogoś zaufanego, kogo można nazwać złośliwie consigliere. A jak consigliere, to przecież nie caporegime, który mógłby zagrozić pozycji capo di tutti capi.

Porównanie do consigliere jest oczywiście dość złośliwe, ale Berek ma cechy, które prowokują takie skojarzenia. Na przykład pilnie strzeże swojej prywatności. Jedyne, co wiadomo – i to też tylko dzięki oświadczeniu majątkowemu – to fakt, że ma żonę. A i tak z tym rutynowym dokumentem jest pewien problem. Nie taki jak u Waldemara Żurka, który pilnie strzeże swoich włości przed wiedzą opinii publicznej. Jednak to na tyle poważna sprawa, że mocno zaciekawiła Pawła Jabłońskiego, posła, a prywatnie adwokata. Jabłoński zgłosił to nawet do CBA, a sprawa dotyczy oczywiście stażu pracy Macieja Berka jako radcy prawnego i tego, czy rzeczywiście nim był, gdy pracował na etacie w wielu instytucjach i pobierał tam pensję. To kolejna sprawa – tak jak wypowiedź Pełczyńskiej-Nałęcz – która może się wlec za Berkiem, gdy tylko zmieni się władza.

Zawodowa, a przy tym polityczna droga Berka zaczęła się od razu po tym, gdy ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Gdańskim. Zaczął pracę w Kancelarii Senatu RP. Znalazł ją, jak sam opowiadał, z ogłoszenia. Tam poznał się z Donaldem Tuskiem, który wtedy znalazł się na zupełnie bocznym torze: był senatorem i wicemarszałkiem Senatu w kadencji 1997–2001. Sam jednak przyznawał, że nudził się tam śmiertelnie. Możliwe przy tym, że drogi Berka i Tuska przecięły się wcześniej. Berek opowiadał o pierwszym zetknięciu z Tuskiem już na początku lat 90. w Gdańsku. To możliwe, choć Tusk tego nie pamięta, co o tyle zrozumiałe, że był już wtedy bardzo znanym politykiem, a Berek studentem.

> Ceniony do tej pory prawnik stał się głównym uczestnikiem jednej z największych awantur politycznych ostatniego trzydziestolecia. Także skandalu

W Senacie Berek zaczynał jako szeregowy legislator, a potem doszedł do stanowiska wicedyrektora Biura Prawno-Organizacyjnego. Współpraca z Tuskiem dotyczyła m.in. pracy nad projektami ustaw wprowadzającymi bezpośredni wybór wójtów, burmistrzów i prezydentów miast. Na pewno Senat był początkiem tego, co widzimy teraz, czyli długiej i intensywnej kooperacji. Zresztą nie tylko z Tuskiem, lecz także z innymi postaciami Platformy Obywatelskiej.

W 2004 r. Berek miał epizod w Najwyższej Izbie Kontroli, w której był wicedyrektorem w dwóch departamentach. A tak się złożyło, że prezesem NIK był wtedy Mirosław Sekuła. Ten sam, który kilka lat później, jako poseł PO, dał się poznać z niezbyt chlubnej roli przewodniczącego sejmowej komisji śledczej ds. afery hazardowej. Zatem widać, że nie był to przypadkowy epizod, bo dokładnie w tym czasie, w 2005 r., Berek wystartował w wyborach parlamentarnych z list Platformy. Formalnie bezpartyjny, co wynikało z tego, że był wtedy wicedyrektorem NIK.

Nie zdobył mandatu i już więcej nie próbował swoich sił w tej konkurencji. To jasne, że walka polityczna na pierwszej linii mu nie odpowiadała, ale bez przerwy był kimś ważnym dla partii, a szczególnie jej lidera. Z miejsca po wygranych przez PO wyborach w 2007 r. objął kluczowe stanowisko, świadczące o wielkim zaufaniu do jego osoby. Został szefem Rządowego Centrum Legislacji i pełnił tę funkcję bardzo długo, bo przez obie kadencje rządów PO. Jednocześnie był dociążany kolejnymi istotnymi zadaniami. Szybko został też sekretarzem Rady Ministrów i pełnił tę funkcję aż do przegranych przez PO wyborów.

W tym czasie miał już szykowany spadochron, i to taki, który by mu pozwolił na ponowną bliską pracę ze swoim najważniejszym protektorem. Rząd Ewy Kopacz nominował go na kandydata Polski do Europejskiego Trybunału Obrachunkowego. Nie zdążył tam pojechać, bo nowy rząd Prawa i Sprawiedliwości unieważnił całą procedurę i na jego miejsce zgłosił Janusza Wojciechowskiego.

NA MARGINESIE

Maciej Berek znalazł się na uboczu, co skądinąd pokazuje, jak ważne jest dla niego wsparcie Donalda Tuska. Zwłaszcza jeden niemiły epizod, ale o tym za chwilę. Za czasów rządów prawicy Berek zajął się swoimi sprawami. Pracował jako wykładowca na Uniwersytecie Warszawskim i Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej. Wtedy zrobił też doktorat u prof. Marka Zubika. Napisał dysertację na podstawie własnej pracy zawodowej: „Rada Ministrów jako organ inicjujący postępowanie ustawodawcze". Z jakichś powodów nie zrobił habilitacji, czego musi dzisiaj żałować,

eprasa.pl a3944fb8dc



Przez prawie całe swoje życie zawodowe Maciej Berek jest związany z Donaldem Tuskiem. Jego powodzenie, niezależnie od rzeczywistych zdolności, zależało od pozycji politycznej tego patrona. Na zdjęciu na posiedzeniu rządu w grudniu 2009 r.

bo gdyby ją miał, to nikt nie mógłby zakwestionować jego formalnych kompetencji do sprawowania godności sędziego Trybunału Konstytucyjnego.

Zdawało się, że światełko jaśniej zaświeciło po 2019 r., czyli wtedy, gdy ówczesna opozycja zdobyła większość w Senacie. Jesienią 2020 r. został dyrektorem Centrum Informacyjnego Senatu. Zastąpił na tym stanowisku Grzegorza Furgo, który musiał odejść wskutek intryg dwóch osób z najbliższego otoczenia ówczesnego marszałka Senatu, Tomasza Grodzkiego. Długo nie zagrzał tam miejsca. Też wolał odejść, bo padł ofiarą mobbingu. Okazało się, że dla marszałka Grodzkiego jest mniej ważny niż panie Małgorzata Daszczyk i Anna Godzwon. Jedna była szefową gabinetu marszałka i łączyły ją z nim nadzwyczaj bliskie więzi. Druga, niegdyś reporterka Polskiego Radia, była wiceszefową CIS, czyli formalnie podwładną Berka. A faktycznie miała taką pozycję przy Grodzkim, że wygryzła swojego szefa. Donalda Tuska wtedy nie było jeszcze w kraju i nie było też pewne, czy wróci do Polski. Zatem jego prawnicza prawa ręka nie cieszyła się zbytnim poważaniem w kręgach kierowniczych „strony demokratycznej".

Wtedy się okazało, że poza Tuskiem w PO nie ma nikogo, kto by go przygarnął. Znalazł pracę po linii niepolitycznej, lecz koleżeńskiej. Zatrudnił go Rzecznik Praw Obywatelskich Marcin Wiącek. Panowie znali się ze wspólnej pracy w Katedrze Prawa Konstytucyjnego Uniwersytetu Warszawskiego. Berek został u Wiącka dyrektorem generalnym i głównym koordynatorem ds. rozwoju strategicznego. Znalazł sobie jeszcze dodatkową pracę jako legislator Pracodawców RP. Niezbyt zabawnym zbiegiem okoliczności było to, że objął obowiązki 1 lutego 2023 r., czyli dokładnie w momencie aresztowania szefa Pracodawców RP Rafała Baniaka. Nic jednak nie wskazuje na to, żeby sprawiło mu to jakiś kłopot. Pracował tak samo pod nowym szefem, czyli byłym prezydentem Wrocławia Rafałem Dutkiewiczem.

FACET Z TRAMPOLINY

Karta odwróciła się wraz z wyborami 2023 r. Natychmiast u boku Donalda Tuska znalazł się i Maciej Berek. Jak poprzednio w cieniu, ale znów w strategicznym miejscu. W sumie na jeszcze ważniejszej pozycji, bo w odróżnieniu od gabinetów PO z lat 2007–2015, w obecnym rządzie Tuska nie ma w ogóle postaci z jakimkolwiek znaczeniem. 12 grudnia 2023 r. Maciej Berek został ministrem-członkiem Rady Ministrów. Myśl o wypłynięciu na szerokie wody nie narodziła się od razu. Następny awans, który spotkał Berka, też dotyczył spraw zakulisowych. W marcu 2025 r. został szefem zespołu ds. deregulacji w KPRM. Ale już po wyborze Karola Nawrockiego na prezydenta sytuacja się zmieniła. W lipcu 2025 r. stał się ministrem ds. nadzoru nad wdrażaniem polityki rządu. Mówiąc prościej: karbowym pilnującym członków rządu i popędzającym ich do pracy. To oczywista reakcja na fakt, że przed Donaldem Tuskiem wyrosło nowe wyzwanie. A właściwie zagrożenie, czyli młodszy od Tuska o 26 lat Karol Nawrocki.

I tu możemy wrócić do „rekomendacji" Macieja Berka autorstwa Bartosza Arłukowicza. Ceniony do tej pory prawnik stał się głównym uczestnikiem jednej z największych awantur politycznych ostatniego trzydziestolecia. Także skandalu. On i jego zleceniodawca mogli zlekceważyć zdanie swoich przeciwników politycznych, łącznie z prezydentem. Jednak kandydatura Berka to splunięcie w twarz własnym wyborcom, których większość negatywnie oceniła wysunięcie jego osoby. Można tu przypomnieć dowcip o facecie, który był oburzony tym, że wyrzucono go z pływalni za to, że sikał do basenu. Tłumaczył się, że wszyscy to robią. „Ale ty jeden sikałeś z trampoliny" – usłyszał w odpowiedzi. Berek i Tusk są tymi facetami z trampoliny.

Zanim zaczęły się wątpliwości z formalnymi uprawnieniami Berka (pytany o nie marszałek Sejmu publicznie odpowiada, że go to nie obchodzi), jego trybunalskie aspiracje skrytykowały chyba wszystkie liberalne NGO zajmujące się zagadnieniami prawnymi i ustrojowymi: Helsińska Fundacja Praw Człowieka, Fundacja Batorego, Panoptykon i wiele innych. Dzisiaj jest to lekceważone, ale to już na zawsze zostanie w życiorysie Berka.

Cnotę już stracił. Rubla jeszcze nie zarobił i nie jest pewne, czy to mu się uda. Były prezes Trybunału Konstytucyjnego Jerzy Stępień, również ważna postać po liberalnej stronie, zauważył rzecz w sumie oczywistą. To, że każda następna władza odwoła „naszych" sędziów i powoła swoich. Idąc drogą wytyczaną teraz przez Donalda Tuska.

Fot. PIOTR BŁAWICKI / EAST NEWS

eprasa.pl a3944fb8dc



Jak zachęcić przedsiębiorców do inwestycji

Fot. pis.org.pl

eprasa.pl a3944fb8dc

Wprowadzenie jednorazowej amortyzacji jako kosztu uzyskania przychodów, bez limitów i dla wszystkich rodzajów przedsiębiorstw, jest pomysłem na istotne zwiększenie inwestycji w sektorze prywatnym, a także na większy napływ kapitału zagranicznego i jego zaangażowanie w proces odbudowy przemysłu w Polsce

Z dr. hab. Mariuszem Andrzejewskim, profesorem Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, który w sprawach gospodarczych współpracuje z Radą Programową Prawa i Sprawiedliwości, rozmawia Jerzy Szmit

Współtworzy pan program gospodarczy Prawa i Sprawiedliwości. Na pierwszy ogień idzie rezygnacja z drastycznie wysokiej składki zdrowotnej dla przedsiębiorców.

Mariusz Andrzejewski: Tak, od lat w naszej katedrze mamy stały kontakt z liczną grupą przedsiębiorców zgłaszających nam te kwestie podatkowe, które są dla nich krzywdzące. I jedną z nich jest powrót do zasad płacenia składki zdrowotnej sprzed 2022 r. Przyjęcie przez Radę Programową Prawa i Sprawiedliwości tego postulatu – o czym dyskutowałem na wielogodzinnych spotkaniach z prezesem Jarosławem Kaczyńskim, prof. Piotrem Glińskim, prof. Zbigniewem Rauem, a także z dr. Zbigniewem Kuźmiukiem – świadczy też o przyjęciu naszego punktu widzenia na sprawę roli małych i średnich polskich przedsiębiorstw w rozwoju naszej gospodarki. Roli, która jest kluczowa. Dlatego też bardzo mnie ucieszyło późniejsze stwierdzenie prof. Przemysława Czarnka, który w jednym z wywiadów powiedział, że to był błąd i wracamy w tym obszarze do „ustawień fabrycznych", czyli do stanu sprzed zmiany w 2022 r.

A propozycja wprowadzenia jednorazowej amortyzacji, która dla całej wydatkowanej kwoty na inwestycje będzie od razu uznawana za koszt uzyskania przychodów? Ma to być wprowadzone zarówno dla przedsiębiorstw płacących CIT, jak i przedsiębiorców rozliczających się w PIT bez ograniczeń co do kwoty wydatkowanych środków na zakupy inwestycyjne?

Tak. I jest to propozycja, która dla przedsiębiorców będzie pozytywną zmianą. Można ją określić mianem rewolucji w polskim systemie podatkowym. Chcemy oczywiście, żeby o skali zastosowania tej ulgi decydował sam przedsiębiorca. A zatem każdy przedsiębiorca wydatkowane pieniądze, np. na zakup maszyn albo innych środków trwałych, będzie mógł w całości odjąć od dochodu albo będzie mógł to zrobić w częściach, co także pozwoli mu poprawić albo regulować swoją zdolność kredytową.

Najważniejszym celem tej propozycji jest zachęcenie polskich przedsiębiorców do inwestowania swoich prywatnych środków finansowych w rozwój przemysłu. Obecnie na rachunkach bankowych jest zgromadzonych ponad 550 mld zł, a od wielu lat wszyscy zajmujący się sprawami gospodarczymi słusznie zwracają uwagę, że potrzeba większych inwestycji w sektorze prywatnym. Wszyscy się zastanawiają nad zachęceniem prywatnych przedsiębiorców do inwestowania ich środków finansowych w rozwój przemysłu w naszym kraju. Wprowadzenie jednorazowej amortyzacji jako kosztu uzyskania przychodów bez limitów i dla wszystkich rodzajów przedsiębiorstw jest pomysłem na istotne zwiększenie inwestycji w sektorze prywatnym, a także na większy napływ kapitału zagranicznego i jego zaangażowanie w proces odbudowy przemysłu w Polsce.

Jednak spowoduje to obniżenie wpływów z podatku dochodowego CIT, ale także PIT od mniejszych firm.

Tym rozwiązaniem chcemy wywołać znaczny wzrost zakupów inwestycyjnych. Mamy nadzieję, że wywoła to wręcz boom inwestycyjny, a to będzie oznaczało większe wpływy z VAT i jeszcze większy wzrost gospodarczy; wzrośnie zatrudnienie w przemyśle. Dlatego wzrosną wpływy z PIT od pracowników. Nawet gdyby te zwiększone wpływy nie pokryły ubytków w pierwszym czy drugim roku (choć nie musi tak być), to po dwóch, a na pewno trzech latach budżet poczuje bardzo korzystne zmiany, bo gospodarka będzie się rozwijała nie tylko przez wydatki konsumpcyjne, lecz także dzięki uruchomieniu własnego silnika inwestycji prywatnych. Takie rozwiązanie stworzy zachętę do rozwoju firm, w tym przede wszystkim firm przemysłowych.

Metodą jest zatem dobre wyregulowanie podatków, także ich rozsądne obniżanie, w zamian za spowodowanie większej aktywności inwestycyjnej, a to pozwoli nam na utrzymanie, nawet zwiększenie wzrostu PKB, i w konsekwencji zapewni większe środki wpływające do budżetu państwa.

Co jeszcze proponujecie?

Gigantycznym problemem polskiej gospodarki i w efekcie finansów publicznych stała się dziś szara strefa w gospodarce. Jej skala jest obecnie szacowana na 18 proc. PKB, czyli na blisko 660 mld zł! Chcemy, aby te firmy wróciły w pełni do oficjalnego obiegu. Obniżenie składki zdrowotnej, jednorazowa amortyzacja, powrót karty podatkowej, a także zawieszenie KSeF dla małych firm, np.

eprasa.pl a3944fb8dc

na dwa lub trzy lata – to propozycje, które zmniejszą skalę szarej strefy, czyli zwiększą wpływy podatkowe do budżetu państwa.

Teraz np. obserwujemy sytuację, w której mała firma zbliża się do obrotu 60 tys. zł, a do końca roku zostało jeszcze kilka miesięcy, zatem przechodzi do szarej strefy, bo trudno jej zapłacić wyższą składkę zdrowotną, tym bardziej że po przekroczeniu tego progu przedsiębiorca musi wyrównać wcześniej odprowadzone składki do wyższego poziomu. Takie przejście przedsiębiorcy do szarej strefy należy przyjąć ze zrozumieniem, gdyż jeżeli z uzyskiwanych środków, po zapłaceniu wszystkich podatków i składek ZUS, nie zostaje mu już nic – to z niczego nie da się utrzymać rodziny. A warto dodać, że w trakcie rozmów na forum Rady Programowej PiS uzgodniliśmy, że na sektor MSP patrzymy przez pryzmat budżetów rodzinnych tych ludzi, którzy starają się utrzymać z własnej, prywatnie prowadzonej działalności gospodarczej, co często jest dziś niezwykle trudne.

A zatem walka z szarą strefą będzie prowadzona w obszarze małych i średnich przedsiębiorstw nie kijem, ale marchewką. Chcemy poprzez obniżenie składki zdrowotnej, przywrócenie karty podatkowej i poprzez możliwość zawieszenia KSeF dla małych przedsiębiorstw pozytywnie „wyciągać" naszych przedsiębiorców z szarej strefy. I te działania doprowadzą do zwiększenia wpływów podatkowych, a nie do zmniejszenia.

Następne miałoby być podniesienie pierwszego progu podatkowego do 180 tys. zł.

Tak, ale to jest propozycja, którą zgłosili wcześniej parlamentarzyści Prawa i Sprawiedliwości, a którą my jako eksperci współpracujący z Radą Programową PiS popieramy i, co więcej, uważamy ją za lepszą od obecnie procedowanej w parlamencie propozycji rządowej, która ma podnieść próg ze 120 do 130 tys. zł dla stawki 12-procentowej, a dla przedziału 130–150 tys. zł ma wprowadzić nową stawkę 24-procentową.

Ale uwaga! To wszystko odbywa się na zasadzie: zabrać jednym, żeby dać drugim. Mówię to, gdyż w tej samej ustawie widnieje propozycja drastycznego obniżenia progu dla rozliczających się dziś w ramach podatku ryczałtowego, a jest to obniżenie tego progu z 2 mln do 250 tys. euro. Dlatego popieramy propozycję PiS, czyli jednoznaczną zmianę, bardzo korzystną dla milionów Polaków, która podwyższa ten próg ze 120 do 180 tys. zł. Co ważne, propozycja ta może być uchwalona i wprowadzona w życie dla tego samego roku, czyli dla 2027 r., jeżeli w nowym parlamencie po jesiennych wyborach Prawo i Sprawiedliwość będzie miało większość sejmową. Zgodnie z regułą, że korzystne dla podatników zmiany można wprowadzać w danym roku podatkowym, którego te zmiany mają dotyczyć. A zatem szybko wprowadzone, o wiele lepsze dla podatników, rozwiązanie również ma szansę obowiązywać już przy rozliczeniach podatkowych za 2027 r.

> Gigantycznym problemem polskiej gospodarki i w konsekwencji finansów publicznych stała się dziś szara strefa w gospodarce. Jej skala jest obecnie szacowana na 18 proc. PKB, czyli na blisko 660 mld zł! Chcemy, aby te firmy wróciły w pełni do oficjalnego obiegu. Dlatego tworzymy dla nich różne zachęty

Skąd pan czerpie wiedzę o funkcjonowaniu małych firm?

Z praktyki, bezpośrednio od przedsiębiorców, z którymi jesteśmy w stałym kontakcie. Stale współpracuję z dr. Witoldem Furmanem z naszej katedry, którego biuro podatkowe obsługuje kilkadziesiąt firm, i dzięki temu doskonale wiemy, co się dzieje na rynku i w jaki sposób można porządkować gospodarkę, aby poprawić sytuację wśród przedsiębiorców, którzy chcą płacić podatki, chcą działać legalnie.

Ale też widzimy procesy unikania płacenia podatków, do których dochodzi w obszarze dużych przedsiębiorstw, w tym szczególnie wśród dużych międzynarodowych grup kapitałowych działających w naszym kraju.

A co z podatkiem obrotowym od wielkich firm?

Dokładna analiza skutków wykazała, że to uderzyłoby także w polskie firmy, więc od tego odstępujemy. Jednak widzimy, że wielkie międzynarodowe firmy uciekają od płacenia podatków – mówimy tu o podatku CIT. Natomiast jeżeli ktoś ma ogromne zyski i pomniejsza je przed opodatkowaniem, np. przez różne rozliczenia z firmą matką, choćby poprzez zakup od niej licencji, to znajdziemy mechanizmy, aby to ukrócić. Problem unikania opodatkowania przez fikcyjne transfery dostrzega też Unia Europejska: zakupy licencji, usług zarządzania, wykorzystanie znaków towarowych. Są metody, aby z tym walczyć, i obecnie pracujemy nad przygotowaniem odpowiedniej propozycji dla Rady Programowej PiS.

W 2015 r., gdy rząd PiS rozpoczynał pracę, jednym z najważniejszych celów była likwidacja luki vatowskiej. Czy teraz też tak będzie?

Wyłudzanie VAT nadal jest problemem, choć teraz, po wprowadzeniu przez rząd Prawa i Sprawiedliwości JP-ków, a także dzięki wprowadzeniu KSeF, sytuacja jest lepsza. Ten

eprasa.pl a3944fb8dc

proceder został przez PiS znacznie ukrócony. Jednak widzimy, że obecny rząd nie radzi sobie z poborem podatków, zwłaszcza w obszarze uszczelnienia CIT. A zatem chcemy metodą „marchewki" zapraszać małe i średnie firmy do wyjścia z szarej strefy i powrotu do legalnej działalności, a poprzez rozwiązania uszczelniające i poprzez ukierunkowanie działań kontrolnych (realizowanych przez Krajową Administrację Skarbową) na obszary dużych firm chcemy doprowadzić do stworzenia zasad zdrowej konkurencji, w ramach których zagraniczne firmy unikające płacenia podatku CIT w Polsce nie będą już miały takiej możliwości – a zatem nie będą miały też przewagi konkurencyjnej nad polskimi dużymi firmami, które płacą podatki w należnych kwotach. I w tym zakresie podejmiemy walkę o uszczelnienie naszego systemu podatkowego. Uważamy, że działania metodą „kija", czyli wzmożonych kontroli podatkowych, także wykonywanych za pomocą nowoczesnych technologii IT, powinny się odbywać przede wszystkim tam, gdzie ubytki podatkowe w jednej firmie mogą sięgać dziesiątków, a może nawet setek milionów złotych.

Ale jak finansować wielkie inwestycje? Przecież budżet będzie ogromnie obciążony.

Zacznę od złej wiadomości. Dzisiaj się dowiadujemy, że saudyjski gigant paliwowy Aramco podobno rozważa wycofanie się ze swoich inwestycji w Polsce. Być może natrafia na niezbyt przyjazny klimat do dalszego rozwoju biznesu. W każdym razie trzeba wrócić do odwrotnego kierunku. Trzeba też możliwie najbardziej pozytywnie odnosić się do naszych przedsiębiorców: wielkich i mniejszych. Cieszy mnie to, że prywatni polscy przedsiębiorcy biorą w swoje ręce sprawę inwestycji w SMR. Firmy państwowe powinny z nimi współpracować i wspólnie realizować np. duże projekty związane z rozwojem naszej energetyki. Dlatego jednorazowa amortyzacja będzie zachętą do większych prywatnych inwestycji. Widzimy, że np. fuzja naszej największej firmy paliwowej z firmami sektora energetycznego była dobrym krokiem. Może trzeba będzie podobnie skonsolidować sektor bankowy, aby wzrosły jego możliwości udzielania finansowania w formie kredytów na realizację dużych inwestycji w naszej gospodarce. Proponował to Daniel Obajtek. Bank Gospodarstwa Krajowego przy zachowaniu swojej roli polskiego banku rozwoju może być jeszcze bardziej aktywny, chociażby w realizacji zwiększenia podaży mieszkań budowanych we współpracy z samorządami w poszczególnych gminach. Naszym zdaniem tylko przez ucieczkę do przodu, przez zawarcie swoistej umowy społecznej z przedsiębiorcami, w ramach której poprawimy dla nich warunki uczciwej konkurencji, a także w zamian za wzrost wydatków inwestycyjnych z ich strony, możemy w znacznym stopniu rozwiązać problemy związane z ogromną dziurą budżetową i gigantycznym zadłużeniem państwa – za które odpowiada obecnie rządząca koalicja.

> Skoro mamy już te środki z SAFE i zaciągamy ten kredyt, to chciałbym zapytać, dlaczego nie występujemy do Komisji Europejskiej o zgodę na zmianę ich przeznaczenia z puli inwestycji w projekty, których możemy nie zdążyć zrealizować do 2030 r. (a taki jest wymóg). Dlaczego tych środków nie chcemy przeznaczyć na budowę amerykańskiej bazy w Polsce?

Na początku lat 90. polski kapitał zaczął się oddolnie organizować w spółdzielczych kasach oszczędnościowo-kredytowych, rozwijały się też banki spółdzielcze. Dzisiaj ten sektor jest ograniczany i spychany na margines.

Senator Grzegorz Bierecki chyba przygotowuje rozwiązania w tym zakresie. SKOK powinny móc wrócić do realizacji swojej misji – kredytowania mniej zamożnej części społeczeństwa, kredytowania małych i średnich firm działających regionalnie. W tej grupie firm także drzemie potencjał do finansowania działalności gospodarczej prowadzonej przez regionalne małe i średnie firmy, również do realizacji mniejszych inwestycji. Tak, warto poprawić regulacje prawne i uwolnić potencjał SKOK i banków spółdzielczych, oczywiście przy zachowaniu dobrze funkcjonującego nadzoru nad tymi instytucjami finansowymi.

A jak się pan odniesie do środków pozyskiwanych z programu SAFE, które są formą pożyczki, ale w walucie obcej, w euro.

Jest to finansowanie obarczone ryzykiem kursowym, a nie mamy zbyt wielkich możliwości zabezpieczenia się przed tym ryzykiem. Skoro jednak mamy już te środki i zaciągamy ten kredyt, to chciałbym zapytać, dlaczego nie występujemy do Komisji Europejskiej o zgodę na zmianę ich przeznaczenia z puli inwestycji w projekty, których możemy nie zdążyć zrealizować do 2030 r. (a taki jest wymóg). Dlaczego tych środków nie chcemy przeznaczyć na budowę amerykańskiej bazy w Polsce? Wszyscy wiemy, że wybudowanie stałej bazy będzie i dla nas, i dla Europy najlepszą gwarancją bezpieczeństwa.

eprasa.pl a3944fb8dc

Wyrok na Pełczyńską-Nałęcz

Minister funduszy i polityki regionalnej została uznana za śmiertelnego wroga i usunięta. Ale zanim obnażyła patologie rządów Tuska, długo je legitymizowała. Jej trzyletnie trwanie na stanowisku pokazuje słabość koalicji 13 grudnia



STANISŁAW JANECKI

Pierwsze sygnały, że jej nie cierpi, Donald Tusk wysłał cztery tygodnie po utworzeniu rządu. Gdy w kwietniu 2024 r. pojawiły się pierwsze relacje o tym, że niektóre panie minister wychodzą z posiedzeń Rady Ministrów z płaczem, spekulowano, że chodzi przede wszystkim o Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz. I przypisywano jej stwierdzenie, że „lepiej nie być w rządzie Donalda Tuska, ale zachować zdrowie". Tyle że nie jej to dotyczyło i nie ona wychodziła z płaczem. Ale to ona sugerowała, że w rządzie dochodzi do regularnego mobbingu. Nie trzeba było dopowiadać, że przemocowcem jest sam premier Donald Tusk, co stało się jasne po publikacjach w sierpniu 2024 r. w „Fakcie" i Onecie. Jednak dopiero w sierpniu 2025 r. dziennikarze spytali premiera Tuska o mobbing. Odpowiedział w swoim stylu: „Jeśli to jest mobbing, to wyście w życiu mobbingu nie widzieli". Jednak nie pokazał, jak wygląda ten „prawdziwy" mobbing.

Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz była ministrem przez Donalda Tuska niechcianym i szybko znienawidzonym. I choć przez półtora roku (od lipca 2025 r.) zachęcała szefa rządu, żeby powierzył jej stanowisko wicepremiera, ten nie zamierzał jej w tej roli obsadzać. Wzmocniona w Radzie Ministrów byłaby dla niego nie do opanowania. Szybko Pełczyńska-Nałęcz została zepchnięta do roli obcego ciała w rządzie i największego zagrożenia dla trwałości tego gabinetu. Premier przez wiele miesięcy nawet odmawiał z nią spotkania.

Pełczyńska-Nałęcz otrzymała od partii rekomendację na „należne" Polsce 2050, po ustąpieniu Szymona Hołowni z funkcji marszałka Sejmu,

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl

stanowisko wicepremiera, ale tylko przewagą dwóch głosów. Wykorzystali to jej przeciwnicy, z Pauliną Hennig-Kloską i Ryszardem Petru na czele, by głosić, że wskazanie Pełczyńskiej-Nałęcz to prowokacja wobec Tuska. Zaczęto jej przyprawiać gębę osoby niezdolnej do kompromisu i mówić, iż jej „konfrontacyjna linia wykończy rządzącą koalicję". Gdyby została wicepremier, byłaby pierwszą kobietą na takim stanowisku za obecnych rządów, co Tuskowi utrudniłoby później jej wyrzucenie, bo można by mówić, że to mizoginia.

Ale 22 października 2026 r. Pełczyńska-Nałęcz sama zdecydowała o odejściu z rządu Tuska. 23 października napisała z wyraźną ironią na platformie X: „Minęły 24 godziny, odkąd zdecydowałam się wymaszerować z rządu Donalda Tuska. […] Dziękuję byłym koalicjantom za wyrazy nieskrywanej koleżeńskiej życzliwości. Cieszę się, że mogłam sprawić tyle radości najwybitniejszym jednostkom koalicji 15 października. Kierownik doceni". Ale „kierownik" został niemiło zaskoczony tym, co mówiono na wewnętrznym spotkaniu polityków Polski 2050 z Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz, z którego nagrania ujawniła telewizja wPolsce24.

MISJA ROMANA GIERTYCHA

„Jestem urzędującą prawnie przewodniczącą Polski 2050 i teraz dowiaduję się z Twittera, że została bez mojej wiedzy – bo nie wiem, jakie gremium, kto tę decyzję, kiedy i jak podejmował – podjęta decyzja, która wykluczyła mnie z partii. Urzędującą, wybraną przez was przewodniczącą Polski 2050, ktoś za jakimiś zamkniętymi drzwiami wykluczył z partii. Słuchajcie, to jest jakieś horrendum" – mówiła Pełczyńska-Nałęcz. Nie wahała się oceniać, że „to nie jest rząd, który zmierza w dobrą stronę". I otwarcie przyznała, że „sami wprowadziliśmy polityka do Trybunału Konstytucyjnego, co więcej i to jest smutna prawda, ale prawda, niespełniającego formalnych kryteriów i to jest fakt, i poparliśmy to". Stwierdziła, iż „to nie jest rząd, który szanuje dzisiaj nas jako koalicjantów w jakikolwiek sposób i nie ma większego bezsensu, żebyśmy tu wewnętrznie złapali się za gardła, z tego powodu, że kierownik macha jakimś ochłapkiem, a my się będziemy z tego tytułu łapali za gardła i nikt tego ochłapka nie dostanie". Ujawniła, że Szymon Hołownia kilkukrotnie spotkał się za jej plecami z Tuskiem: „żeby rozmawiać o wyrzuceniu mnie z rządu i zajęciu mojego stołka. […] Staliśmy się znowu partią stołka Szymona Hołowni i o tym, czy on będzie w rządzie, czy on nie będzie w rządzie, czy mnie wyrzucą z tego tytułu, czy nie. Potem został szefem klubu. Jego pierwszą decyzją jako szefa klubu było, że organizuje klub, na który zabrania mi wejść".

Opisała zdradę założyciela partii, który „od samego początku miał odejść, ale został. Został po to, żeby wkładać kij w szprychy. […] Nie widzieliście go w regionach, nie widzieliście go nigdy. Dziś ja z wami rozmawiam, a nie on". I prosiła: „Dajcie lajki, ci, którzy nie rozmawiali z Szymonem przez ostatnie pół roku". I poskarżyła się na „knucie i szczucie wewnątrzparlamentarne", co jest „straszną degeneracją".

Po decyzji o wyjściu z rządu do „rozprawy" z Pełczyńską-Nałęcz przystąpił Roman Giertych. „Mam uprzejme pytanie. Czy wiceminister Szyszko poinformował Panią, że rozmawiał w poniedziałek z Bielanem i Dworczykiem? I czy wierzy Pani w ich obietnice?" – pytał 23 października na platformie X. A dzień później dodał: „Do końca tygodnia zostaje ona pierwszym w historii szefem partii wyrzuconym z niej przez własny zarząd".

Pełczyńska-Nałęcz odpowiedziała Giertychowi 25 października: „Proszę powiedzieć ludziom, co zrobił Pan dobrego dla Polski i ludzi w ciągu tej kadencji? Jaki problem rozwiązał? Jaką ustawę ważną przeprowadził, od której ludziom żyje się lepiej? Bo jak patrzę na Pana, […] widać herszta szajki x-owych nienawistników niszczących innych ludzi. I czołowego naganiacza obozowej polaryzacji". A dzień wcześniej oświadczyła: „Zostałam skazana na wygnanie za myślozbrodnię. Obiecuję recydywę dalszego wolnego myślenia. Drogi Szymonie, wiem, że się starasz. Ale kierownik i tak nie doceni".

Roman Giertych znowu wszedł do akcji: „Mam wrażenie Szanowna Pani, że pani sama się zniszczyła. Nieznośna impertynencja, komiczny wręcz narcyzm, przeświadczenie o własnej wyższości pozwalające atakować koleżanki i kolegów z rządu […] oraz skrajna nielojalność doprowadziły do tego wyrzucenia Pani z własnej partii. […] Proszę więc mieć pretensje o niszczenie do siebie […]. Pani pucz się na szczęście nie udał. Żegnamy bez żalu".

Nie dziwi, że Giertych żegnał Pełczyńską-Nałęcz bez żalu; dziwi, że to samo zrobił Hołownia: „To dla naszego środowiska bardzo trudne, ale – wobec znanych faktów – niestety nieuniknione. Zarząd @PL_2050 podjął decyzję o usunięciu z partii @Kpelczynska za »działanie na szkodę partii oraz wbrew uchwałom organów statutowych partii«". Do Hołowni dołączył poseł, wiceminister cyfryzacji Michał Gramatyka: „Zarząd partii zadecydował w głosowaniu o ustaniu członkostwa Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz ze względu na jej działanie na szkodę partii".

23 października było już jasne, że wyrok na Pełczyńskiej-Nałęcz został wykonany, mimo że z dużym opóźnieniem, a sama zainteresowana miała już dość obijania przez politycznych damskich bokserów takich jak Donald Tusk czy Roman Giertych. Miała też dość Szymona Hołowni, który ją zwyczajnie zdradził, żeby uratować własną karierę.

Żeby przykryć prawdę, Hołownia „zamulał" wcześniejszy przekaz: „Z Kasią zawsze mieliśmy inne ustawienia fabryczne. Ona, tak to czytam, wychodzi z założenia, że świat wykuwa się w konflikcie. Ja – że we współpracy. […] Wojny z Donaldem Tuskiem, z Karolem Nawrockim, z PSL, z Lewicą – niezmiennie uważam za idiotyzm". Na zwołanym przez siebie spotkaniu z Polską 2050, z którego nagrania również opublikowała telewizja wPolsce24, Hołownia mówił: „Dobrze, stawiamy sprawę na ostrzu noża, podnosimy głowę, wstajemy z kolan, nie jesteśmy podnóżkiem Tuska, ale następnego dnia wszyscy nasi ludzie wylatują z wiceministerstw, z ministerstw, z wojewodów, z różnego rodzaju miejsc".

SFAŁSZOWANE WYBORY?

Na nagraniach ze spotkania z udziałem Pełczyńskiej-Nałęcz głos zabrał m.in. Paweł Kurek, przewodniczący lubelskich

eprasa.pl a3944fb8dc

struktur Polski 2050: „Niestety kierownik, premier, od samego początku, to jest moja ocena, zidentyfikował naszą przewodniczącą jako zagrożenie, jako osobę, która jest niezależna i która chce budować Polskę 2050 zgodnie z tym, o czym mówiliśmy od początku, i zgodnie z tym, dlaczego przyszliśmy do Polski 2050 wszyscy jako siła i Trzecia Droga".

Sam kierownik Tusk, pytany o odejście Pełczyńskiej-Nałęcz, rzucił: „Odeszła – krzyż na drogę. […] Wszyscy, którzy poznali panią minister, wiedzą dobrze, że dobrze się stało". Swoje do pieca dołożył Michał Gramatyka (na antenie telewizji wPolsce24): „Kasiu, uważam, że jedyną wartością, jakiej jesteś wierna, jest Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz. […] W każdej sytuacji z mojego doświadczenia, kiedy ktoś myśli inaczej jak ty albo musi się dostosować do tego, co ty myślisz, albo zostanie rozegrany, albo zostanie oszukany, albo zostanie zmanipulowany – przez ciebie. Bardzo dziękuję zarządowi partii, że cię wyrzucił".

Poseł Rafał Kasprzyk, po rozłamie w Polsce 2050 sekretarz generalny partii Unia Centrum, w programie Agnieszki Gozdyry oskarżył byłą już liderkę Polski 2050 o sfałszowanie wyborów w partii: „Ja jestem co do tego przekonany. […] Proszę sobie wyobrazić sytuację, gdzie są jakieś wyniki i ktoś ma do nich wgląd, nagle zostało to głosowanie przerwane, a później dowiedzieliśmy się, że zostało tam kilka tysięcy głosów gdzieś zabukowane". Zarzucał, że „sprawa była długo wyjaśniana tak, żeby jej nie wyjaśnić, i powtórzyła się przy kolejnej Radzie Krajowej. […] Ktoś ingerował z zewnątrz. Ktoś, kto miał do tego dostęp". Ale gdy zarząd Polski 2050 złożył zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa do Prokuratury Okręgowej w Warszawie, pod koniec maja 2026 r. śledczy umorzyli postępowanie. „Nie została dokonana żadna zmiana danych informatycznych, nie doszło do żadnego ataku ani ingerencji osób trzecich. System działał prawidłowo. Nie odnotowano oddania żadnych głosów nadmiarowych ani nieautoryzowanych" – poinformował rzecznik prokuratury Piotr Antoni Skiba.

PRZEMOCOWA KULTURA ZARZĄDZANIA

23 października Wirtualna Polska opublikowała rozmowę z Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz oraz jej zastępcą (także odszedł z rządu) Janem Szyszko. Stwierdziła w niej m.in.: „Krok po kroku wprowadzane są kolejne rzeczy uderzające w nasze wartości. Zaczynając od głosowania i sprawy ministra Berka, przez dwukadencyjność, a kończąc na tym, że ten rząd abdykował z wszelkiej strategii i strategicznego myślenia o rozwoju Polski". Pełczyńska-Nałęcz oskarżyła premiera: „Ten rząd ma przemocową kulturę zarządzania. Merytoryka i realnie zrobione rzeczy są wtórne wobec miałkich, przemocowych zagrywek. Premier odpowiada za rząd i sposób zarządzania nim, a to zarządzanie jest przemocowe. Jest też cała ciekawa narracja o mojej tzw. kłótliwości. […] Przy sporze o »Kredyt 0 proc.« premier groził mi odwołaniem, słyszałam, że zaraz mnie zaorają albo że mam się odpieprzyć. To samo przy społecznym budownictwie".

> Dziś Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz zwraca się do Donalda Tuska ostro: „Odwagi, panie premierze. To nie są czasy ciepłej wody w kranie. Niech przestanie się pan bać wrzątku, bo to są czasy, w których albo gorącą wodą zrobi się to, czego Polsce dziś potrzeba, albo wystawią nam rachunek w przyszłości"

Była minister obnażyła filozofię rządzenia koalicji stworzonej przez Tuska: „Gdy podnoszę bardzo potrzebną rozmowę o polskim systemie emerytalnym, gdy eksperci mówią, że nasz system jest prawdopodobnie jednym z najgorszych systemów emerytalnych w Europie i jedzie na ścianę w tempie TGV, to moi kochani współkoalicjanci mówią: »wszystko nieprawda, uśmiechnijmy się, jest wspaniale, pani minister jest jakaś odklejona i banialuki opowiada«. To skrajnie niepoważne".

Ostrzegła, że rząd Tuska zmierza do katastrofy, gdy chodzi o przygotowanie Planu Partnerstwa Krajowego i Regionalnego (PPKiR) na lata 2028–2034 i obronienie wysokich wydatków na rozwój i spójność z polskiej koperty: „To ostatnie tak wielkie pieniądze inwestycyjne, które dostajemy jako członek Unii Europejskiej. […] A co się dzieje? Jedną pochopną, politykierską decyzją premiera Tuska wysadzana jest w kosmos w pełni gotowa strategia rozwoju kraju do 2035 r. […] A teraz jest chaos, przeciąganie między ministerstwami, resortowa wojenka, każdy ciągnie w swoją stronę. […] Odwagi, panie premierze. To nie są czasy ciepłej wody w kranie. Niech przestanie się pan bać wrzątku, bo to są czasy, w których albo gorącą wodą zrobi się to, czego Polsce dziś potrzeba, albo wystawią nam rachunek w przyszłości".

W Koalicji Obywatelskiej Pełczyńska-Nałęcz była traktowana jako ta, która niszczy wewnętrznie rząd, przez którą Rafał Trzaskowski przegrał wybory prezydenckie. W dodatku po wygranej Karola Nawrockiego jednoznacznie wypowiadała się przeciw teoriom o fałszerstwach. Tusk się wściekał, że go szantażowała tym, iż stoi za nią trzynastu posłów i jeśli odejdzie, to razem z nimi. A wtedy byłoby po rządzie i po koalicji.

Dlatego zapadł wyrok na Pełczyńską-Nałęcz i w październiku 2026 r. został wykonany. Na zimno. Także po to, by położyć łapę na pieniądzach z KPO i nagradzać nimi „swoich". Dlaczego jednak tak długo Pełczyńska-Nałęcz trwała w patologicznym układzie władzy i przez prawie trzy lata go współtworzyła i legitymizowała? Na to pytanie nie odpowiedziała.

eprasa.pl a3944fb8dc



Prawicowy proletariusz

Wybory polityczne „proletariusza” są konsekwencją jego pozycji społecznej. Znajdując się na dole hierarchii, stoi w opozycji do tych, którzy znaleźli się na jej górze, a więc wobec wielkomiejskich, liberalnych elit. To główny powód, dla którego jego sympatie lokują się po prawej stronie



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Jedną z zagadek polskiego społeczeństwa są utrzymujące się od wielu miesięcy relatywnie wysokie notowania KO. Partia Tuska regularnie zajmuje w nich pierwszą pozycję, oscylując na granicy 30 proc. poparcia. Jest to o tyle dziwne, że sam Tusk należy dziś do najmniej popularnych polityków, a większość Polaków negatywnie ocenia jego rządy.

Niektórzy tłumaczą to manipulacjami sondażowymi, które prawdopodobnie się zdarzają, ale na pewno nie są na tyle duże, aby zafałszować ogólny trend i pozamieniać miejsca najważniejszych partii na podium. Przyczyny rzekomej potęgi Tuska należałoby więc raczej szukać w postępującym rozdrobnieniu prawicy, która – jeśli liczyć szeroko – składa się dzisiaj z czterech, niezbyt zaprzyjaźnionych, formacji. A gdyby jeszcze rozdzielić Konfederację na partie Bosaka i Mentzena, to tych prawicowych ugrupowań byłoby aż pięć. Nic więc dziwnego, że elektorat – choć w kupie silny – jest dzisiaj bardzo rozproszony, na czym korzysta Tusk.

Zaciekła rywalizacja liderów partyjnych może bardzo utrudnić utworzenie wspólnego bloku wyborczego prawicy, o ile będzie to w ogóle możliwe i politycznie uzasadnione – tutaj poważnym problemem jest chociażby Grzegorz Braun. Jednak potyczki personalne na prawicy to jedynie część szerszego zjawiska, którym jest postępująca transformacja prawicowego wyborcy.

NABITY W BUTELKĘ

W oczach wielu liderów prawicy – zwłaszcza tych o pisowskim rodowodzie – wciąż dominuje wizja tradycyjnej rodziny z dziećmi, która poszukuje schronienia przed agresją współczesnego, zdeprawowanego świata. Takie rodziny oczywiście istnieją i należy je wspierać, bo – sięgając po górnolotne sformułowania – są ostatnią nadzieją naszego państwa. Ale niestety ten zdeprawowany świat okazuje się coraz silniejszy i takich rodzin po prostu ubywa. Choćby z powodu kryzysu

Fot. Paweł Supernak/PAP

eprasa.pl a3944fb8dc

demograficznego oraz nieustannej migracji do większych miast, co skutkuje zmianami obyczajowymi i postępującym zanikiem tradycyjnych wartości.

Po szeroko rozumianej prawej stronie miejsce rodzin zajmuje coraz częściej zupełnie nowy typ wyborcy – człowieka po trzydziestce, zwykle z prowincji, który czuje się wykluczony z rywalizacji o lepsze życie i – pomimo stosunkowo młodego wieku – przegrany. Za głównego winowajcę swojej krzywdy uważa wielkomiejskie, liberalne elity – bogate, zazdrośnie pilnujące swoich pozycji i spoglądające na takich jak on z nieskrywaną pogardą. Jest gotów głosować na prawicę nie dlatego, że wychował się w patriotycznym środowisku, odczuwa głęboką więź ze wspólnotą narodową i poczuwa się do współodpowiedzialności za państwo, lecz z zupełnie innych, znacznie bardziej przyziemnych powodów. On po prostu każdego dnia czuje się jak nabity w butelkę frajer i ma już tego dość.

Tacy ludzie jak on są nieufni wobec władzy. Nie wierzą, że działa ona we wspólnym interesie, i są raczej skłonni przypisywać jej jak najgorsze intencje. Często mają w tym rację, a kolejne ujawniane afery i skandale utwierdzają ich w tym przekonaniu.

U naszego wyborcy motywacje ideowe nie odgrywają kluczowej roli. Jego wybory polityczne są przede wszystkim konsekwencją zajmowanej pozycji społecznej. Znajdując się na dole hierarchii, stoi w naturalnej opozycji wobec tych, którzy znaleźli się na jej górze – a więc wielkomiejskich, liberalnych elit. To główny, o ile nie jedyny powód, dla którego jego sympatie polityczne lokują się po prawej stronie.

NIEPOTRZEBNY I PORZUCONY

Takiego wyborcę bardzo trafnie scharakteryzował niedawno przedsiębiorca i bloger Cezary Bachański. Opisany przez niego przykładowy „Mariusz" nie ma żadnych widoków na przyszłość. Ciężko pracuje i jest skazany na taką wegetację.

„Wyobraź sobie, że jesteś 38-letnim Mariuszem z Mławy, codziennie jeździsz dostawczakiem i rozwozisz paczki za niecałe pięć tysięcy złotych na rękę" – czytamy we wpisie Bachańskiego na portalu X. „Bolą cię plecy od dźwigania, nienawidzisz swojej roboty, po poprzedniej żonie zostały ci wysokie alimenty na dziecko, którego nie widzisz, bo była miłość twojego życia utrudnia ci z nim kontakt".

„Mariusz" ogląda lepszy świat wyłącznie w mediach. I gdy porównuje te propagandowe, polukrowane obrazy z własną szarą rzeczywistością, ogarnia go złość. „Mariusza denerwują telewizyjni celebryci, elity i cała ta śmietanka towarzyska. »Kochaj swoją pracę« – tak, kur**. Po przerzuceniu półtorej tony dziennie. Potem słyszy w mediach, jak to można być szczęśliwym. Szczęśliwym. Jak? Kiedy młode kobiety powyjeżdżały z jego miasta »robić karierę«, a on został samotny, niechciany i porzucony, bo jego linia włosów pozwala na nazywanie go zakolakiem".

> Przeciętny „proletariusz" nie myśli w kategoriach wspólnotowych. Martwi się przede wszystkim o siebie, nawet gdyby jego dobre samopoczucie miało być okupione cudzym kosztem

W młodości „Mariusz" był inny. Wierzył naiwnie, że może być tylko lepiej i trzeba po prostu zapracować na swoją przyszłość. Nie uchylał się od ciężkiej pracy i był entuzjastycznie nastawiony do życia. Po pewnym czasie zrozumiał jednak, że to nie wystarczy, aby poprawić swój status. Że urodziwszy się w powiatowym miasteczku, bez odpowiednich kontaktów, znajomości i nadzwyczajnych talentów już na zawsze pozostanie „chamem z prowincji".

„Mariusz gardzi elitami (skądinąd stosunkowo słusznie), które go nie rozumieją i żyją w swoim odrealnionym świecie. Nie rozumieją sytuacji kuriera z Mławy, który właśnie wniósł 25 kilogramów na czwarte piętro bez windy. Mariusz wymienił kilka lat temu kocioł węglowy na gazowy. Za chwilę dojadą go podatkiem klimatycznym, bo niegdyś ekologiczny kocioł gazowy teraz zatruwa planetę, a temperatura rośnie o pół stopnia. Na chu** obchodzi go te pieprzone pół stopnia po drugiej stronie świata. Krew go zalewa, pierdo*** Unia Europejska. Stosunkowo ma w tym sporo racji. W oczach »elity« jest on tylko kurierem z Mławy. Nic nieznaczącym trybikiem w maszynie".

Otaczający świat nie ma dla „Mariusza" żadnej oferty, co sprawia, że czuje się niepotrzebny i cynicznie wykorzystywany. W odruchu obrony buntuje się, a nawet radykalizuje. Jemu nie chodzi o wielkie idee, on zwyczajnie chce uratować swoje życie przed porażką.

Takich ludzi jak „Mariusz", wykluczonych i pozbawionych perspektyw, jest w Polsce coraz więcej. Bachański nazywa ich – nieco niełądnie – „Mariuszariatem", ale to po prostu współcześni proletariusze, którzy weszli w klasowy konflikt z liberalno-lewicową, plutokratyczną elitą. Są niekoniecznie prawicowi, lecz za to mocno antysystemowi. I właśnie to ich łączy z dzisiejszą prawicą.

MIĘDZY MENTZENEM I BRAUNEM

Ujawnienie się „prawicowych proletariuszy" jest ściśle związane ze wzrostem politycznego znaczenia Konfederacji oraz z niedawną pandemią. Oni oczywiście istnieli i wcześniej, ale dopiero dzięki pandemii i izolacji społecznej zaczęli odgrywać większą rolę. Było to możliwe dzięki internetowi, który w okresie lockdownu stał się dla wielu ludzi głównym oknem na świat.

W czasie gdy mieszkańcy największych miast umieszczali na swoich zdjęciach profilowych maseczki i przechwalali się nawzajem przyjęciem kolejnych dawek szczepionki, nasi zagubieni proletariusze zastanawiali się, czy uda im się finansowo przetrwać kolejne lockdowny. Swoją złość wyładowywali na nieszczęsnych maseczkach, a już do zupełnej furii doprowadzały ich coraz bardziej restrykcyjne zakazy i zalecenia. Ich i tak mocno ograniczone zaufanie do tradycyjnych mediów, rządu i instytucji publicznych legło w gruzach. W rezultacie zaczęli szukać odpowiedzi na nurtujące ich pytania w internecie, w którym algorytmy kierowały ich ku najbardziej radykalnym teoriom spiskowym.

eprasa.pl a3944fb8dc

Nieprzypadkowo zbiegło się to w czasie z nagłym wzrostem popularności Korony Polskiej Grzegorza Brauna, która potrafiła politycznie zagospodarować sporą część takich „proletariuszy" i cynicznie podsycać ich lęki.

Inni trafili pod skrzydła Konfederacji – w szczególności Nowej Nadziei Sławomira Mentzena. Ten dawał im prostą odpowiedź na najważniejsze pytania: państwo (a więc elity) was okradają, łupiąc podatkami i składkami zdrowotnymi. Gdy to się skończy, wasze biznesy odżyją, a wy wreszcie zaczniecie korzystać z owoców swojej ciężkiej pracy.

Taka argumentacja trafiała najczęściej do tych, którzy prowadzili na prowincji biedafirmy, często jednoosobowe, np. drobny handel albo warsztaty, i z przerażeniem patrzyli, jak pandemia pozbawia ich dochodu. Oczywiście korzystali z różnych programów osłonowych wprowadzonych przez rząd Morawieckiego, ale nie zmieniało to ich przeświadczenia, że państwo, które właśnie ratowało im biznesy, jest największym wrogiem. Bo przecież – jak sądzili – gdyby nie podatki, to sami daliby sobie radę.

Przeciętny „proletariusz" nie myśli w kategoriach wspólnotowych i na swój sposób jest podobny do wspierających Tuska „młodych, wykształconych z wielkich miast". Martwi się przede wszystkim o siebie i swój dobrostan, nawet gdyby jego dobre samopoczucie miało być okupione cudzym kosztem. Różnica między nim a wielkomiejskim lemingiem sprowadza się głównie do grubości portfela. Bo obie grupy, w sensie klasowym, wyrastają z tego samego pnia – tyle tylko, że lemingom się powiodło i awansowali, a on pozostał na dole hierarchii społecznej.

Tak zwykle przenikliwy „proletariusz" nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest oszukiwany. Nie rozumie, że jego egzystencja – bez pomocy państwa – byłaby jeszcze gorsza niż teraz. Na cięciach podatkowych zyskaliby bowiem najbardziej ci, których on tak nie znosi – najbogatsze elity i zagraniczne korporacje. Czuje się jednak tak mocno zniewolony, że uwierzył w bajki o złotej wolności, opowiadane mu przez cynicznych polityków. Przyklaskując ich pomysłom, działa wbrew swojemu interesowi.

DWIE „DZIEWICE"

„Proletariusz" mierzy wiarygodność polityków według jednego, głównego kryterium: udziału we władzy. Ci, którzy sprawują lub sprawowali rządy, są dla niego nieakceptowalni – to przecież oszuści, którzy nadużyli jego zaufania. Dotyczy to zarówno partii Tuska, jak i PiS – wszystko jedno, czy mowa o Kaczyńskim i Czarnku, czy też o Morawieckim. Dlatego na scenie pozostają dwie „dziewice": Konfederacja i Korona Brauna. Nasz „proletariusz" będzie im ufał tak długo, aż po raz kolejny się nie sparzy. Bo to, że się sparzy, jest właściwie pewne.

Na razie wygląda to tak, że Mentzen i Braun (Bosak odgrywa tu mniejszą rolę) zdołali skutecznie uwieść i zmobilizować „proletariusza". To dlatego partie obu tych polityków mają tak duże wzięcie wśród osób po trzydziestce i czterdziestce, które deklarują prawicowe poglądy. Często są to właśnie mieszkańcy mniejszych miejscowości. Nieufni, wykluczeni i – choć nigdy się do tego otwarcie nie przyznają – z silnym poczuciem skrzywdzenia przez świat. W głosowaniu na Konfederację lub Brauna widzą nadzieję na rozprawę z oszustami i hipokrytami, którzy siedząc w dalekiej Warszawie, codziennie niszczą im życie.

> Nie wszyscy popierają prawicę z pobudek patriotycznych. Jest coraz więcej osób, które robią to tylko dlatego, że każdego dnia czują się nabici w butelkę i mają już tego dość

Obie formacje tę nadzieję podsycają, ale – kokietując „proletariusza" – same stały się jego zakładnikiem. Przekonał się o tym Sławomir Mentzen, który niedawno zaapelował o przywrócenie poboru do wojska. Został za to brutalnie zrugany przez sporą część swoich wyborców, bo „proletariusz" nie będzie przecież walczył w obronie państwa, które – jak twierdzi – zostało zagarnięte przez zachłanne elity.

Nieustanne podgrzewanie niechęci i nieufności wobec państwa sączone przez konfederackich liberałów przyniosło właśnie takie efekty, choć nie można oczywiście zapominać, że jest w tym również „wielka zasługa" liberalno-lewicowego salonu, który od lat ostentacyjnie pogardza własnym społeczeństwem.

OFERTA DLA WSZYSTKICH

W walce o prawicowego czy może raczej konfederackiego „proletariusza" PiS stoi chyba na straconej pozycji. Oczywiście Przemysław Czarnek robi wiele, aby licytować się z Konfederacją o względy takiego wyborcy, ale wiąże się z tym mnóstwo niebezpieczeństw, o czym przekonał się wspomniany przed chwilą Mentzen. „Proletariusza" trudno przekonać do myślenia wspólnotowego, zatem trzeba podchwycić jego wizję świata i dopiero na tej podstawie suflować mu pomysły. Bardzo sprawnie robi to Grzegorz Braun, ale próba rywalizacji na tym polu byłaby zapewne samobójcza dla PiS.

Partia Jarosława Kaczyńskiego musiałaby bowiem porzucić swój propaństwowy, wspólnotowy etos, wyciszyć akcenty patriotyczne i skupić się głównie na eksploatowaniu różnych lęków, sięgając jednocześnie po najprostsze (a zatem najczęściej fałszywe) recepty uzdrowienia sytuacji. Byłaby przy tym w znacznie gorszej pozycji startowej niż Braun czy konfederaci, bo przecież – jako formacja, która „zbrukała się" władzą – jest dla dużej części tego elektoratu niestrawna. Żeby zmazać tę „hańbę", należałoby więc licytować jeszcze ostrzej niż konkurenci. Bez żadnej gwarancji powodzenia.

Tymczasem niezadowalające wyniki sondażowe prawicy mają charakter strukturalny, związany ze zmianami demograficznymi i społecznymi, które zaszły w Polsce w ciągu ostatnich kilku lat. Nie oznacza to oczywiście, że formacje prawicowe, w tym PiS, stoją na z góry straconej pozycji. Wydaje się jednak, że do osiągnięcia sukcesu konieczny jest głębszy namysł, i zamiast zabiegania o jedną kategorię wyborcy, potrzebne jest – podobnie jak w 2015 r. – wyjście z oryginalną ofertą dla całego społeczeństwa. Wtedy i nasz „proletariusz" może zmienić swój punkt widzenia, co byłoby zdrowe i dla niego, i dla całego kraju.

eprasa.pl a3944fb8dc



Póki nie została posłanką KO Iwona Hartwich broniła praw osób niepełnosprawnych. Teraz, gdy jej rząd uderza finansowo w najsłabszych – milczy

Rząd oszczędza na najsłabszych

224 mln zł mniej na program asystencji osobistej osób z niepełnosprawnościami. Ok. 230 mln zł mniej na opiekę wytchnieniową dla rodzin i opiekunów. Miliardy złotych mniej na programy realizowane przez PFRON. To nie są abstrakcyjne liczby. To jest rachunek, który państwo wystawia ludziom wymagającym pomocy i rodzinom, które każdego dnia walczą o ich godność, bezpieczeństwo i samodzielność

Fot. Andrzej Iwanczuk/REPORTER/East News



DOROTA ŁOSIEWICZ

W projekcie budżetu na 2027 r. właśnie tam, gdzie wsparcie jest najbardziej potrzebne, pojawiają się cięcia. Zamiast rozwijania usług, które pozwalają osobom z niepełnosprawnościami uczestniczyć w życiu społecznym, pracować i samodzielnie załatwiać codzienne sprawy, mamy ograniczanie finansowania. Zamiast pomocy dla wyczerpanych opiekunów – ryzyko, że zostaną sami ze swoimi obowiązkami. Zamiast inwestowania w rehabilitację i aktywizację zawodową – niepewność,

eprasa.pl a3944fb8dc

czy placówki będą miały środki na dalsze funkcjonowanie. Przy rekordowym deficycie budżetowym minister finansów szuka oszczędności na najsłabszych i w dodatku jest za to nagradzany tytułem wicepremiera. Dlaczego państwo, które powinno chronić tych, którzy sami nie mogą upomnieć się o swoje prawa, właśnie na nich szuka oszczędności?

MNIEJ PIENIĘDZY, MNIEJ SAMODZIELNOŚCI

Dotacja z budżetu państwa dla Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych (PFRON) w 2027 r. ma być niższa o ponad 488,4 mln zł, czyli o blisko 75 proc. w porównaniu z 2026 r. Jednocześnie środki na programy resortowe finansowane z Funduszu Solidarnościowego, obsługiwanego przez Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, mają się zmniejszyć o blisko 487 mln zł, czyli o 24 proc. To dwa odrębne obszary finansowania, ale ich skutki spotkają się w jednym miejscu: w codziennym życiu osób, które potrzebują wsparcia.

Jak ostrzega Polskie Forum Osób z Niepełnosprawnościami (PFON), ograniczenie dotacji dla PFRON może oznaczać brak pieniędzy na kolejny rok dla ok. 550 projektów i 90 placówek albo cięcia sięgające 20 proc. we wszystkich realizowanych projektach. Za tymi liczbami kryją się konkretne usługi, rehabilitacja i działania wspierające samodzielność. Jeśli placówka straci finansowanie, jej podopieczni nie przestaną potrzebować pomocy. Jeśli organizacja będzie musiała ograniczyć działalność, nie znikną ludzie, którzy korzystali z jej wsparcia. Znikną natomiast możliwości, dzięki którym mogli lepiej funkcjonować. Czy ktoś policzył, jakie będą długofalowe skutki takich decyzji? Co stanie się z osobami, które utracą dostęp do rehabilitacji albo zajęć wspierających ich aktywność? Czy istnieje plan zapewnienia im pomocy w innym miejscu? A może zakłada się, że jakoś sobie poradzą?

Właśnie to ostatnie założenie byłoby szczególnie niebezpieczne. Osoby z niepełnosprawnościami nie mogą po prostu zrezygnować ze swoich potrzeb do czasu, aż poprawi się sytuacja finansów publicznych.

ASYSTENCJA OSOBISTA TO NIE LUKSUS

224 mln zł mniej na program asystencji osobistej (AOON) – tyle wynosi różnica rok do roku (mówimy tu o programach w ramach Funduszu Solidarnościowego, a nie o rozwiązaniu systemowym, którym ma być wyczekiwana przez środowisko ustawa o asystencji osobistej). Może to oznaczać brak pieniędzy na 3,7 mln godzin pracy asystenckiej rocznie. Tak przynajmniej wynika z wyliczeń Krzysztofa Kurowskiego, przewodniczącego PFON. Ale najważniejsza nie jest nawet liczba godzin ani osób zatrudnionych w programie. Najważniejsze jest to, co te godziny oznaczają dla ludzi, którzy korzystają z pomocy.

Asystent osobisty to nie luksusowy dodatek do życia. To często warunek wyjścia z domu, dotarcia do pracy, uczestnictwa w zajęciach, zrobienia zakupów czy załatwienia sprawy w urzędzie. To szansa na naukę, rozwijanie zainteresowań i utrzymywanie kontaktów z innymi ludźmi. Dla wielu osób ograniczenie asystencji oznacza konieczność rezygnacji z części codziennych aktywności. Może utrudnić podjęcie pracy, ograniczyć możliwość nauki, a nawet uzależnić najprostsze czynności od dyspozycyjności członków rodziny.

Przez lata osoby z niepełnosprawnościami i ich bliscy zabiegali o rozwiązania pozwalające odejść od modelu, w którym cała odpowiedzialność za opiekę spoczywa na rodzinie. Asystencja miała dawać większą niezależność i możliwość decydowania o własnym życiu. Tymczasem ograniczenie finansowania może sprawić, że ta samodzielność ponownie stanie się przywilejem dostępnym tylko dla tych, którzy mają pieniądze na prywatną pomoc, albo bliskich mogących zrezygnować z własnych obowiązków. Czy właśnie tak ma wyglądać polityka społeczna państwa, które deklaruje równość szans?

OPIEKUNOWIE TEŻ POTRZEBUJĄ POMOCY

Równie duże emocje budzi planowane ograniczenie finansowania opieki wytchnieniowej. Środki na ten cel mają być w 2027 r. niższe o blisko 218,3 mln zł, czyli o 75,2 proc. rok do roku. Opieka wytchnieniowa jest wsparciem dla tych, którzy na co dzień opiekują się bliskimi wymagającymi intensywnej pomocy. Daje im możliwość odpoczynku, załatwienia własnych spraw, zadbania o zdrowie albo po prostu odzyskania sił. Warto pamiętać, że opieka nad osobą niesamodzielną nie kończy się po ośmiu godzinach pracy. Nie można jej odłożyć na jutro, bo opiekun jest zmęczony. Nie da się jej zawiesić na czas choroby czy rodzinnych obowiązków.

Rodzice, małżonkowie i inni bliscy często przez lata organizują całe życie wokół potrzeb osoby, którą się opiekują. Robią to z miłości, poczucia odpowiedzialności i przywiązania. Ale nawet największa miłość nie zastąpi odpoczynku, a rodzinna solidarność nie może być pretekstem do wycofywania pomocy publicznej. Co się stanie, gdy zabraknie pieniędzy na opiekę wytchnieniową? Kto zastąpi opiekuna, który zachoruje albo sam będzie potrzebował pomocy? Kto zapewni bezpieczeństwo osobie niesamodzielnej, jeśli jej bliscy nie będą już w stanie samodzielnie udźwignąć wszystkich obowiązków?

To właśnie dlatego oszczędności w tym obszarze są tak niepokojące. Państwo może zmniejszyć wydatek zapisany w budżecie, ale nie zmniejszy w ten sposób liczby osób wymagających opieki. Może natomiast sprawić, że ich bliscy zostaną z jeszcze większym obciążeniem, bez realnej możliwości uzyskania pomocy.

DZIAŁACZE BIJĄ NA ALARM

W sprawie oszczędności na asystencji osobistej i opiece wytchnieniowej na alarm bije Agnieszka Ścigaj z klubu Rozwój Plus.

„W przyszłym budżecie minister Domański urwał pół miliarda na usługi dla osób z niepełnosprawnościami, a pani Hartwich nie słychać. Teraz milczy, choć kilka tysięcy ludzi z niepełnosprawnościami straci swojego asystenta osobistego, którego do tej pory miały" – alarmowała w mediach posłanka.

Na alarm biją także środowiska walczące o prawa osób z niepełnosprawnościami. Monika Lewandowska, która nazywa siebie ambasadorką Konwencji ONZ o Prawach Osób z Niepełnospraw-

eprasa.pl a3944fb8dc

nościami, pojawiła się na niedawnym posiedzeniu Komisja Finansów Publicznych w sprawie projektu budżetu na 2027 r. i tak pisała na platformie X: „Czemu tu jesteśmy? Bo złożyliśmy jako obywatele odpowiedzialni społecznie poprawkę do ustawy budżetowej przywracającą obcięte programy rządowe: opieka wytchnieniowa i asystencja osobista na rok 2027 […]. Znaleźliśmy kasę na pokrycie zabranych w tym budżecie osobom z niepełnosprawnościami i ich rodzinom szans na pracę, godzenie ról społecznych i wspieranie najbliższych. O tym mówi poprawka. Coś niewiarygodnego... ciąć środki, które wracają w postaci podatków z pracy i oszczędności w ochronie zdrowia. Ciąć w momencie, gdy usługa asystencji osobistej wchodzi od 2028 r., a w 2027 r. ludzie utracą ciągłość usług i ponad 8 tys. asystentów odejdzie na zawsze z tej pracy. Ciąć, gdy namawialiśmy samorządy do wchodzenia do programów i łajaliśmy ich za brak realizacji. Brak słów”.

Wcześniej środowisko walczące o prawa osób niepełnosprawnych pojawiło się na posiedzeniu Komisji Polityki Społecznej i Rodziny. Niczego tam nie osiągnięto, a Monika Lewandowska tak opisywała w mediach społecznościowych głosowanie na komisji: „Ulala... słabiutko z samodzielnym myśleniem i szukaniem rozwiązań. Oto wyniki głosowania posłów i posłanek Komisji Polityki Społecznej i Rodziny nad poprawką zgłoszoną przez Marcina Józefaciuka do ustawy budżetowej. Poprawka mająca zapobiec wygumkowaniu programów rządowych MRPiPS, które chodziły do tej pory, czyli 75 proc. mniej na usługi opieki wytchnieniowej w stosunku do z 2026 r. i 15 proc. mniej na usługi asystencji osobistej w stosunku do 2026 r. Usługa, a nie świadczenie. Programy stworzone z przyrzeczeniem ich kontynuacji. Rok wyborczy... Poseł niezależny, nauczyciel, znalazł w budżecie środki na dalszą realizację usług determinujących życie i jej wpływ na gospodarkę przez prewencję wypalenia opiekuńczego i pozostania na rynku pracy dzięki usługom społecznym. Odrzucenie tej poprawki wkurza i daje podstawę do krytycznej oceny głosowania i głosujących przeciw poprawce. Przedstawiono konkretną, policzoną propozycję: przywrócenie 486,78 mln zł, czyli finansowania programów resortowych, do nominalnego poziomu z 2026 r., bez waloryzacji; wskazanie źródła pieniędzy, czyli rezerwy celowej, w której po przesunięciu pozostawałoby 3,833 mld zł; przesunięcie środków bez zwiększania łącznych wydatków i deficytu budżetu państwa, zgodnie z przedstawionym wyliczeniem. Głosujący przeciw – posłowie i posłanki Koalicji Obywatelskiej, Lewicy i Unii Centrum odrzucili więc konkretny sposób uzupełnienia finansowania usług, mimo przedstawionych na sali posiedzenia komisji konsekwencji cięć. Jak to nazwać? Polityczna odpowiedzialność za te 16 głosów spoczywa na głosujących przedstawicielach KO, PSL–TD, Lewicy i Centrum. Powinni teraz wyjaśnić, dlaczego odrzucili wskazane źródło finansowania i jakie rozwiązanie proponują w zamian, by 8 tys. ludzi nie straciło pracy. […] A głosowanie Lewicy – partii odpowiedzialnej za działania systemowe w ramach MRPiPS... bez komentarza. Podobnie jak pozowanie do zdjęć »posłanek od polityki społecznej« KO bezpośrednio po odrzuceniu przez nie tej tak ważnej dla obywateli poprawki” – pisała rozżalona działaczka.

> „W przyszłym budżecie minister Domański urwał pół miliarda na usługi dla osób z niepełnosprawnościami, a pani Hartwich nie słychać. Teraz milczy, choć kilka tysięcy ludzi z niepełnosprawnościami straci swojego asystenta osobistego, którego do tej pory miały” – alarmuje Agnieszka Ścigaj z klubu Rozwój Plus

Inny użytkownik platformy X, posługujący się nickiem Greg Wo, wytknął ministrowi Domańskiemu, że ten nie ma w ogóle pojęcia, czym jest Fundusz Solidarnościowy: „Wicepremier i minister finansów Andrzej Domański przed chwilą pokazał publicznie w »Kropce nad i« w TVN24, że nie wie, po co stworzono Fundusz Solidarnościowy. Stwierdził, że pieniądze z podatku solidarnościowego »trafiają do budżetu państwa«. Gdy Monika Olejnik uświadomiła go, że Fundusz stworzono dla osób z niepełnosprawnościami, minister odparł, że środki dla tych osób są coraz większe. Tymczasem budżet na programy z Funduszu Solidarnościowego dla osób z niepełnosprawnościami (w tym AOON) będzie w przyszłym roku mniejszy o kilkaset mln […] Chciałem napisać, że ten wywiad znakomicie obnażył stosunek tego rządu do osób z niepełnosprawnościami i gdzie leżą priorytety, ale to nie słowa, tylko fakty, czyli drastyczne cięcia finansowania AOON najlepiej obnażają prawdziwe intencje rządu Donalda Tuska i Andrzeja Domańskiego. Jestem przekonany, że żaden z nich nie rozumie makabryczności swych decyzji. Jest jeszcze czas, by wprowadzić poprawki do budżetu 2027, ale niestety, nie ma woli politycznej, bo brakuje chęci zrozumienia...”.

Polska ratyfikowała Konwencję ONZ o prawach osób z niepełnosprawnościami. Nie jest to ozdobnik do oficjalnych dokumentów, ale zobowiązanie do tworzenia warunków, w których takie osoby mogą żyć niezależnie i uczestniczyć w społeczeństwie. Jeśli państwo chce realizować te zobowiązania, musi zapewnić nie tylko odpowiednie przepisy, lecz także środki, kadry i przewidywalność. Bez tego niezależne życie pozostanie obietnicą, której wielu ludzi nie będzie mogło wykorzystać. Oszczędzać można na wielu rzeczach. Pytanie, czy naprawdę należy zaczynać od ludzi, którzy bez pomocy innych często nie mają szans obronić nawet swojej codzienności.

eprasa.pl a3944fb8dc

Godło na śmietniku, czyli symbol upadku III RP

Są obrazy, które mówią wszystko. Tak symboliczne, że nie zastąpią ich liczne debaty. Polskie godło usunięte z biura Rzecznika Praw Obywatelskich wyrzucono na śmietnik. Orzeł Biały trafił do kontenera z gruzem i odpadami. Sylwia Gregorczyk-Abram uporczywie milczy. Czy byłaby tak bierna, gdyby w koszu znaleziono flagę LGBT+, UE albo Niemiec?



MARZENA NYKIEL



Nie jedno godło, lecz trzy. Oprawione w ramy wizerunki Orła Białego wrzucone do kontenera koroną do dołu. Pierwszy z nich przysłonięty płytą z filmem „Kariera Nikodema Dyzmy". Trudno o bardziej wymowny symbol obecnej władzy, jej bezideowości, cynizmu i braku szacunku dla polskości. Sylwia Gregorczyk-Abram objęła urząd Rzecznika Praw Obywatelskich trzy miesiące temu. Działalność rozpoczęła od remontu, który wywołał skandal.

24 października 2026 r. w sieci pojawiło się szokujące zdjęcie wykonane przed budynkiem biura RPO. Wśród sterty poremontowych śmieci znajdowały się zbezczeszczone symbole narodowe.

Znieważenie godła państwowego jest przestępstwem. Symbole Rzeczypospolitej Polskiej podlegają szczególnej ochronie na mocy art. 28 Konstytucji RP oraz art. 137 § 1 Kodeksu karnego, który mówi wprost: „Kto publicznie znieważa, niszczy, uszkadza lub usuwa godło, sztandar, chorągiew, banderę, flagę lub inny znak państwowy, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do roku". Przepisy i utrwalone obyczaje państwowe jasno wskazują, że zużyte lub wycofane z użytku godła należy utylizować w sposób godny – poprzez pocięcie, zamalowanie lub pozbawienie cech symbolu.

Alarm wzniesiony przez internautów uruchomił interwencję policji. Funkcjonariusze twierdzą, że po przybyciu na miejsce nie znaleźli już sponiewieranych godeł. Raczej trudno sobie wyobrazić, by ktoś podrzucił je złośliwie w celu wykonania kompromitującego zdjęcia. Najprawdopodobniej uznano je za odpady remontowe, na równi z pozostałą zawartością kontenerów. Podobno zabezpieczono monitoring mający wyjaśnić przebieg skandalicznych wydarzeń. Ochroniarze starali się przykryć blamaż, odpędzając dziennikarzy. Posłowie PiS złożyli zawiadomienie do prokuratury. Podkreślają, że to pani rzecznik jako gospodarz obiektu sprawuje nadzór nad mieniem o charakterze państwowym i ponosi pełną odpowiedzialność za to, jak traktowane są symbole RP. Nie ma też znaczenia, kto ten remont fizycznie realizuje.

Jako Polacy posiadamy szczególny szacunek do narodowych symboli. Zbyt często wrogowie dopuszczali się ich bezczeszczenia, żebyśmy mogli tolerować takie akty w czasach niepodległości. Ostatni raz polskie godło było plugawione przez bolszewików i Niemców, gdy wkraczali do Polski

Fot. Uwaga, śmieciarka jedzie – Warszawa/facebook

eprasa.pl a3944fb8dc

z okupacyjnym terrorem. Właśnie tamte obrazy przychodzą na myśl, kiedy patrzy się na fotografię sprzed siedziby RPO.

PATRONKA BEZPRAWIA

Gregorczyk-Abram zamiast wyjaśnić skandal, milczy. Nie wydała dotąd nawet kilkuzdaniowego oświadczenia. To symptomatyczne, że RPO traktuje sprawę znieważenia godła jako nieistniejącą. Wpisuje się tym w całe spektrum działań koalicji 13 grudnia, dzięki której zdobyła zajmowane stanowisko. Pracowała na ten przywilej przez wiele lat, aktywnie występując przeciwko Zjednoczonej Prawicy.

Jej dotychczasowa działalność to pasmo aktywnej walki ze środowiskami konserwatywnymi, narodowymi i instytucjami chroniącymi konstytucyjny ład prawny. Być może wyrzucone na śmietnik godło zastąpił wizerunek orła na tęczowym tle? Wspierała przecież aktywistów, którzy prezentowali takie plakaty na antypisowskich manifestacjach. Przed sądem reprezentowała Elżbietę Podleśną, oskarżoną o obrazę uczuć religijnych i rozpowszechnianie wizerunku Matki Bożej Jasnogórskiej w tęczowej aureoli. Jako współzałożycielka organizacji Wolne Sądy gwarantowała wsparcie prawne dla agresywnych manifestantów, szargających święte dla Polaków symbole katolickie i narodowe, zapewniała bezkarność wulgarnym uczestniczkom czarnych marszów. Wzięła też w obronę Barbarę Kurdej-Szatan, która w szczycie ataku hybrydowego z Białorusi lżyła żołnierzy broniących polskich granic, nazywając ich „mordercami".

Gregorczyk-Abram wykazywała się również porażającą konsekwencją w stawaniu wbrew interesowi Polski. Występowała przeciwko własnemu państwu przed TSUE i przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka. Po zmianie władzy aktywnie wspierała panoszące się bezprawie. Od pierwszych chwil stanowiła zaplecze prawne rządu Donalda Tuska. Była członkiem whatsappowej grupy „Wejście", na której omawiano siłowe przejęcie mediów publicznych. To na niej padły słynne słowa: „Wiem, że pachnie stanem wojennym, ale lepszy krzyk 50 niż dowód na bezsilność władzy". Czy zatem brak jej reakcji może budzić jakiekolwiek zdziwienie?

SYSTEMOWE WYMAZYWANIE POLSKOŚCI

Wyrzucenie godła na śmietnik nie jest odosobnionym incydentem. To kolejny krok w procesie systemowego rugowania patriotyzmu i pamięci narodowej z przestrzeni publicznej. Po przejęciu władzy przez koalicję 13 grudnia na wielu polach można było zaobserwować stosunek nowych decydentów do polskości. Z korytarzy Ministerstwa Klimatu i Środowiska usunięto znak Polski Walczącej i tablice upamiętniające narodowych bohaterów. Znaleziono je później w piwnicy. W Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku nowy dyrektor w czerwcu 2024 r. usunął postacie rtm. Witolda Pileckiego, św. o. Maksymiliana Kolbego oraz bohaterską rodzinę Ulmów. Odrębnym rozdziałem jest eliminowanie tożsamości narodowej z programów edukacyjnych, osłabianie świadomości historycznej, usuwanie kluczowych lektur i zagadnień.

Ta sama ekipa jeszcze kilkanaście lat temu zastępowała biało-czerwone flagi unijnymi. Związane z nią media pisały, że „patriotyzm jest jak faszyzm", a barwy narodowe budziły niechęć do tego stopnia, że w Dniu Flagi maszerowano z różowymi chorągiewkami. Ulepiony na tę okazję czekoladowy orzeł, za którym jak za totemem szedł prezydent Bronisław Komorowski, gnił później w holu radiowej Trójki. Akcja „Orzeł" okazała się porażką. Wszystkie kolejne przegrane wybory doprowadziły Tuska do wniosku, że trzeba się pozornie przepoczwarzyć. Platforma Obywatelska zrozumiała, że odcinając się od polskości, nie zdobędzie wystarczającego poparcia. Wpięła więc w klapy biało-czerwone serduszka i prześcigała się w żonglerce obcymi jej wcześniej pojęciami, jak patriotyzm i ojczyzna. Cynizm tych działań widać dziś na każdym kroku.

„To są rządy hołoty. To są kosmopolici" – stwierdził poseł Paweł Kukiz, z niesmakiem komentując skandal ze znieważeniem polskiego godła. Przypomina, że komuniści wprawdzie odebrali orłu koronę, ale nie poniewierali nim po śmietnikach.

UCZNIOWIE DYZMY U WŁADZY

Można się założyć, że gdyby na śmietniku znalazła się flaga LGBT+ albo Unii Europejskiej, koalicja rządząca rozpętałaby dziką histerię. Pamiętamy, jak za rządów PiS każdy incydent wokół „tęczy" był rozdmuchiwany do nieprzytomności. Dziś mamy do czynienia z coraz liczniejszymi atakami na symbole katolickie i narodowe, z prześladowaniami ludzi o konserwatywnych poglądach, i próżno szukać stosownej reakcji władz. Jest wręcz odwrotnie – nasila się atak aparatu państwa na tych obywateli i polityków opozycji, którzy sprzeciwiają się niszczeniu państwa. Rzecznik Praw Obywatelskich nie podejmuje działań nawet w najbardziej oczywistych sprawach, jak choćby ostatnia – pobicie przez policję pana Piotra uczestniczącego w obronie Trybunału Konstytucyjnego.

Państwo staje się coraz słabsze i podległe zewnętrznym naciskom Brukseli oraz Berlina. Historia zatacza koło, a ostrzeżenia z przeszłości uderzają aktualnością. „Uczą nas szacunku dla obcych, a pogardy dla swoich. Każą nam miłować wszystkich, choćby ludożercę, a nienawidzić ojców i braci za to, że nie gorzej może, lecz inaczej tylko myślą. Chcą nas wyzuć zupełnie z rasowego instynktu, cały pokoleń dorobek i dobytek oddać na pastwę nieokreślonej przyszłości, na łup chaosowi. […] Nad białoskrzydlnym, niezmazanym, nad najczcigodniejszym Ojczyzny symbolem kraczą kruki i wrony, chichocą obce a złowrogie puszczyki, urągają mu nawet swojskie, zacietrzewione orlęta. »Precz z Polską« – wołają – »niech żyje ludzkość«! Jak gdyby życie ludzkości ze śmierci narodów powstać mogło!" – ostrzegał Ignacy Jan Paderewski we Lwowie w 1910 r.

Niekompetencja, cwaniactwo, poczucie bezkarności i niezrozumienie polskiej racji stanu to cechy charakterystyczne dla rządu Tuska. Karierowicze pokroju Dyzmy przejęli najważniejsze funkcje w państwie i realizują swoje małe interesy. Widać to w kluczowych decyzjach i w drobnych aktywnościach. Wrzucone do śmieci godło, przysłonięte serialową adaptacją powieści Dołęgi-Mostowicza, stanowi niezwykle trafiony symbol tej władzy. Dyzma zdobył pozycję bezczelnością i kłamstwem. Wielu dało mu się omamić. Poznał się na nim jedynie hrabia Żorż Ponimirski, uważany za wariata. Tylko on w zdegenerowanym środowisku polityków i elit miał odwagę nazwać go prostakiem i wskazać, że awansowanie go na premiera jest narodową tragedią.

Symbole mówią czasem więcej niż słowa.

eprasa.pl a3944fb8dc

Lex Kaligula

Jeśli rządowa ustawa „o środkach ograniczających" (nr 3003) wejdzie w życie, Polska stanie się państwem totalitarnym



MACIEJ PAWLICKI

Polska stanie się tyranią urzędników mogących jednym gestem niszczyć ludzi, firmy, organizacje, właściwie wszystko. A więc zastraszyć wszystkich, sparaliżować wolność i życie społeczne. Ustawa nr 3003 zlikwiduje jakikolwiek wpływ narodu na urzędników, unicestwi wolne media, obrót gospodarczy, prawo własności, trójpodział władzy, publiczną debatę, wolność osobistą. Nie zwariowałem, poczytajcie.

ZACHODZI PODEJRZENIE

Minister będzie mógł bez sądu, w trybie natychmiastowym i bez odwołania, każdemu wymierzyć karę 20 mln zł, a firmie 200 mln zł, z możliwością natychmiastowej egzekucji i natychmiastowego sprzedania skonfiskowanego majątku. Za co? Za „wspieranie działalności stanowiącej inne poważne zagrożenie praworządności". A także osobie, która jest w jakikolwiek sposób powiązana z osobą/podmiotem „ograniczanym". A także, gdy minister uzna, że zachodzi podejrzenie, iż w przyszłości owe osoby czy podmioty mogą „zagrażać praworządności" lub „ingerować".

Brzmi absurdalnie? W zasadzie powinniśmy się już przyzwyczaić do hucpy w łamaniu prawa. A jednak projekt 3003 bije rekordy, i to o kilka długości. Usłyszawszy o nim, wziąłem go za żart. Bo gdyby ktoś chciał w kabarecie sparodiować to, do jakiej bezczelności może dojść „liberalny" totalitaryzm, takiego właśnie prawnego potworka mógłby wymyślić. Ale kabarety nie zajmują się liberalnym totalitaryzmem. A to nie jest żart, to prawdziwa ustawa, której projekt polski premier skierował do polskiego Sejmu, a Sejm go grzecznie zatwierdza w kolejnych etapach prac ustawodawczych.

Tak kuriozalnego aktu prawnego nie widziałem nigdy i chyba nikt nie widział. A czytałem różne bezczelne, komunistyczne, socjalistyczne i narodowo-socjalistyczne akty bezprawia. Ale żadne totalitarne prawo tak otwarcie nie ogłaszało zamordystycznego planu, nie było tak bezczelne w dążeniu do wszechwładzy. Upiorną wenę twórczą autora można porównać chyba tylko z upiorną wszechwładzą cesarza Kaliguli, który uznał się za boga, a swoje dewiacje i chore żądze czynił niekwestionowalnym i natychmiast egzekwowanym prawem, niszcząc wszystkich i wszystko, na co miał ochotę.

Konkrety. Projekt rzekomo wprowadza dyrektywę 2024/1226 Unii Europejskiej o przeciwdziałaniu łamaniu unijnych sankcji. Jednak do zapisów unijnych, niby w tej samej ustawie, polski rząd chyłkiem podkłada od siebie całkiem nową sferę – drakońskich kar natychmiast unicestwiających ofiarę, ukaraną za nie wiadomo co, za wszystko właściwie.

Ustawa ma 65 stron. Na 64 arcydrobiazgowo omawiane są sposoby unicestwienia zbrodniarza. A jak opisana jest zbrodnia? W artykule 4, „krajowe środki ograniczające", czytamy króciutką, maksymalnie ogólną listę domniemań urzędnika, która sprawi, że obywatel czy organizacja mają być przez rząd (ministra) bezsądowo, błyskawicznie i nieodwołalnie zniszczeni. Brak trybu odwoławczego jest podkreślony kilkukrotnie. A karze podlegają ci, „których działalność stanowi inne poważne zagrożenie dla demokracji lub praworządności". A także ci, „powiązani" z osobami lub podmiotami, które stanowią zagrożenie „w szczególności ze względu na powiązania o charakterze osobistym, organizacyjnym, gospodarczym lub finansowym". A także ci, „wobec których istnieje prawdopodobieństwo wykorzystania przez nich środków finansowych lub zasobów gospodarczych w celu wspierania osób lub podmiotów, o których mowa". A także ci „bezpośrednio lub pośrednio wspierający obcą ingerencję i manipulację w środowisku informacyjnym wymierzoną w bezpieczeństwo narodowe".

POŚREDNIE WSPIERANIE INGERENCJI

Każdy artykuł tygodnika „Sieci", każdy rysunek, wpis czy wypowiedź mogą zostać uznane za „pośrednio wspierające obcą ingerencję i manipulację w środowisku informacyjnym". Kara 200 mln zł zostanie wymierzona bez sądu, bez możliwości obrony, bez trybu odwoławczego, wyegzekwowana natychmiast. Zbrodniarze mają być wpisywani przez ministra na listę sankcyjną, ogłaszaną w Biuletynie Informacji Publicznej. Od właścicieli albo od ich rodzin, albo od ich znajomych (to wszak osoby powiązane) będzie można wyegzekwować natychmiast 200 mln zł. Dotyczy to wszystkich mediów, dużych i małych. A od dziennikarzy (oraz ich rodzin i znajomych) 20 mln zł. Natychmiast. A jeśli zabraknie – powstanie dług dożywotnio egzekwowany przez komornika.

Rząd, premier i minister spraw wewnętrznych chcą zatem uchwalenia w Polsce prawa, które da im możliwość natychmiastowej, bezsądowej likwidacji ekonomicznej każdego podmiotu i każdego obywatela. Rozumiem, iż liczą na to, że większość podmiotów, mediów i organizacji, aby uniknąć natychmiastowej likwidacji, wprowadzi autocenzurę prewencyjną. Ponieważ każda publicystyka, każdy komentarz czy obraz mogą zostać uznane za „pośrednie wspieranie" – nie tylko publicystyka zniknie, każda niemiła rządowi wypowiedź zniknie. I każda niemiła rządowi działalność. Taki jest cel.

eprasa.pl a3944fb8dc

Zasadą prawa jest definiowanie granic, precyzyjny opis tego, czego nie wolno. A potem sądowy dowód na to, czy prawo zostało złamane, czy nie. Projekt 3003 podpisany przez premiera Tuska z hukiem łamie obie zasady. Kara ma być jak wynaleziona przez francuskich liberałów gilotyna: bez pytań, błyskawicznie i bez odwołania. Opis „zbrodni" jest tak ogólny, że nie znaczy nic i może znaczyć wszystko. Równie dobrze mogą premier i ministrowie dopisać, że karani gilotyną będą rudzi albo blondyni, albo osoby powiązane z rudymi i blondynami, wobec których istnieje prawdopodobieństwo, że będą rudych albo blondynów wspierać. Przy projekcie 3003 dekret cesarza Kaliguli o jego własnej boskości, nakaz budowania mu świątyń i składania mu ofiar wydaje się bardziej uzasadniony i bardziej liberalny, a mianowanie konia konsulem jest weselsze.

ZMIANA USTROJU?

Stanisław Bartnik, wydawca portalu slonecznystok.pl, złożył w białostockiej prokuraturze „zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez funkcjonariuszy publicznych, członków Rady Ministrów, że działając wspólnie i w porozumieniu, przekroczyli uprawnienia, prowadząc do likwidacji konstytucyjnej zasady wolności słowa, zniesienia praw obywatelskich i faktycznej zmiany ustroju demokratycznego Rzeczypospolitej Polskiej drogą pozbawienia go przymiotu państwa pluralistycznego i wolnego".

Ustawa 3003 łamie konstytucję w wielu miejscach, m.in. w sferach wolności prowadzenia działalności gospodarczej, prawa własności, prawa do skutecznego środka prawnego i dostępu do bezstronnego sądu, domniemania niewinności i prawa do obrony, zasad legalności oraz proporcjonalności kar do czynów zabronionych. Jeśli ustawa 3003 wejdzie w życie, wolność umrze.

> Rząd, premier i minister spraw wewnętrznych chcą uchwalenia w Polsce prawa, które da im możliwość natychmiastowej, bezsądowej likwidacji ekonomicznej każdego podmiotu i każdego obywatela

Mimo wszystko zdumiewa to, że ten (już na zawsze) kompromitujący każdego polityka projekt rząd przepycha. Czy awantura wokół niego ma przykryć jakiś inny prawny zamach na naszą wolność? Przyglądajmy się ustawom tej jesieni szczególnie uważnie.

Gajusz Juliusz Cezar August Germanik, syn Germanika, zwany Kaligulą, do władzy doszedł dzięki staraniom niejakiego Makrona, prefekta pretorianów. Co ciekawe, Kaligula zaczynał jako liberał, tyranem stał się później, ponoć wskutek choroby. Nie wiadomo jednak, jaka to była choroba. Rządził cztery lata.

eprasa.pl a3944fb8ac


Bp Jacek Grzybowski podczas spotkania autorskiego

Człowiek i ponadludzkie moce AI

Ta apokalipsa już się dzieje. Stajemy się mniej sprawni intelektualnie, znajdujemy się pod wielką kontrolą narzędzi cyfrowych, a rozwój AI uruchomił wyścig mocarstw. Człowiek to korona stworzenia i musi temu sprostać



MACIEJ WALASZCZYK

Cyfryzacja i rozwój maszynowej inteligencji trwają od dawna, ale datą graniczną jest 2022 r. i natychmiastowe spopularyzowanie możliwości ChatuGPT oraz jego konkurentów, takich jak np. Gemini, Grok, Claude, Perplexity. To moment przełomowy nie tyle pod względem technologicznym, ile mentalnym, a więc antropologicznym, edukacyjnym, społecznym, ekonomicznym i politycznym. Mamy AI w edukacji, mediach, zarządzaniu, medycynie, logistyce, wojskowości i bezpieczeństwie. Tam, gdzie potrzebne jest myślenie, szybkość w podejmowaniu decyzji i równie szybkie wykonanie zadania. Czy staniemy się mniej sprawni i mniej operatywni od maszyn?

Dziś jesteśmy już innym społeczeństwem niż to z końca XX w., a kultura definitywnie ustępuje technice i cywilizacji. „Jeśli cele i wartości budowanych systemów sztucznej inteligencji nie będą zgodne z wartościami ludzi, grozi nam nowe zniewolenie" – ostrzega bp Jacek Grzybowski w książce „Odwaga myślenia w czasach sztucznej inteligencji".

WYZWANIE DLA CAŁYCH POKOLEŃ

Sztuczna inteligencja docelowo ma zaspokoić większość naszych potrzeb, zarówno technicznych i praktycznych, rozrywkowych i kulturowych, a nawet psychologicznych. Już teraz jest prowadzona próba zastąpienia religii i tradycyjnych modeli etycznych przez specjalistów od marketingu, psychologów i psychoterapeutów. Co więc się stanie, gdy zjawią się nieludzkie podmioty, konkurujące dziś w sferze intelektualnej, ale mające też gotową i empatyczną odpowiedź na każde pytanie, nawet w kwestiach egzystencjalnych?

Opracowane już empatyczne chatboty starają się naśladować słuchanie i rozumienie i są wykorzystywane w terapiach, a nawet wspierają diagnostykę zdrowia psychicznego. Do tego dochodzi pojawienie się u nich (pseudo)zdolności kreatywnych, tworzenie poezji, esejów, muzyki, doktoratów, szczególnie u tych konstruowanych na modelunku sieci neuronowych, inspirowanych ludzkim mózgiem, wkraczających w sferę kultury. Jak zauważył pisarz Jacek Dukaj, to jakby „oderwanie człowieczeństwa od człowieka".

Jednak, jak wskazuje autor książki, a zarazem duchowny, filozof i teolog, symulacja komputerowa nie może być mylona z prawdziwą rzeczywistością. Aby odczuwać w taki sam sposób jak człowiek, AI musiałaby, poza funkcjami, które już osiągnęła, być wyposażona w poczucie przynależności, lojalności, realne podstawy altruizmu i odpowiedzialności. Musiałaby osiągnąć ludzki poziom wrażliwości etycznej. „AI nie jest zdolna do heroizmu, działań, których nie może zaplanować" – zauważa bp Grzybowski.

Jakie więc skutki przyniesie rozwój sztucznej inteligencji człowiekowi jako jednostce oraz całym populacjom? Książka bp. Grzybowskiego jest próbą syntezy wiedzy dostępnej na ten temat, nie tyle przez pryzmat wiedzy technologicznej, ile filozofii i antropologii. Trzeźwą obroną człowieczeństwa, człowieka i jego wyjątkowości. Autor rozwija w niej myśli zawarte

Fot. teologiapolityczna.pl

eprasa.pl a3944fb8dc

w ostatniej encyklice Leona XIV „Magnifica humanitas” oraz we wcześniejszych wystąpieniach Franciszka. Papieże uwrażliwiali, by nie traktować maszyn obliczeniowych jak moralnie neutralnych. Nie chodzi o to, jak działają, ale o to, jaka wizja osoby i społeczeństwa została wpisana w dane i modele, które nimi kierują.

JEST SIĘ CZEGO BAĆ

We wrześniu br. Jacob Coxon, 27-letni brytyjski matematyk zatrudniony wcześniej w OpenAI i Anthropic, firmach zajmujących się sztuczną inteligencją, zrezygnował z pracy, powołując się na obawy, że sztuczna inteligencja stanowi „egzystencjalne zagrożenie dla ludzkości”. To kolejny insider z tej branży po Geoffrey’u Hintonie, Samie Altmanie czy Dario Amodei, który wskazał na kwestie bezpieczeństwa, rysując nośne medialnie, apokaliptyczne scenariusze.

Coxon twierdzi, że budowa samodoskonalącej się superinteligencji to działania nieodpowiedzialne, które mają na celu osiągnięcie przez maszyny umiejętności opracowywania strategii i prognozowania oraz środków perswazji o nadludzkiej sile. Dr Katarzyna Zybertowicz i prof. Andrzej Zybertowicz w swojej książce o AI używali do opisu tych zdolności wojskowego terminu „mnożnik siły”.

USA i Chiny to dziś na tym polu potentaci, ale swoje start-upy posiadają też Francja, Niemcy, Kanada, Izrael, Indie, Japonia oraz Singapur. Bp Grzybowski porównuje tę sytuację do atomowego wyścigu zbrojeń między USA a ZSRR. Coxon sam przyznał, że twórcy sztucznej inteligencji stali się więźniami tego wyścigu, dążąc do budowy maszyny najszybszej, najbardziej wydajnej, i to w sytuacji, w której żadne z państw oczywiście nie podejmuje działań regulujących ich dalszy rozwój.

Paradoks polega na tym, że ich zdolności są dziś wykorzystywane do ponownej proliferacji broni atomowej, cichej i niewidocznej, oraz budowy technologii w krajach dotąd nieposiadających technologii jądrowych. AI potrafi np. błyskawicznie przeprowadzać symulacje implozji jądrowej bez konieczności przeprowadzania fizycznych testów laboratoryjnych. Rewolucja cyfrowa i sztuczna inteligencja już wywołują wielkie przesilenia społeczne. Już teraz mamy do czynienia z serwisami informacyjnymi i radiowymi redagowanymi przez maszyny, z obrazami i muzyką, tekstami i filmikami generowanym przez AI. To wszystko jest dostępne na wyciągnięcie ręki każdego użytkownika smartfonu.

INTELEKT, INTELIGENCJA A MASZYNA

Klasyczna definicja intelektu to samodzielne myślenie, „poznanie proste i dogłębne”, umiejętność wniknięcia do istoty rzeczy i odsłanianie sensów zawartych pomiędzy poznawanymi treściami. U człowieka dokonuje się na mocy całej psychofizycznej struktury ludzkiej, a nie wyłącznie na mocy operacji logicznych.

Sztuczna inteligencja to jedynie zdolność uczenia się na podstawie zdobywanych informacji. Tak, jak robią to firmy karmiące AI danymi, pozyskanymi i często ukradzionymi nam wszystkim, „ucząc” ją całych zasobów kultury i cywilizacji. Jej siła polega więc wyłącznie na zdolności opanowywania ogromnej ilości danych i systematyzowania wiedzy. To więc myślenie jedynie upodobnione do ludzkiego.

Różni nas też zdolność do, wywodzącego się z percepcji zmysłowych, fenomenu abstrakcji, procesu intelektualnego charakterystycznego tylko dla człowieka. Podobnie jak do sądu o istnieniu danej rzeczy, a więc separacji, realistycznego uchwycenia aktu istnienia i realności konkretnego bytu.

„Sztuczna inteligencja nie wie, czym jest prawda w klasycznym sensie. Wie, co to jest prawda logiczna i zdania niesprzeczne, ale nie wszystkie zdania logiczne i niesprzeczne są prawdziwe” – przypomina bp Grzybowski, podkreślając, że maszyny nigdy nie będą wiedzieć, co to jest prawdziwy byt, i nigdy nie doświadczą prawdy. Chodzi o to, co zauważył brytyjski fizyk i matematyk prof. Roger Penrose: że nawet najbardziej sprawcza AI nie wie, co to znaczy, że zasady, na jakich ona sama działa, są prawdziwe. Nie może wyjść z kręgu tego, co ma wyuczone. Tymczasem ludzkie myślenie potrafi swobodnie wykraczać poza dane wyjściowe, ludzki intelekt rozpoznaje istnienie rzeczy oraz identyfikuje przyczyny tego, co poznaje, a AI nie. Ostatecznie to tylko człowiek jest twórcą kultury, którą przekazuje kolejnym pokoleniom, i nie jest ona możliwa bez świadomości upływu czasu.

No i w końcu istnieje religia, związana ze świadomością „przygodności i niepełności ludzkiej egzystencji na ziemi”. „Maszyny nie potrafią transcendować samych siebie, nie tworzą zatem autentycznej kultury i nie będą religijne” – zaznacza autor omawianej książki.

REKLAMA



19/1026/F

eprasa.pl a3944fb8dc

AI POJAWIŁA SIĘ W MOMENCIE KRYZYSU

Emmanuel Todd w swojej „Klęsce Zachodu" zwraca uwagę, że genetyka wyklucza przemianę mężczyzny w kobietę i odwrotnie, a twierdzenie, że jest to możliwe, stanowi afirmację fałszu – typowo nihilistyczny akt mentalny, którego potrzebę wyrażają elity polityczne i intelektualne świata zachodniego. Tego samego, który ma dziś w rękach możliwości rozwoju AI, wraz z którą realna staje się symbioza ludzkiego organizmu z technologią wyrażoną w ideach transhumanizmu. To pragnienie zmiany natury ludzkiej, ciała i psychiki, stworzenia nadczłowieka, formy postgatunkowej przekraczającej granice człowieczeństwa.



Rozwój cyfrowych technologii, w tym AI, dokonuje się więc w sytuacji wielkiego kryzysu kultury zachodniej. Człowiek utknął w doczesności, w świecie jedynie fizycznych doznań, odciętym od nadprzyrodzoności. Pojawia się brak krytycznego myślenia, deficyt sprawności poznawczej, zdrowego dystansu. Już teraz Facebook, X, Instagram i Tik-Tok faktycznie rozbiły społeczeństwo i więzi międzyludzkie, pogłębiając wszelką alienację, co uderza we wspólnotę i w reguły rządzące demokracjami.

Stawką jest zatem kształt systemu społecznego i politycznego, który wyłania się w momencie, w którym cedowanie na AI wyborów będzie skutkowało masowym ogłupieniem, mającym odbicie w wyborach życiowych i politycznych. „Kto w cyfrowym ręku dzierży kulturowe idee, ten ma wpływ na wychowanie całych pokoleń" – pisze autor.

Zdaniem Petera Thiela, współzałożyciela Palantira, rewolucja cyfrowa jest faktycznie zwodniczym postępem. A Geoffrey Hinton, noblista uznany za „ojca chrzestnego AI", ostrzega, że technologia ta może doprowadzić do wyginięcia ludzkości w ciągu trzech dekad. Bp Grzybowski zauważa z kolei, że technologia, która nas otacza, z pasywnej stała się wobec człowieka siłą aktywną, prowadząc do utracenia przez nas autonomii. Wytwory człowieka angażują nas bardziej niż świat przyrody, a swoją aktywność społeczną, kulturalną, polityczną, seksualną, a nawet religijną przenieśliśmy do wirtualu. Człowiek zanurzył się w nierzeczywistości.

Owo nieistnienie to również, jak pokreśla autor „Odwagi myślenia w czasach sztucznej inteligencji", twarda kategoria filozoficzna, bo treści generowane przez komputery nie są realnymi bytami, nawiązane tam relacje niewiele znaczą, a nadawca i odbiorca są stwarzani przez media, za których pośrednictwem funkcjonują. Czas spędzany na aktywnościach wirtualnych w nierzeczywistości ujawnia więc nowe schorzenia, zaburzenia tożsamości, uzależnienia, cyfrową depresję i demencję. To coraz powszechniejsza samotność, celowe izolowanie się, brak umiejętności nawiązywania kontaktu. Narzędzia cyfrowe zamiast poskramiać, jedynie pogłębiają nasze egzystencjalne lęki.

> „Maszyny nigdy nie będą wiedzieć, co to jest prawdziwy byt, i nigdy nie doświadczą prawdy" – zauważa bp Jacek Grzybowski w swojej książce „Odwaga myślenia w czasach sztucznej inteligencji"

PISMO WYPIERANE PRZEZ OBRAZ I MOWĘ

Autor książki zastanawia się, jak kognitywna siła sztucznej inteligencji wpłynie na realne kształcenie w czasach, gdy programy w kilka sekund są zdolne napisać eseje i prace dyplomowe. Wszędzie dominują słowo mówione, autoprezentacja, podcasty. Nie jest to jednak powrót do rozmowy i dialektyki, ale przekaz odseparowany od nadawcy. Jeff Bezos twierdził wprost, że przyszłość jest w słuchaniu i oglądaniu, a nie w czytaniu.

„Boję się świata bez bibliotek" – mówi bp Grzybowski, zdaniem którego obcowanie z książkami, oryginalnymi tekstami, prawdopodobnie stanie się zajęciem elitarnym. Choć sam nieustannie namawia swoich studentów do drukowania tekstów lektur i ćwiczenia z tekstem papierowym. Grożą nam amnezja piśmiennicza, trwały zanik zdolności samodzielnego pisania i upośledzenie w czytaniu. Ginie logocentryczny, refleksyjny i koncepcyjny typ inteligencji i komunikacji. Jego miejsce zajmuje szybki, rzeczowy, konkretny, wirtualny, a wraz nim cywilizacja obrazkowa, gubiąca w kolejnych pokoleniach umiejętność formułowania poprawnych językowo, złożonych, wielowątkowych i logicznych wypowiedzi. Tutaj technologia odbiera korzyści, a rozwój AI grozi implozją tradycyjnie rozumianej szkoły.

Według autora książki w humanistyce potrzeba dziś nowego systemu nauczania i oceniania. Poza odręcznym pisaniem, rozmową, wykładem czytaniem książek bp Grzybowski proponuje uczenie bardzo krytycznego odbioru treści, ostrożności poznawczej, weryfikowania informacji i źródeł. Uniwersytety powinny powrócić do kształcenia inteligencji, a nie wyłącznie specjalistów. Autor jest przekonany, że w zdominowanym przez sztuczne wytwory świecie ujawni się wielkie zapotrzebowanie na wolnego i myślącego człowieka. Także na jego twórczość, kulturę, debaty, wykłady. „Może za takie ekskluzywne, bo czysto ludzkie spotkania będziemy skłonni płacić bardzo duże pieniądze, by osobiście doświadczyć nieprzetworzonej technicznie aktywności człowieka?" – zastanawia się bp Grzybowski.

eprasa.pl a3944fb8dc

Zdrajcy wewnętrzni – prawdziwi inspiratorzy rozbiorów Polski. Czy to wciąż aktualne zagrożenie?

Jeżeli historia może być nauczycielką życia, to powinniśmy wyciągnąć jeden fundamentalny wniosek. Największym błędem, którego powtarzać nam nie wolno, jest brak karania zdrady. To zawsze rozzuchwalało kolejne pokolenia zaprzańców



OSKAR SZAFAROWICZ

Zbliża się 370. rocznica pierwszego sformalizowanego aktu rozbiorowego w naszej historii. 6 grudnia 1656 r. w siedmiogrodzkim Radnot zawarto złowrogi dla naszej ojczyzny traktat, którego sygnatariuszami byli: monarcha szwedzki Karol X Gustaw, elektor brandenburski Fryderyk Wilhelm Hohenzollern, książę Siedmiogrodu Jerzy II Rakoczy, kozacki watażka Bohdan Chmielnicki oraz arcyzdrajca z litewskiego rodu arystokratycznego Bogusław Radziwiłł.

„Rzeczpospolita to postaw czerwonego sukna, za które ciągną Szwedzi, Chmielnicki, Hiperborejczykowie, Tatarzy, elektor i kto żyw naokoło" – słynna fraza z sienkiewiczowskiego „Potopu", włożona w usta Bogusława Radziwiłła, została przyobleczona w realne działania, które mogły uśmiercić potężną jeszcze do niedawna Rzeczpospolitą. Warto przeanalizować ten przykład i zastanowić się nad rolą wewnętrznych zdrajców w procesach rozbiorowych na przestrzeni dziejów.

TRZY CZARNE CHARAKTERY

Bogusław Radziwiłł, Hieronim Radziejowski, Jerzy Niemirycz – trzy czarne charaktery. Każdy kierował się innymi pobudkami, lecz ich knowania w omawianym czasie miały jednoznaczny charakter zdrady stanu.

Hieronim Radziejowski, podkanclerzy koronny, w 1650 r. ożenił się ze świeżo owdowiałą magnatką Elżbietą ze Słuszków Kazanowską, która odziedziczyła olbrzymi majątek po Adamie Kazanowskim. Ów mariaż, a dokładniej podejrzenia wokół wierności małżeńskiej, okazały się pretekstem do rozpoczęcia konfliktu między magnatem a ówczesnym królem Janem II Kazimierzem. Radziejowski napisał list do królowej, w którym skrytykował Jana Kazimierza za sposób prowadzenia wyprawy, a także sugerował, że król ma romans z jego żoną.

Publiczne waśnie z żoną były gorszące, ale czarę goryczy przelał najazd zbrojny na pałac, w którym Elżbieta schroniła się przed brutalnym mężem. Jako że znajdował się tuż przy monarszej siedzibie, Radziejowskiego oskarżono o obrazę majestatu i skazano na infamię oraz banicję. Upokorzony i zdegradowany szlachcic wyjechał z Polski i, co znamienne – podróżował od jednego dworu (m.in. austriackiego) do drugiego, byle tylko u obcego władcy szukać szansy na zemstę. Tyleż osobistą, ile uderzającą w całą Rzeczpospolitą.

Bogusław Radziwiłł nie pełnił może najwyższych godności w Rzeczypospolitej (od 1646 r. był koniuszym wielkim litewskim), ale jego światowe obycie, staranne wykształcenie, olbrzymie dobra na Nowogródczyźnie i przynależność do wpływowego rodu czyniły z niego postać znacznego formatu. Na tyle znacznego, że nie mieścił się w ramach panującego układu sił – zapragnął oddzielić Wielkie Księstwo Litewskie (a w wariancie minimum choćby Podlasie i część Litwy) od Korony i panować jako udzielny władca. Spiskował z elektorem brandenburskim i władcą Szwecji, tłumacząc obłudnie, iż słaba Rzeczpospolita nie gwarantuje już ochrony przed ujawniającą swoje imperialistyczne zamierzenia Rosją.

Jerzy Niemirycz, podkomorzy kijowski, to XVII-wieczny pierwowzór literackiego toposu z przyszłości – Dr Jekyll i Mr Hyde. Z jednej strony tęga polityczna głowa, inicjator i współtwórca unii hadziackiej z 1658 r., która, gdyby weszła w życie, stworzyłaby wielkie perspektywy rozwoju i zachowania suwerenności przez Rzeczpospolitą Trojga Narodów. Z drugiej zaś strony wróg Kościoła katolickiego. Jako brat polski (wyznawca jednej z protestanckich religii) wierzył, iż oddanie się pod panowanie luterańskiego władcy Szwecji zapewni pełną wolność religijną. Sęk w tym, że akurat swobody wyznania w zróżnicowanej pod tym względem

eprasa.pl a3944fb8dc

Polsce nie brakowało, czym wyróżniliśmy się na tle pogrążonej w wojnach religijnych Europy.

Trzej różni antybohaterowie, trzy różne motywacje zachowań niegodziwych – od personalnych niesnasek przez nadmierne ambicje polityczne aż po antykatolickie fobie. Wspólna zaś pogarda wobec własnej ojczyzny, nienawiść do jej legalnych władz, niewiara w instytucje – pełna ojkofobia. Choć decydujące w procesie rozbiorowym były oczywiście geopolityczne interesy mocarstw ościennych, to bez *spiritus movens* w postaci opisanych zdrajców wewnętrznych nie doszłoby do sfinalizowania traktatu w Radnot. Wówczas Rzeczpospolita przetrwała. Kalkulacje Rosji i Cesarstwa Habsburgów, by nie wzmacniać nadmiernie Szwecji oraz Prus, zbiegły się z ofiarną postawą patriotycznej części szlacheckiego narodu, który zmobilizował się w obronie stojącej na krawędzi ojczyzny. Nie zawsze jednak mieliśmy tyle szczęścia, sprzężonego z determinacją niezłomnych obywateli.

W XVIII w. koniunktura w takim stopniu Polsce nie sprzyjała, a wewnętrzne środowisko zaprzańców, już wręcz ostentacyjnie gardzących „ciemnym i zanarchizowanym państwem upadłym", osiągnęło sukces. Tak, sukces, gdyż w pełni świadomie dążyli do ostatecznego upadku Rzeczypospolitej.

„Każdy z przeszłych Polaków ojczyznę sobie obrać powinien. Ja już jestem Rosjaninem na zawsze" – z odrażającą dumą oznajmił Stanisław Szczęsny Potocki, jeden z liderów obozu Targowicy. Wymazanie z mapy Europy bastionu katolicyzmu, tradycyjnych wartości oraz wolnościowych tendencji republikańskich – spełniło się marzenie zdrajców, którzy przestali pokładać ufność w możliwości istnienia samodzielnego i suwerennego państwa, które posiada siły do rozprawy z zewnętrznymi wrogami i urządzenia swoich wewnętrznych spraw.

ZDRADZIECKA DZIEWIĄTKA

Wehikułem czasu przenieśmy się do Polski Anno Domini 2026. Nie mam wątpliwości, że uprawnione jest stwierdzenie, iż trwa obecnie (konkretnie od 13 grudnia 2023 r.) proces utraty suwerenności przez naszą ojczyznę. Proste snucie analogii choćby z XVIII-wiecznymi dziejami jest, jak sądzę, nie do końca trafne – po raz pierwszy bowiem w dziejach wolnej Polski (z oczywistych względów czasów podległości za PRL nie uwzględniam) władzę, o zgrozo, z demokratycznym mandatem znacznej części społeczeństwa, objął obóz „elit kompradorskich". To już nie pojedynczy zdrajcy wewnętrzni realizujący swoje niecne partykularne interesy, lecz cała formacja zewnętrzna, która z zegarmistrzowską precyzją wypełnia oczekiwania mocodawców ulokowanych poza naszymi granicami.

Cel został zdefiniowany jednoznacznie – wtłoczenie Polski w konstrukt superpaństwa europejskiego, o czym marzą eurokraci z unijnego mainstreamu. Kilka lat temu, nawiązując do głośnej książki Philippe'a de Villiersa, całkowicie już opadły maski. Wyłożono na stół wszelkie karty w postaci gotowego projektu zmian traktatów unijnych. Propozycje były daleko idące: likwidacja prawa weta w 34 kluczowych punktach,



Bogusław Radziwiłł (1620–1669)

Fot. Muzeum Narodowe w Warszawie

eprasa.pl a3944fb8dc

de facto przejęcie przez Komisję Europejską władztwa w ośmiu fundamentalnych obszarach, takich jak obronność czy ochrona granic (formalnie przesunięcie ich z działu kompetencji wyłącznych państw członkowskich do kompetencji dzielonych), narzucenie wszystkim członkom waluty euro czy zerwanie relacji z USA – „uniezależnienie się od NATO". Wielu europosłów ówczesnej totalnej opozycji wręcz chełpiło się tym, że mobilizowali swoich kolegów z wiodących frakcji w Parlamencie Europejskim, aby intensywnie pracowali nad dokonaniem dziejowej konieczności, jaką jest centralizacja Unii Europejskiej.

Do głosowania nad rozpoczęciem procedury zmiany traktatów doszło w europarlamencie 22 listopada 2023 r. Dokument (raport specjalnie powołanej komisji) uzyskał akceptację, ale różnica głosów była zaskakująco nieduża: 291 za, 274 przeciw, 44 europosłów się wstrzymało. Gdyby dziewięciu posłów zagłosowało przeciw zamiast za, temat upadłby już na wstępnym etapie. W tym miejscu można otworzyć poczet zdrajców Polski i zapisać czerwonym atramentem nazwiska: Róży Thun, Sylwii Spurek, Marka Belki, Marka Balta, Roberta Biedronia, Włodzimierza Cimoszewicza, Łukasza Kohuta, Bogusława Liberadzkiego, Leszka Millera. Dziewięcioro polskich europosłów, choć w istocie europarlamentarzystów z Polski, podniosło ręce w geście, który symbolicznie można by odczytać: „finis Poloniae", bo formuła unijnego oberpaństwa oznacza kres podmiotowości Polski.

Od tego momentu kwestia zmiany traktatów wyhamowała, gdyż eurokraci zorientowali się, że sprzeciw wśród poszczególnych państw podczas procedury ratyfikacji byłby o wiele większy, niż się pierwotnie spodziewali. Zintensyfikowali zatem stosowanie metod, które z literalnym trzymaniem się przepisów prawa mają niewiele wspólnego. Kolejne wspólne długi (jak nielegalnie zaciągnięty przez Polskę „der SAFE"), programy wkraczające w dotychczas zastrzeżone dla suwerennych państw obszary, takie jak pakt migracyjny czy Zielony Ład (wszystkie dyrektywy i rozporządzenia, które go tworzą, przyjęto ze złamaniem traktatów) bądź aktywizm sędziowski Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej z wykładnią rozszerzającą w kontekście uprawnień instytucji unijnych.

Moim zdaniem wszelkie te działania noszą znamiona swego rodzaju rozbioru. Nie klasycznego – ziem polskich nikt nie zamierza dziś rozdzierać (przynajmniej na razie, bo koncepcja euroregionów brzmi nad wyraz groźnie). To rozbiór polityczny, gospodarczy i społeczny, bo uderza również w naszą tożsamość kulturową. Prą do niego unijni decydenci, choć nikt nie może mieć wątpliwości, że najbardziej zainteresowane nową konstrukcją społeczno-polityczną naszego kontynentu są Niemcy, na równi być może z Rosją, gdzie myśl o „Europie od Lizbony do Władywostoku" jest wciąż żywa. Znów te dwa czarne orły pragnące rozerwać krnąbrną Polskę, która w ostatnich latach śmiała rozbudzić celowo usypiane przez dekady ambicje.

> Dziś zamiast Radziejowskiego, Niemirycza i Radziwiłła mamy Tuska, Domańskiego, Żurka i resztę tych, którzy czynnie bądź tylko biernie dokonują destrukcji Polski

RADNOT 2.0

Jednak ten niebezpieczny proces nie mógłby się toczyć, gdyby nie jego wykonawcy wewnątrz polskiego domu. Zgrozę wywołuje to, że reprezentanci partii zewnętrznej (pod różnymi szyldami, ale w ramach jednego obozu obecnej władzy) z wielką gorliwością inicjują niektóre działania lub do nich głośno nawołują.

Symptomatyczne są słowa wypowiedziane przez Adama Bodnara w 2021 r. w Getyndze, gdy odbierał nagrodę Dialogpreis, przyznawaną przez Federalny Związek Towarzystw Niemiecko-Polskich: „Polska kultura prawna i przemiany po 1989 r. zostały zainspirowane i były wspierane przez niemiecką myśl prawniczą. […] Ale to powoduje – po stronie mentora – także szczególną odpowiedzialność. Jak w przypowieści z »Małego Księcia«. Jeśli oswoi się zwierzątko, to nie można go później porzucić".

Ten wiernopoddańczy apel, by Niemcy oswoili polskie zwierzę, to coś więcej niż deklaracja lojalności względem obcej siły („Przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy") – to gest upokorzenia rodaków i odrzucenia polskości. Z tego wypływają właśnie konkretne kroki na drodze, której nie waham się nazywać zdradą. Neo-Targowica dokonuje jej konsekwentnie od dekad. Dezawuując dokonania Polaków, szydząc z naszego dorobku kulturowego, wtłaczając pedagogikę wstydu, a niestety od trzech lat korzystając z narzędzi, które daje sprawowanie rządów; totalnie niszcząc państwo w każdym obszarze, by Polska była na tyle osłabiona i pozbawiona możliwości samodzielnego funkcjonowania, że jedynym rozwiązaniem będzie oddanie się „pod opiekę" możnych protektorów, urzędujących w innych stolicach.

To nie rezultat fatalnych rządów – to pełna premedytacja. Dążenie do wyraźnie obranego celu, do traktatu z Radnot 2.0. Dziś zamiast Radziejowskiego, Niemirycza i Radziwiłła mamy Tuska, Domańskiego, Żurka i resztę tych, którzy czynnie bądź tylko biernie dokonują destrukcji Polski.

Jeżeli historia może być nauczycielką życia, to powinniśmy wyciągnąć jeden fundamentalny wniosek. Największym błędem, którego powtarzać nam nie wolno, jest brak karania zdrady. To zawsze rozzuchwalało kolejne pokolenia zaprzańców. Gdy wróci w Polsce normalność, poszanowanie prawa i wola obrony suwerenności przez rządzących, sprawiedliwe osądzenie zdrajców będzie absolutną koniecznością. By zjawisko to już nigdy się nie odrodziło.

eprasa.pl a3944fb8dc



Milczenie europejskiej „wielkiej trójki”

Przed planowanym na 10 listopada spotkaniem w Abu Zabi, które ma inicjować rozmowy pokojowe z Rosją, napięcie rośnie. Putin stawia ostre warunki, Ukraina potrzebuje pieniędzy, a europejscy przywódcy mają coraz bardziej rozbieżne interesy



MAREK BUDZISZ

„To ważne, aby Europa była obecna, ale jeśli Amerykanie powiedzą: »Nie, tym razem odbędziemy tylko spotkanie trójstronne«, to nie zmarnujemy okazji do rozmów” – stwierdził Zełenski, występując po spotkaniu z premierem Niderlandów. Innymi słowy, Ukraina zaakceptuje brak przedstawicieli naszego kontynentu na planowanym na 10 listopada spotkaniu w Abu Zabi, które ma inicjować rozmowy pokojowe z Rosją. Jeszcze do niedawna Kijów znacznie bardziej stanowczo formułował swoje stanowisko w tej sprawie, deklarując, że przynajmniej doradcy ds. bezpieczeństwa liderów grupy E3 (Berlin, Paryż, Londyn) powinni uczestniczyć w tego rodzaju negocjacjach.

Co się stało? Szukając odpowiedzi na to pytanie, zastanówmy się, jakie znaczenie miał wspólny telefon premiera Norwegii i prezydenta Finlandii do Putina. Rozmawiali z nim 90 min (mimo że pierwotnie planowano co najwyżej 30 min dialog), który to czas, jak informują zachodnie media, rosyjski przywódca wykorzystał do wygłoszenia historycznego monologu, który miał przekonać rozmówców, że Ukraina jest częścią Rosji, a ziemie, o które toczą się walki, są od wieków rosyjskie. Jednak nie hobbystyczny wykład Putina jest w tym przypadku istotny, ale to, że przywódcy państw skandynawskich zadzwonili na Kreml, nie konsultując swojego posunięcia z sojusznikami, a niektórym nawet nic nie mówiąc o tym ruchu. Ulf Kristersson, premier Szwecji, ujawnił, że on i wielu innych liderów państw europejskich nie zostało poinformowanych o planowanym telefonie. Można to odczytywać w kategoriach braku jedności, ale sprawa wydaje się poważniejsza.

STRATEGIA KREMLA

Zacznijmy od intencji Moskwy. Obok kwestii historycznych Putin w toku rozmowy telefonicznej i w późniejszym komunikacie opublikowanym przez Kreml przekazał Zachodowi istotny sygnał strategiczny. Miał powiedzieć, że jedną z głównych przyczyn wybuchu wojny były ekspansja NATO na wschód i prozachodni rząd w Kijowie. W oficjalnym komunikacie dodano jeszcze, że trwałe porozumienie pokojowe kończące wojnę jest możliwe wyłącznie w sytuacji, „gdy prawnie uzasadnione interesy Rosji zostaną w pełni i bezwarunkowo uwzględnione”.

Fot. Shutterstock x2

eprasa.pl a3944fb8dc



Trzeba też odnotować, że w tym samym oświadczeniu Moskwa po prostu poinformowała, że przedstawiciele państw europejskich „nie wezmą udziału" w rozpoczynających się rozmowach pokojowych. Może się to wydawać o tyle dziwne, że jeszcze dwa dni wcześniej Jurij Uszakow, doradca Putina ds. polityki zagranicznej, rzeczywisty architekt linii Kremla (bo Ławrow to tylko figurant), powiedział coś na pozór z tym oświadczeniem sprzecznego. Zadeklarował, że Europejczycy winni siedzieć przy stole negocjacyjnym. Ale ta sprzeczność jest tylko pozorna, bo Rosjanie chcieliby, aby reprezentanci naszego kontynentu, owszem, uczestniczyli, lecz w drugiej fazie ewentualnych rozmów pokojowych, które miałyby dopełnić pierwsze porozumienie. Negocjowane w trójkącie Kijów–Waszyngton–Moskwa miałoby dotyczyć Ukrainy, jej kształtu terytorialnego, sił zbrojnych i ustroju. W drugiej fazie procesu – a trzeba pamiętać, że Rosjanie preferują podejście „negocjujemy i walczymy" – Europa musiałaby się zgodzić na zmianę architektury bezpieczeństwa, czyli wycofanie wojsk NATO z państw, które przystąpiły do sojuszu po 1997 r., w tym z Polski, oraz zaakceptować powojenne porządki na Ukrainie.

Takie stanowisko Rosji nie tylko przypomina ultimatum Putina z grudnia 2021 r., które również składało się z dwóch części, porozumienia ze Stanami Zjednoczonymi i z pozostałymi członkami NATO, lecz stawia także Europę w niezwykle trudnym położeniu. Jeśli bowiem negocjacje z Waszyngtonem i Kijowem zakończyłyby się porozumieniem, które mogłoby zakończyć wojnę, to brak zgody Europejczyków byłby równoznaczny z odpowiedzialnością za jej przedłużanie. Mało tego, dążący do kontynuowania walki Ukraińcy mogliby oczekiwać od państw naszego kontynentu nie tylko dalszego wsparcia finansowego, lecz niewykluczone, że także przysłania wojska, bo w tej fazie wojna w sposób oczywisty toczyłaby się o europejskie, a nie ukraińskie interesy. A nawet najsilniej popierające Kijów państwa ani nie chcą niekończącego się finansowania zbrojnego wysiłku Ukrainy, ani tym bardziej nie pragną zostać wciągnięte do walk.

Gdyby strategia negocjacyjna Putina się powiodła, to państwa naszego kontynentu zostałyby postawione przed bolesnym wyborem oznaczającym albo dalsze finansowanie Ukrainy i ryzykowanie własnego zaangażowania w wojnę, albo akceptację rosyjskich porządków, nie tylko na Ukrainie. Putin najprawdopodobniej uważa, że postawieni przed takim wyborem Europejczycy pękną i wspierająca Kijów koalicja rozsypie się jak domek z kart.

Paradoks tej sytuacji polega na tym, że podobną grę podejmuje Zełenski. Woli teraz wymusić na Europejczykach korzystne dla Ukrainy decyzje, niż czekać na zawieszenie broni, bo wówczas zapewne nie zostaną one podjęte. Innymi słowy, Zełenski podobnie jak Putin naciąga strunę, licząc, że ona się nie zerwie i Europejczycy pod presją Ukrainy i państw graniczących z Rosją podejmą dobre dla niej decyzje.

ILE KOSZTUJE UKRAINA?

Telefon Støre'a i Stubba do Putina został odczytany nie jako samowolna inicjatywa dyplomatyczna, podjęta bez konsultacji z sojusznikami, bo to można byłoby przeboleć, ale jako próba negocjacji nowego europejskiego porządku bezpieczeństwa. Pośrednio przyznał to Jonas Gahr Støre, tłumacząc mediom, że „główne pytanie brzmi: czym mogą być gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy po zawarciu porozumienia pokojowego. Putin uznaje, że to jest główny problem". Ten nowy porządek bezpieczeństwa, o którym obydwaj chcieli rozmawiać z przywódcą Rosji, nie oznacza jednak kapitulacji Europy, ale przeciwnie, odpowiednio wczesne „określenie się", potwierdzenie gotowości finansowania Ukrainy również po wojnie i udzielenie gwarancji bezpieczeństwa „w stylu artykułu 5", jak mówił o tym niedawno Zełenski.

Oficjalnie inicjatywę obu przywódców skrytykowały Włochy, Szwecja, Litwa i Dania, milczą najwięksi, a najciekawsze jest to, że Støre i Stubb konsultowali swój telefon z ukraińskim ministrem spraw zagranicznych, który nie miał nic przeciw tej inicjatywie. Te dwie sprawy, wściekłość Europejczyków i akceptacja Kijowa, wydają się zresztą łączyć. Telefon Støre'a i Stubba został słusznie odczytany nie tylko jako brak europejskiej jedności w kwestii warunków zakończenia wojny, lecz także jako próba „wciągnięcia" dużych państw naszego kontynentu w porozumienie, które nie musi być dla nich komfortowe. To wyjaśnia zaangażowanie Kijowa, bo Ukraińcy myśląc o sytuacji już po wojnie, chcieliby, aby Europa nie narzucała jej warunków kontynuowania pomocy, ale po prostu została postawiona przed faktem dokonanym: jeśli chce końca wojny, będzie musiała płacić również w przyszłości. Z kolei państwa graniczące z Rosją obawiają się, że po wojnie okażą się pozostawione przez zachodnich sojuszników sam na sam z tym problemem.

A mowa o niemałych kwotach. W świetle ostatnich obliczeń Kijowskiej Szkoły Ekonomii „luka budżetowa" do 2029 r. wyniesie 99 mld euro, i to w scenariuszu końca intensywnych działań bojowych. Ktoś te pieniądze będzie musiał Ukrainie podarować albo pożyczyć na preferencyjnych warunkach. A wydolność jej gospodarki słabnie. Narodowy Bank Ukrainy, który prognozował w br. wzrost na poziomie 1,8 proc., teraz skorygował swoje szacunki, informując o spadku PKB o 0,4 proc. Nieco bardziej optymistyczni są eksperci Kijowskiej Szkoły Ekonomii, bo oni z kolei przewidują w br. spadek w wysokości 0,3 proc., ale za to prognozują, że w przyszłym roku będzie to już 0,6 proc. Ukraina już obecnie finansuje całość wydatków państwowych i część militarnych z pożyczek i dotacji, przeznaczając całość własnych dochodów publicznych na finansowanie wydatków związanych z wojną.

DEMOGRAFICZNY DRAMAT

Po wojnie uzależnienie Kijowa od państw europejskich nie zmaleje, ale będzie tylko rosło. Wynika to z sytuacji demograficznej walczącego kraju, która staje się dramatyczna. Naukowcy z Ukraińskiej Akademii Nauk szacują, że na terenach kontrolowanych przez Kijów mieszka obecnie od 28 do maksymalnie 30,5 mln ludzi i po wojnie nie będzie żadnego baby boomu. Nie tylko dlatego, że obecnie Ukraina ma jeden z najniższych wskaźników narodzin w Europie, który oscyluje na poziomie od 0,9 do 1,1 dziecka na kobietę.

eprasa.pl a3944fb8dc

Innym problemem może być kolejna fala uchodźców, do której wywołania dążą ciągłymi atakami Rosjanie. Nawet wyjazd 500 tys. kobiet i dzieci będzie demograficznym ciosem, tym bardziej że to nie ostatnia fala migracyjna. Po zawarcia pokoju do swoich rodzin będą chcieli dołączyć mężczyźni i dlatego demografowie w Kijowie ostrzegają przed kolejnym wzmożeniem wyjazdów.

Ella Libanowa, dyrektor Instytutu Demografii i Badań Społecznych Narodowej Akademii Nauk Ukrainy, jest zdania, że po wojnie na Ukrainie może pozostać 23–25 mln ludzi. Co gorsza, w niemałej części będą to emeryci mający więcej niż 65 lat, bo dziś Ukraina jest statystycznie jednym z najstarszych społeczeństw w Europie. Według oficjalnych danych, które obejmują okres do końca 2024 r., na Ukrainie wykonano 90 tys. amputacji; niezależni eksperci sądzą, że mogło to być nawet 120 tys. A przez ostatnie niemal dwa lata ta liczba z pewnością znacznie wzrosła.

PIENIĄDZE SIĘ KOŃCZĄ

Zełenski mówi, że Ukraina nie zgodzi się na pokój, jeśli miałoby to oznaczać narzucone ograniczenia wielkości armii, i podaje „wielkość brzegową" 600 tys. ludzi, co oznacza utrzymanie potencjału wojskowego na poziomie zbliżonym do obecnego, bo realnie na froncie walczy ok. 200 tys., a pozostali „są w rotacji". Kto utrzyma tak liczną armię? Z pewnością nie będzie w stanie tego dokonać samodzielnie Ukraina z nominalnym PKB na poziomie 245 mld dolarów, ze starzejącym się społeczeństwem i zniszczoną gospodarką, która niemal 60 proc. dochodów z eksportu generuje, sprzedając płody rolne. I nie ma już przemysłu stalowego, który przed wojną dawał nawet 7 proc. PKB, bo w wyniku rosyjskich bombardowań ostatni wielki piec został unieruchomiony. Bezrobocie, dziś utrzymujące się na poziomie 10 proc., może wzrosnąć, zwiększając presję migracyjną.

Problemem jest jednak to, że pieniądze w Europie już się skończyły. Rentowność obligacji skarbowych francuskiego rządu przekroczyła 5 proc., co oznacza skokowy wzrost ciężarów związanych z obsługą długu publicznego, rozdętego do niemal 120 proc. PKB. Podwyżka podatków też jest mało realna. Nie chcą tego posłowie, w większości opozycyjni, którzy już odrzucili pierwsze propozycje podniesienia podatków dla korporacji, które złożył gabinet Lecornu. Zresztą Francja jest dziś liderem w Unii, jeśli chodzi o wielkość obciążeń podatkowych. Brytyjczycy muszą ponosić jeszcze wyższe koszty obsługi swojego długu, który zbliża się do 100 proc. PKB, bo w ich przypadku oprocentowanie obligacji rządowych przekroczyło 5,7 proc.

> Gdyby strategia negocjacyjna Putina się powiodła, to państwa naszego kontynentu zostałyby postawione przed bolesnym wyborem oznaczającym albo dalsze finansowanie Ukrainy i ryzykowanie własnym zaangażowaniem w wojnę, albo akceptację dla rosyjskich porządków, nie tylko na Ukrainie. Putin najprawdopodobniej uważa, że postawieni przed takim wyborem Europejczycy pękną i wspierająca Kijów koalicja rozsypie się jak domek z kart

Perspektywa konfiskaty rosyjskich aktywów znajdujących się w Belgii jest dziś bardziej teoretyczna niż praktyczna. Nawet jeśli Bruksela zmieniłaby swoje negatywne stanowisko w tej sprawie – o co będzie bardzo trudno – to liderzy największych państw nie spieszą się z podjęciem takich kroków. Nie dlatego, że nie obchodzi ich sytuacja Ukrainy, ale z racji troski o stan własnych budżetów. Konfiskata depozytów, nawet rosyjskich, byłaby przyjęta przez rynki finansowe jako wzrost ryzyka podobnych kroków w przypadku długu europejskich stolic. To oznacza zaś wzrost oprocentowania obligacji i pogarszającą się sytuację budżetów, tym bardziej że presja inflacyjna rośnie, a nie maleje. Ostatnią rzeczą, na jaką liderzy idących do wyborów Francji czy Niemiec mają ochotę, jest obwieszczenie własnym społeczeństwom, że jeszcze przez długie lata będą finansować Ukrainę.

Świadomość tego, że „kończą się pieniądze", ma również Zełenski i chce, wyprzedzając rozwój wydarzeń, wpisać kwestię finansowania w negocjowane obecnie gwarancje bezpieczeństwa. Tym bardziej że – jak napisał Garri Kasparow, który uczestniczył w Warszawskiej Konferencji Bezpieczeństwa i nie ukrywał rozczarowania tym, co w jej toku zaobserwował – „Europa nie jest zdolna do prowadzenia wojny". Słynny szachista dodał przy tym, że „uderzający był rozdźwięk między wypowiedziami dowódców wojskowych, którzy na co dzień mierzą się z rzeczywistością narastającej wojny z Rosją, a unijnymi politykami – bezpiecznie odizolowanymi od realiów na froncie i zajętymi tworzeniem pięcio- czy dziesięcioletnich planów, które nie mają żadnego związku z istniejącym zagrożeniem". W opinii rosyjskiego opozycjonisty mamy także do czynienia z innymi postawami państw graniczących z Rosją i tych, które są położone dalej.

To by oznaczało, że telefon Støre'a i Stubba miał również na celu (a może przede wszystkim) skłonić liderów bogatych państw Europy Zachodniej, aby te, jeszcze przed rozpoczęciem rozmów w Abu Zabi, sformułowały bardziej niż teraz ofensywną strategię wobec Rosji, zgadzając się i na finansowanie ukraińskiej armii, i Kijowa po wojnie, ale też na przesunięcie własnych sił bardziej na wschód, a nawet na własne zaangażowanie wojskowe, gdyby wojna została wznowiona. Milczenie Berlina, Paryża i Londynu należy w tym kontekście traktować jak odpowiedź.

eprasa.pl a3944fb8dc



Flávio Bolsonaro i Lula da Silva podczas prezydenckiej debaty telewizyjnej

Brazylijskie wybory wygrywa Rosja

Radość w Unii Europejskiej z prezydenckiego zwycięstwa Luli pokazuje, w jak nikczemnej obłudzie i schizofrenii żyją władcy Europy. Gdy mają do wyboru sojusznika Putina bądź Trumpa, to wolą tego, który jest z władcą z Kremla



DARIUSZ MATUSZAK

Fot. Andre Penner/Associated Press/East News

O mały włos – to najsłynniejsza fraza z filmu Mela Gibsona „Apocalypto", którego akcja rozgrywa się w prekolumbijskiej Ameryce. O mały włos, a niemal cała Ameryka Łacińska stałaby się MAGA – trumpowska. Po lewej stronie mocy właściwie pozostałby tylko Meksyk, bo kraje, takie jak Nikaragua, Kuba czy Wenezuela, właściwie się nie liczą. Zresztą do tego ostatniego wróciła właśnie liderka opozycji, laureatka Pokojowej Nagrody Nobla, María Corina Machado. Dyktator Nicolás Maduro, którego 3 stycznia br. z sypialni wyciągnęli amerykańscy żołnierze, siedzi w nowojorskim areszcie na Brooklynie i czeka na proces.

Odkąd Trump jest prezydentem, prawica wygrała wybory w Chile, Peru, Kolumbii, Boliwii, Hondurasie, Kostaryce i Ekwadorze. W Argentynie od trzech lat rządzi „Wariat" – „El Loco" – jak nazywają wielkiego sojusznika Trumpa Javiera Mileia jego rodacy. Trumpowskie są też Panama, Paragwaj i Salwador, którego wojska właśnie odbijają Haiti z rąk band. Jak bohater „Apocalypto" – B'alam Chumak (Łapa Jagura) – Trump mógłby zrobić sobie wielki naszyjnik z kłami i pazurami, ale niestety zabraknie na nim największego klejnotu – Brazylii.

eprasa.pl a3944fb8dc

Drugą turę wyborów prezydenckich w tym kraju wygrało/ukradło bożyszcze światowej, postępowej lewicy, kryminalista Luiz Inácio Lula da Silva, znany jako Lula. Kontrkandydat z prawicy Flávio Bolsonaro, syn byłego prezydenta Jaira Bolsonaro, podważa wyniki i deklaruje, że podejmie walkę o ich unieważnienie, ale szanse ma chyba liche, bo w noc po wyborach uciekł do Stanów Zjednoczonych. Nie jesteśmy w stanie rozstrzygnąć, czy wybory zostały sfałszowane, więc powstrzymamy się od ocen i jedynie przytoczymy fakty, które mogą wskazywać na interwencję mocy nadprzyrodzonych, politycznych, a nawet Niemców i Francuzów, którzy chcą mieć w Ameryce Południowej pomocnego lewaka i sojusznika Putina.

LUDZKIE AKTY NADPRZYRODZONE

Po raz pierwszy od 1985 r., od czasu obalenia junty wojskowej i zaprowadzenia jakiejś kulawej demokracji, drugą turę wyborów prezydenckich wygrał ten, który przegrał w pierwszej turze. Co więcej, w 213 miastach, które 4 października w większości głosowały na Bolsonaro, wyborcy przerzucili swoje głosy i 25 października postawili na Lulę. Socjalista miał też zdobyć 79 proc. z 9,3 mln głosów, które w pierwszej turze padły na innych niż Bolsonaro prawicowych kandydatów. W najbardziej konserwatywnym stanie, Santa Catarina, Bolsonaro odnotował spadek o blisko 6 proc. głosów, a Lula wzrost o 14 proc.

Równolegle z pierwszą turą prezydencką 4 października wybierano wszystkich 513 posłów do Izby Deputowanych i 54 spośród 81 senatorów. W obydwu izbach prawica odniosła druzgocące zwycięstwo i kontroluje Kongres z największą przewagą w historii. W drugiej turze Lula zyskał w 5838 gminach, a Bolsonaro tylko w 184. A były takie, w których nie dostał ani jednego głosu. To wszystko wygląda na co najmniej zjawiska nadprzyrodzone, a cud to pewnie tym większy, że wywołali go ludzie. Oto tuż przed zamknięciem lokali wyborczych, a dokładniej: przed wyłączeniem maszyn do głosowania (w Brazylii głosuje się wyłącznie elektronicznie), Cristiano Zanin, sędzia z nadzorującego wybory Najwyższego Trybunału Federalnego, jednoosobowo ogłosił, że przedłuża wybory o dwie godziny. Wszystko przez to, że z powodu wielkich ulew i zalania dróg w niektórych regionach ludzie nie mieli jak dojechać do lokali. Wnioski o przedłużenie wyborów, ale tylko w niektórych miejscach, zgłosili obydwaj kandydaci. Tymczasem sędzia Zanin zarządził to na cały kraj, ale, jak doprecyzował, głosowanie miało być przedłużone tylko w tych lokalach, które były jeszcze otwarte, bo zablokowanych maszyn nie da się ponownie uruchomić.

Wszystko to działo się dosłownie w ciągu kilku minut, kiedy to niektóre lokale wyborcze były już zamknięte, a inne jeszcze otwarte, bo wyborcy czekali z numerkami na oddanie głosu. Ponadto to kraj wielkości kontynentu, z różnymi strefami czasowymi, miasteczkami i wioskami zanurzonymi w dżungli, więc wszystko jest względne, łącznie z czasem. I tu znów ludzki cud nadprzyrodzony. Wyszło na jaw, że lokale są otwarte i będzie w nich można głosować o dwie godziny dłużej tylko w regionach, w których tradycyjnie przewagę mają socjalistyczna Partia Pracy i prezydent Lula. Tam, gdzie wybierana jest Partia Liberalna (to jedna z niewielu naprawdę liberalnych partii na świecie, która swoim istnieniem nie plugawi pojęcia liberalizmu – niskie podatki, niska ingerencja państwa w gospodarkę, siła rodziny, konserwatyzm społeczny i kulturowy) i Bolsonaro zdecydowanie wygrał w pierwszej turze, lokale były już pozamykane. Inaczej mówiąc, w całej Brazylii jeszcze przez dwie godziny głosowano tylko tam, gdzie przewagę miał Lula. To dokładnie tak, jakby wybory w całej Polsce już się skończyły, ale głosowano jeszcze tylko Warszawie albo we Wrocławiu na osiedlu Jagodno. Lula skwapliwie wykorzystał okazję, bo jak raz okazało się, że ma do dyspozycji mnóstwo autobusów, by zwozić swoich wyborców. Bolsonaro i jego zwolennicy tylko mogli się przyglądać, jak wspaniale rozwija się turystyka wyborcza.

CUDA JAK U ŻURKA

Przed całą akcją wydarzył się jeszcze jeden ludzki akt nadprzyrodzony. Otóż elektroniczna maszyna losowała jednego spośród jedenastu sędziów Najwyższego Trybunału Federalnego, który miał w pilnym trybie rozstrzygać wnioski o przedłużenie wyborów. I patrzcie państwo, wylosował się sędzia Zanin, który w sprawach kryminalnych był obrońcą Luly i którego ten jako prezydent w 2023 r. wprowadził do tego Trybunału – wszechpotężnego ciała, które w przybliżeniu łączy w sobie kompetencje naszego Sądu Najwyższego, Trybunału Konstytucyjnego, a nawet PKW. Wylosował się Zanin jak u Żurka. Szef kampanii Flávia Bolsonaro, senator Rogério Marinho, ogłosił, że doszło do sądowego zamachu stanu.

Gdzie w tej opowieści są Niemcy i Francuzi, a właściwie ich służby? Oto we wrześniu na zaproszenie ABIN – Brazylijskiej Agencji Wywiadu – przylecieli funkcjonariusze niemieckiej Federalnej Agencji Sieci (Bundesnetzagentur), zajmującej się m.in. nadzorowaniem sieci telekomunikacyjnych i energetycznych oraz zaprowadzaniem cenzury w internecie na podstawie unijnych przepisów o usługach cyfrowych – DSA. Razem z nimi pojawili się towarzysze z bratniej francuskiej agencji ARCOM – Urzędu Regulacji Komunikacji Audiowizualnej i Cyfrowej – oraz VIGINUM, która w teorii zajmuje się walką z dezinformacją i zagranicznymi ingerencjami w wybory. Brazylijczycy poprosili Niemców i Francuzów, by osłonili ich wybory przed ingerencją Amerykanów i Rosjan. Z oficjalnych komunikatów wynika, że nie chodziło tylko o instrukcje, jak cenzurować treści w sieci, lecz także o samo zabezpieczenie systemu wyborczego przed cybernetycznymi atakami.

Należy też wspomnieć, że o to, by wyniki wyborów były takie jak trzeba, zadbali również Soros i Biden. Fundacje miliardera, szabrownika pożydowskiego mienia, w ciągu ośmiu lat przekazały brazylijskim lewackim organizacjom pozarządowym 60 mln dol. Kolejne 60 mln za prezydentury Joe Bidena zostało wysłane do Brazylii przez Departament Stanu za pośrednictwem USAID i Atlantic Council – na walkę z „prawicową dezinformacją".

Jaki jest morał z tej długiej opowieści o przebiegu brazylijskich wyborów? Żadnych maszyn, żadnych systemów

eprasa.pl a3944fb8dc

elektronicznych. Tam, gdzie do wyborów używa się urządzeń i sieci, tam zawsze są problemy. Właśnie trwają wybory połówkowe w Stanach Zjednoczonych, które mają chyba najgłupsze i najbardziej na świecie narażone na fałszerstwa metody głosowania, i jak zawsze płyną tysiące skarg. Żadnej nowoczesności tam, gdzie najlepiej sprawdza się prosty, tradycyjny system – kartka, długopis, urna i wszystko to zliczają ludzie (transmisja z tego procesu w internecie). Nie trzeba się wtedy zastanawiać, jakie są związki Sorosa z firmami produkującymi urządzenia, a i Francuzi i Niemcy w niczym sobie ekspercko grzebać nie będą i żadnych drutów łączyć.

Opowieść o Brazylii to nie tylko saga o korupcji, lewackim reżimie, lecz także o do cna zdegenerowanej sędziokracji. Siedem minut po tym, jak ogłoszono wyniki wyborów, sędzia Alexandre de Moraes ot tak, bez stawiania zarzutów, nakazał odebrać paszport Fláviowi Bolsonaro. Policja zrobiła to na ulicy po tym, jak odwiedził swojego ojca, byłego prezydenta Jaira, który został skazany na 27 lat pozbawienia wolności (wyrok odbywa w areszcie domowym) za domniemaną próbę przeprowadzenia zamachu stanu po przegranych wyborach z Lulą w 2022 r. Wtedy też podejrzewano wielkie fałszerstwa, fala protestów rozlała się na cały kraj, ale sędzia Moraes poradził sobie – wydał nakaz zablokowania kont bankowych tym, którzy brali w nich udział, oraz wyłączenia mediów społecznościowych. Rozkaz wykonano.

Sędzia Zanin, który wydał zarządzenie o przedłużeniu wyborów, jako adwokat był obrońcą Luli w aferze „Lava Jato" („Myjnia Samochodowa"), największej sprawie o korupcję w historii Brazylii. Rozpoczęte w 2014 r. śledztwo wykryło potężny mechanizm korupcyjny wokół państwowego giganta naftowego Petrobras. Wielkie firmy budowlane (m.in. Odebrecht i OAS) płaciły miliardowe łapówki politykom i urzędnikom w zamian za kontrakty. Pieniądze te zasilały m.in. konta ugrupowań politycznych, w tym Partię Pracy Luli. On sam miał dostać m.in. trzypoziomowy apartament w nadmorskim kurorcie Guarujá, a ponadto wyremontowano mu rezydencję i budynki w wiejskiej posiadłości Atibaia. Nazwa „Lava Jato" została wybrana, ponieważ jednym z miejsc, w których prano pieniądze, była sieć stacji benzynowych i myjni w stolicy kraju. Lula został skazany na kilkanaście lat więzienia i poszedł siedzieć, ale po dwóch latach Trybunał Federalny unieważnił wyrok, powołując się na uchybienia proceduralne. To nie było uniewinnienie, ale Lula z więzienia wyszedł, wygrał wybory prezydenckie i wsadził do aresztu konkurenta, byłego prezydenta Jaira Bolsonaro.

> Nie jesteśmy w stanie rozstrzygnąć, czy wybory zostały sfałszowane, więc powstrzymamy się od ocen i jedynie przytoczymy fakty, które mogą wskazywać na interwencję mocy nadprzyrodzonych, politycznych, a nawet Niemców i Francuzów

UNIA EUROPEJSKA SIĘ CIESZY

Tradycja najwyższej władzy w Brazylii podpowiada, że albo jest się prezydentem, albo więźniem, więc teraz Flávio Bolsonaro nie czekał, aż zostanie wsadzony, tylko przez Argentynę poleciał do USA. Kiedy uciekał, Lula odbierał gratulacje m.in. od Sorosa, Grety Thunberg, malowanej królowej UE – Ursuli von der Leyen, władców Europy i samego Donalda Tuska. To nie były rutynowe i rytualne serdeczności, lecz wyrazy szczerej radości.

A jest się z czego cieszyć – prezydentem największego kraju Ameryki Południowej będzie największy sojusznik Putina na zachodniej półkuli. Dwóch panów spotkało się ostatnio w 2025 r. w Moskwie na paradzie zwycięstwa z okazji rocznicy zakończenia II wojny światowej, a Siergiej Ławrow lata do Brazylii jak do siebie. Po napaści na Ukrainę obroty handlowe między Brazylia a Rosją wzrosły do rekordowych poziomów. Reżim Luli kupuje ogromne ilości paliw i jest też największym na świecie odbiorcą rosyjskich nawozów. Ma zatem na czym rosnąć to, co jest sprzedawane do Unii Europejskiej w ramach umowy z Mercosurem. Od 1 maja, kiedy weszła w życie, polski import z Brazylii rośnie miesiąc do miesiąca o 30 proc. i ten rok zamkniemy rekordowym deficytem w handlu z tym krajem. W tym roku wzrośnie on o co najmniej 30 proc., a zatem nasz eksport do Brazylii nie zwiększył się nawet o grosz.

Oddzielną sprawą jest to, że z powodu zawartej na polecenie Berlina umowy z Mercosurem brazylijskie towary, zwłaszcza rolne, już wypierają polskie z unijnego rynku. Po ogłoszeniu wyników wyborów giełda w São Paulo załamała się, a kurs reala runął o niemal 10 proc., co oznacza, że eksport do UE dostał turbodoładowanie, bo brazylijskie towary będą jeszcze tańsze.

Wybory w Brazylii były ogromną szansą na wielkie osłabienie wielu reżimów na świecie, w tym Rosji. Nie dlatego, że brazylijska prawica sprzyja Ukrainie – to dla Brazylijczyków wojna daleka i niezrozumiała – ale dlatego, że inaczej mogłaby wyglądać współpraca w ramach krajów BRICS (Brazylia, Rosja, Indie, Chiny, Afryka Południowa) aspirujących do roli supermocarstw. Brazylia z prezydentem Bolsonaro oczywiście nie porzuciłaby BRICS, ale budowałaby swoją potęgę i wpływy na bazie sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi, a nie z Rosją i Chinami, i nie wspierałaby lewackich reżimów. Lula odda Brazylię Rosji i Chinom, bo tak robił za swoich poprzednich trzech kadencji prezydenckich: w latach 2003–2010 i od 2023 r. Radość w UE z jego zwycięstwa pokazuje, w jak nikczemnej obłudzie i schizofrenii żyją władcy Europy. Gdy mają do wyboru sojusznika Putina bądź Trumpa, to wolą tego, który jest z władcą z Kremla.

eprasa.pl a3944fb8dc



GORAN ANDRIJANIĆ

Serbia na długiej drodze do demokracji

Po 14 latach rządów Aleksandara Vučicia i jego Serbskiej Partii Postępowej, podczas których w Serbii panowały korupcja, nepotyzm oraz brak swobód demokratycznych i obywatelskich, w tym ważnym kraju Bałkanów Zachodnich władzę przejęła nowa siła polityczna. Czy to oznacza, że Rosja traci tam wpływy?

Lista Studencka – formacja polityczna, która powstała na fali demonstracji przeciwko patologii rządzącej władzy, które wybuchły w Serbii pod koniec 2024 r. – odniosła zdecydowane zwycięstwo w wyborach parlamentarnych. 25 października zdobyła 53 proc. głosów, podczas gdy formacja Vučicia 39 proc.

Przypomnijmy: przyczyną demonstracji była tragedia, do której doszło w listopadzie 2024 r. w Nowym Sadzie, kiedy dach odnowionej konstrukcji dworca kolejowego zawalił się, zabijając 16 osób. Za śmiercią niewinnych ludzi, w tym dzieci, kryła się ewidentna korupcja w instytucjach publicznych (kilku urzędników zostało później oskarżonych), co spowodowało, że Serbowie zaczęli się buntować przeciwko władzom. Protesty, które trwały od końca 2024 r. aż do czasu tegorocznych wyborów, niekiedy sprawiały wrażenie, jakby słabły i nie wyrządzały Vučiciowi politycznej krzywdy, ale ostatecznie zakończyły się triumfem.

OGÓLNONARODOWY WYRAZ SPRZECIWU

Ruch studencki, który od dawna oprócz studentów skupiał intelektualistów i robotników, zdołał stworzyć listę i zaproponować program, który okazał się wystarczający do zwycięstwa w kraju przesiąkniętym rządami Vučicia.

Ruch ten można śmiało określić jako ogólnonarodowy i spontaniczny wyraz niezadowolenia różnych warstw społeczeństwa, buntujących się przeciwko systemowi, który je hamuje i zagraża przyszłości nowych pokoleń. W Polsce można usłyszeć porównania z Solidarnością, ale uważam, że są one przesadzone, przede wszystkim dlatego, że ruch serbski nie ma uniwersalnych, lecz przede wszystkim narodowe ideały. W jednym elemencie jest podobny do fenomenu, który obalił komunizm.



Radość na ulicach Belgradu po wyborczym zwycięstwie opozycyjnej Listy Studenckiej

Podobnie jak Solidarność zawiera frakcje o różnych światopoglądach. Według wszystkiego, co w tym momencie wiemy, powstał bez silnych wpływów ze strony mainstreamowych kręgów politycznych w Serbii ani bez ingerencji zza granicy.

Porażka Vučicia była niepewna do samego końca. Decydująca była wysoka frekwencja wyborcza – 70 proc., co stanowi najwyższy wynik w serbskich wyborach od 20 lat. W niedzielne popołudnie, jeszcze przed zamknięciem lokali wyborczych i ogłoszeniem pierwszych nieoficjalnych wyników, na głównym placu Belgradu zaczęła się gromadzić policja. Wszyscy uznali to za przygotowania Vučicia do odmowy uznania wyników. Jednak przewaga Listy Studenckiej była zbyt duża.

„Gdyby to zwycięstwo nie było tak przekonujące, gdyby wola obywateli Serbii, by zmienić rząd, nie była tak wyraźna i silna, gdyby to wszystko się nie wydarzyło, jestem pewien, że Aleksandar Vučić nie przyznałby się tak łatwo do porażki" – skomentował to wydarzenie Milivoj Bešlin, analityk z Uniwersytetu w Belgradzie. Zwycięstwo było jednak przekonujące i Vučić musiał ustąpić. Niektórzy twierdzą jednak, że był to jedynie strategiczny odwrót i że nie zrezygnował z dalszej walki.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl a3944fb8dc

W TAKTYCZNYM ROZKROKU

Dla każdego, kto ma choć odrobinę wiedzy o tym, co się dzieje na Bałkanach, ciekawe było śledzenie reakcji polskiej opinii publicznej na wiadomości z Serbii. Szczególnie komiczna była próba politycznego zarobienia na porażce Vučicia przez kręgi Koalicji Obywatelskiej i ich mediów, opisujących ją jako zwycięstwo „europejskiej demokracji" nad człowiekiem Rosji. Prawda jest dokładnie odwrotna. W przededniu jednych z najważniejszych wyborów w historii Serbii to Vučić, a nie studenci, miał poparcie brukselskiej biurokracji.

Przez wszystkie lata swojej władzy Vučić grał w tę samą grę polityczną, co kiedyś jugosłowiański komunistyczny dyktator Josip Broz Tito, jednocześnie współpracując z Zachodem i Wschodem (Rosją i Chinami). Z jednej strony Serbia jest kandydatem do członkostwa w Unii Europejskiej, z drugiej sojusznikiem, i to bardzo bliskim, przede wszystkim Rosji, a potem i Chin. Przy tym Vučić zawsze miał poparcie niemieckiej chadecji. Polityk swoją karierę polityczną w Serbii zaczął przy silnym poparciu Angeli Merkel, a dzisiaj szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen mówi do niego: „kochany Aleksander". Serbska Partia Postępowa należy do Europejskiej Partii Ludowej jako członek stowarzyszony (powodem takiego statusu jest fakt, że Serbia nie jest członkiem UE) i pozostaje tam pomimo wszystkich skarg na rządy Vučicia. Włącznie z tym, że jego reżim niedawno pochował jako bohatera wojennego gen. Ratka Mladicia, odpowiedzialnego za ludobójstwo w Srebrenicy.

W ciągu ostatnich kilku lat, gdy kraj był wstrząsany protestami studenckimi, Vučić zbliżył się do Zachodu, który chciał go wykorzystać do rozszerzenia swoich wpływów na Bałkanach. Serbska gospodarka coraz bardziej otwierała się na inwestycje francuskie i niemieckie, a w tym samym czasie Bruksela robiła wszystko, żeby przyspieszyć integrację Serbii z Unią. W lipcu br. Komisja Europejska poleciła otwarcie nowego rozdziału w negocjacjach z Serbią, mimo że zarzuty i zastrzeżenia wobec tego kraju, podnoszone od lat, nie doczekały się rozstrzygnięcia.

Teraz, kiedy Vučić przegrał, Unia Europejska zwraca się ku nowo powstającemu rządowi, co jest logiczne. Jednak założenie, że nowy gabinet będzie we wszystkim zgodny z lewicowymi agendami UE, szczególnie z tymi związanymi z relacjami z Rosją, jest nierealne.

Ruch studencki w swoich początkach może i był w przeważającej mierze lewicowo-liberalny. W tamtym czasie kojarzono z nim również kwestie takie jak ideologia LGBT+ itp. Jednak organizatorzy protestu szybko zrozumieli, że lewicowa, obywatelska scena była i jest w Serbii po prostu zbyt słaba, aby doprowadzić do prawdziwej zmiany, i ruch trzeba przesunąć na prawo. Podobnie jak na Węgrzech, gdzie Viktora Orbána mógł pokonać jedynie Péter Magyar, człowiek wywodzący się ze środowiska konserwatywnego, w Serbii mogła wygrać tylko ta siła, która poświęciła wystarczającą uwagę sprawom narodowym.

> „Studenci jasno powiedzieli, że nie nałożą sankcji na Federację Rosyjską. Nie ma miejsca na odsunięcie się od Rosji" – powiedział prof. Dušan Spasojević

W trakcie jednego z kluczowych protestów, który odbył się 28 czerwca 2025 r. w Vidovdan (Dzień św. Wita, święto narodowe), zarówno sama ikonografia zgromadzenia, jak i treść przemówień były pełne znanych już poglądów nacjonalistycznych, np.: „Kosowo jest serbskie". Ten kierunek utrzymywał się aż do wyborów, a w jednym momencie do ruchu dołączyli tacy ludzie, tacy jak Ivan Srdević czy Radomir Saičić, klasyczni serbscy nacjonaliści, pojmujący państwowość serbską i religię prawosławną wyłącznie w kategoriach definiowanych przez ideologię Rosji jako Trzeciego Rzymu.

POLITYCZNA NIEWIADOMA

Oprócz tego w samym swoim programie Lista Studencka napisała, że „utrzyma tradycyjny sojusz z Federacją Rosyjską" i „będzie podtrzymywać swoje stanowisko w sprawie niewprowadzania sankcji wobec Federacji Rosyjskiej".

„Studenci jasno powiedzieli, że nie nałożą sankcji na Federację Rosyjską. Nie ma miejsca na odsunięcie się od Rosji" – powiedział niedawno politolog prof. Dušan Spasojević, co znaczy m.in., że Serbia będzie kontynuować zakup gazu z Rosji.

Zwycięska Lista Studentów jest zatem ideologiczną i polityczną niewiadomą. Przedstawiony przez nich program jest pełen ogólników (walka z korupcją, rozwój Serbii, podnoszenie standardów), bez konkretnych wskazówek, jak go zrealizować.

Nowy rząd będzie musiał się zmierzyć z tymi, którzy trzymali Serbię w szponach korupcji, w tym z samym Vučiciem. Choć zaraz po wyborach spekulowano, że pokonany opuści Serbię, ten zadeklarował, że „zostaje i walczy". Kraj stoi w obliczu wyborów prezydenckich, które zgodnie z konstytucją muszą się odbyć trzy miesiące po wyborach parlamentarnych, i wcale nie jest pewne, że Serbska Partia Postępowa ich nie wygra. Sam Vučić nie może już kandydować, ponieważ pełnił tę funkcję przez dwie kadencje, ale oczywiste jest, że kogokolwiek wybierze, ten będzie pod jego kontrolą.

Już teraz wiadomo, że Serbia ma przed sobą długą drogę. Kraj, który po upadku komunizmu wkroczył w transformację polityczną i gospodarczą z balastem imperialistycznej polityki swoich przywódców (kompletnie przegranej, czego konsekwencją jest odebranie Kosowa), w zasadzie nie doświadczył jeszcze pełnego rozwoju instytucji demokratycznych. Stabilność Serbii oznacza również stabilność regionu. Vučić zbudował swoją politykę na retoryce zagrożenia i podsycania nienawiści wobec sąsiednich narodów. Miejmy nadzieję, że nowy serbski rząd to zmieni.

eprasa.pl a3944fb8dc



Śmierć Kazimierza Wielkiego w 1370 r. zakończyła epokę ostatniego Piasta na polskim tronie i otworzyła nowy rozdział w dziejach monarchii. Król nie pozostawił prawowitego męskiego następcy, a sprawa sukcesji zapoczątkowała polityczną rozgrywkę, w której stawką była przyszłość całego Królestwa Polskiego

Korona za wszelką cenę

Walka o polski tron po śmierci Kazimierza Wielkiego

5 listopada 1370 r., w następstwie obrażeń odniesionych podczas wypadku na polowaniu, zmarł Kazimierz Wielki, ostatni przedstawiciel dynastii Piastów na polskim tronie. Przez blisko cztery dekady umacniał pozycję Polski w Europie Środkowej. Pozostawił po sobie państwo większe, silniejsze, sprawniej zarządzane i bardziej liczące się na arenie międzynarodowej niż to, które objął w 1333 r.

Król nie doczekał się prawowitego męskiego potomka, który mógłby bezspornie przejąć koronę. Miał jednak córki oraz synów urodzonych poza związkami uznawanymi za prawowite. Wśród jego krewnych znajdowali się także Piastowie z innych linii dynastycznych. Śmierć monarchy otworzyła więc pole do działania nie tylko jego krewnym, lecz także możnym, duchowieństwu i obcym dworom.

NASTĘPCA WYBRANY ZA ŻYCIA KRÓLA

Najważniejszy kandydat do polskiej korony był znany już długo przed śmiercią Kazimierza Wielkiego. To Ludwik Andegaweński, król Węgier, syn Karola Roberta i Elżbiety Łokietkówny, siostry Kazimierza Wielkiego. Pokrewieństwo z polskim monarchą nie było jedyną podstawą jego roszczeń. Istotną rolę odgrywały również wcześniejsze ustalenia dynastyczne i polityczne, w tym układ wyszehradzki z 1339 r. Przyjęto wówczas, że w razie śmierci Kazimierza bez pozostawienia męskiego potomka



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

prawa do polskiej korony miały przypaść Ludwikowi lub jego dynastii.

Oprócz tego staraniem dyplomacji andegaweńskiej niedługo przed śmiercią polskiego króla udało się uzyskać od papieża Urbana V nową bullę sukcesyjną, wydaną 5 grudnia 1369 r. Przyznawała ona pierwszeństwo do tronu polskiego Elżbiecie Łokietkównie, a po niej jej synowi Ludwikowi.

Nawet mocne argumenty dynastyczne nie gwarantowały jednak automatycz-

Fot. Muzeum Narodowe w Krakowie

eprasa.pl a3944fb8dc

nego objęcia władzy. Kandydat musiał uzyskać poparcie polskich elit, doprowadzić do uznania swoich praw i zapewnić sobie możliwość skutecznego sprawowania rządów. Możni chcieli mieć wpływ na obsadę tronu, a śmierć Kazimierza stworzyła im okazję do umocnienia własnej pozycji politycznej.

UKOCHANY WNUK

Obok Andegawenów pojawił się kandydat, którego pochodzenie mogło mieć szczególne znaczenie dla części polskich elit. Był nim książę słupski Kazimierz IV, znany również jako Kaźko słupski, wnuk Kazimierza Wielkiego po kądzieli. Jego matką była Elżbieta, córka polskiego króla, a ojcem Bogusław V, książę z pomorskiej dynastii Gryfitów. Wyjątkowe znaczenie miała więź łącząca Kaźka z dziadkiem. Po śmierci matki wychowywał się na dworze krakowskim, gdzie Kazimierz Wielki otoczył go opieką i usynowił. Według niektórych przekazów wiązał z nim także nadzieje na przyszłość Królestwa Polskiego.

Kandydatura Kaźka mogła więc odpowiadać tym, którzy obawiali się nadmiernego wpływu dworu węgierskiego na polskie sprawy i chcieli zachować większą niezależność Królestwa.

SĄSIEDZI NIE POZOSTAWALI OBOJĘTNI

Rywalizacja o polski tron toczyła się w otoczeniu państw, które od dawna miały własne interesy na ziemiach polskich. Ich ambicje mogły dodatkowo skomplikować sytuację po śmierci Kazimierza Wielkiego. Królestwo Czeskie, rządzone przez Luksemburgów, od lat spierało się z Polską o zwierzchnictwo nad Śląskiem oraz o prawa do polskiej korony. W pierwszej połowie XIV w. Jan Luksemburski wysuwał roszczenia do tronu polskiego, powołując się na wcześniejsze tytuły i zależności dynastyczne. Konflikt zakończył się formalnym zrzeczeniem się przez Luksemburgów pretensji do polskiej korony w układach z 1335 r., potwierdzonych w kolejnych porozumieniach. Ceną za uregulowanie sporu było jednak uznanie czeskiego zwierzchnictwa nad znaczną częścią księstw śląskich. W chwili


Kaźko słupski

śmierci Kazimierza Wielkiego królem Czech był Karol IV Luksemburski, jeden z najpotężniejszych władców ówczesnej Europy. Jego silna pozycja w cesarstwie sprawiała, że Praga pozostawała ważnym ośrodkiem politycznym, którego ambicji nie można było lekceważyć.

Na zachodzie istotnym punktem spornym pozostawało pogranicze Wielkopolski i Brandenburgii, zwłaszcza obszary nad Notecią. W 1368 r. Kazimierz Wielki rozszerzył polskie zwierzchnictwo na Santok i Drezdenko, mające kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa zachodniej granicy. Nie zakończyło to jednak rywalizacji o te tereny, a zmiana na tronie stwarzała ryzyko osłabienia polskiej kontroli nad pograniczem. Brandenburgia dążyła do umocnienia swojej pozycji w Nowej Marchii, której położenie między Wielkopolską a Pomorzem pozwalało wywierać presję na państwo Piastów.

Na północy Pomorze Gdańskie pozostawało pod panowaniem zakonu krzyżackiego, mimo że na mocy pokoju kaliskiego z 1343 r. Polska odzyskała Kujawy i ziemię dobrzyńską. Zawarte porozumienie nie rozwiązało więc wszystkich problemów w stosunkach z zakonem, a Krzyżacy pozostawali poważnym zagrożeniem dla Królestwa Polskiego. Na wschodzie trwała natomiast rywalizacja z Litwą o niedawno zdobyte ziemie ruskie.

Śmierć Kazimierza Wielkiego oznaczała zatem nie tylko zmianę władcy i spór o sukcesję, lecz także konieczność utrzymania zdobyczy terytorialnych oraz obrony granic Królestwa.

BŁYSKAWICZNA KORONACJA I KŁOPOTY WEWNĘTRZNE

Gdy Kazimierz Wielki dogorywał na krakowskim zamku, przebywał już przy nim wysłannik Ludwika Andegaweńskiego, palatyn Królestwa Węgierskiego – książę Władysław Opolczyk. Miał wyrazić współczucie choremu monarsze, a w razie jego śmierci dopilnować przekazania tronu swojemu węgierskiemu panu. Dwa dni po śmierci Kazimierza na Wawel przybył Ludwik, a 17 listopada został koronowany na króla Polski przez arcybiskupa gnieźnieńskiego Jarosława Bogorię ze Skotnik, w obecności biskupów oraz książąt Władysława Opolczyka i Kaźka słupskiego. Bezkrólewie trwało zaledwie dwanaście dni, co ograniczyło przeciwnikom Andegawenów czas na zorganizowanie alternatywy. Zmiana władzy początkowo przebiegła bez większych zakłóceń.

Mimo sprawnego przejęcia tronu równie szybko ujawniły się poważne podziały polityczne. Stronnictwo prowęgierskie, skupione głównie wokół możnych rodów małopolskich, popierało Ludwika, licząc na umocnienie własnych wpływów, korzyści gospodarcze i utrzymanie zdobyczy na Rusi. Przeciwni byli im legitymiści, związani przede wszystkim z duchowieństwem i kancelarią królewską, na czele z kanclerzem Januszem Suchywilkiem. Dążyli do realizacji testamentu Kazimierza Wielkiego i kontynuowania jego polityki wzmacniania władzy królewskiej. Nie sprzeciwiali się objęciu tronu przez Ludwika, ale chcieli, aby po jego śmierci władzę przejął wskazany przez nich kandydat, np. Kaźko słupski. Dodatkowym źródłem konfliktu był sprzeciw Wielkopolski wobec rosnącej dominacji małopolskich możnowładców.

KAŹKO I WŁADYSŁAW

W testamencie Kazimierz Wielki przekazał swojemu adoptowanemu wnukowi Kaźkowi słupskiemu księstwa dobrzyńskie, kujawskie, sieradzkie i łęczyckie. Realizacja tych zapisów mogła jednak doprowadzić do rozbicia Królestwa Polskiego na dwie części, oddzielone ziemiami Kaźka, co zagrażało jedności państwa i mogło w przyszłości ułatwić Węgrom przejęcie Rusi.

Ludwik widząc zagrożenie dla swojej władzy, po przybyciu do Krakowa zakwestionował zgodność testamentu z polskim prawem. Kaźko ostatecznie otrzymał jedynie ziemię dobrzyńską oraz zamki oraz miasta Bydgoszcz, Wielatów i Wałcz. Kaźko nie podjął zdecydowanej walki o koronę, ale nadal pozostawał potencjalnym kandydatem dla przeciwników Andegawenów. Zmarł w 1377 r., zaledwie siedem lat po swoim dziadku. Królestwo Polskie

Fot. Domena publiczna

eprasa.pl a3944fb8dc

zachowało spójność terytorialną, a pozycja Ludwika została umocniona.

Innym pretendentem do tronu był Władysław Biały, przedstawiciel kujawskiej linii Piastów. Po sprzedaży swojego niewielkiego księstwa w 1363 lub 1364 r. opuścił kraj, odbył pielgrzymkę do Jerozolimy, a następnie wstąpił do zakonu. Po śmierci Kazimierza porzucił jednak życie zakonne i wrócił do Polski, by podjąć próbę zdobycia władzy. We wrześniu 1373 r. opanował kilka miast i zamków na Kujawach, m.in. Gniewkowo i Włocławek. Jego wystąpienia szybko stłumiły wojska wierne Ludwikowi, dowodzone przez starostę wielkopolskiego Sędziwoja z Szubina. Władysław uciekł do Drezdenka, gdzie schronił się pod opieką saskiego rodu von Osten i czekał na kolejną okazję do działania.

KRÓL NA ODLEGŁOŚĆ

Ludwik Andegaweński jako król Polski i Węgier znajdował się u szczytu swojej potęgi, jednak jego panowanie szybko ujawniło trudności wynikające z połączenia dwóch monarchii. Nie mógł stale przebywać w obu krajach, dlatego część obowiązków powierzał namiestnikom i lokalnym dostojnikom. Istotną rolę w umocnieniu jego władzy odgrywał książę Władysław opolski, który dopilnował interesów Ludwika podczas przejmowania tronu. W nagrodę otrzymał w lenno ziemię wieluńską i kilka zamków w ziemi krakowskiej. Jako były palatyn Węgier cieszył się zaufaniem monarchy i stał się jednym z najważniejszych przedstawicieli jego polityki w Polsce.

Po wyjeździe Ludwika na Węgry władzę regencyjną w Polsce objęła jego matka Elżbieta Łokietkówna. W rządzeniu wspierali ją przede wszystkim małopolscy możnowładcy, zwłaszcza Kurozwęccy, którzy stopniowo umacniali swoje wpływy. Przeciwnikiem polityki Andegawenów był Janko z Czarnkowa, podkanclerzy Królestwa Polskiego. Sprzeciwiał się unieważnieniu części testamentu Kazimierza Wielkiego oraz wywiezieniu insygniów koronacyjnych i archiwum królewskiego na Węgry. Dążył do osłabienia wpływów Andegawenów, a nawet próbował wykraść insygnia grobowe Kazimierza, które mogły posłużyć do koronacji innego władcy. Zakończyło się to niepowodzeniem, a w 1372 r. Janko z Czarnkowa został skazany na banicję, pozbawienie czci i konfiskatę majątku.



Ludwik Andegaweński

> Okres rządów Ludwika Andegaweńskiego pokazał, jak trudno było utrzymać zdobycze terytorialne Kazimierza Wielkiego bez stałej obecności monarchy w Polsce i sprawnej kontroli nad prowincjami

Ludwik koncentrował się przede wszystkim na sprawach węgierskich, dlatego nie poświęcał wystarczającej uwagi interesom Polski. Jego nieobecność oraz osłabienie kontroli nad ziemiami odziedziczonymi po Kazimierzu Wielkim postanowili wykorzystać sąsiedzi. Wkrótce po śmierci Kazimierza Litwini zajęli ziemię włodzimierską na Wołyniu, a Brandenburgia przejęła Santok i Drezdenko. Książę mazowiecki Siemowit III uniezależnił się natomiast od polskiego zwierzchnictwa lennego. Większość tych wydarzeń nie spotkała się z reakcją Ludwika. Dopiero wyprawa przeciwko Litwinom z 1377 r. pozwoliła odzyskać część grodów na pograniczu ruskim.

Okres jego rządów pokazał, jak trudno było utrzymać zdobycze terytorialne Kazimierza Wielkiego bez stałej obecności monarchy i sprawnej kontroli nad prowincjami. Połączenie Polski i Węgier przynosiło jednak również korzyści gospodarcze. Ludwik i jego matka przyznawali miastom liczne przywileje, zwolnienia celne i prawo składu. Szczególnie skorzystał na tym Kraków, który dzięki położeniu na szlakach handlowych łączących Bałtyk, Śląsk i Węgry umacniał swoją pozycję gospodarczą.

CENA KOMPROMISU

Coraz ważniejsze stawało się pytanie o przyszłość Królestwa Polskiego po śmierci Ludwika. Władca chciał zapewnić sukcesję jednej ze swoich córek, jednak wcześniejsze umowy przewidywały dziedziczenie tronu przez męskich potomków dynastii. Konieczne było więc uzyskanie zgody polskich elit na zmianę zasad sukcesji. Poparcie miast można było zdobyć dzięki przywilejom gospodarczym, zwolnieniom celnym i prawu składu. Większe trudności sprawiało przekonanie szlachty, zwłaszcza wielkopolskiej, niezadowolonej z dominacji możnowładców małopolskich. Elżbieta Łokietkówna próbowała zyskać jej przychylność, zarządzając zwrot części dóbr odebranych wcześniej przez Kazimierza Wielkiego. Działania te nie zlikwidowały jednak opozycji, a wystąpienie Władysława Białego udowodniło, że władza Andegawenów nie była powszechnie akceptowana.

Ostatecznie sukcesja andegaweńska utrzymała się, a Królestwo Polskie zachowało jedność terytorialną. Rządy Ludwika przyniosły jednak osłabienie bezpośredniej kontroli monarchy nad polskimi sprawami i wzrost znaczenia możnowładców, którzy wykorzystywali jego nieobecność do umacniania własnej pozycji.

Jednocześnie rozpoczęto starania o uznanie jednej z córek Ludwika za następczynię tronu, co miało zapewnić dalsze panowanie Andegawenów w Polsce. Ceną za przedłużenie dynastii było uzyskanie zgody polskich elit na zmianę zasad dziedziczenia, co otwierało drogę do dalszych negocjacji między monarchą a szlachtą, czyli osłabienia pozycji króla.

Fot. Polona.pl

eprasa.pl a3944fb8dc

Ojciec i syn na zakręcie

Po polsku Filip Pławiak rozmawiał z Branko Đuriciem tylko na ekranie, a mimo to z polskimi emocjami obu było bardzo po drodze. Stworzyli niezwykły duet. Polsko-bośniacki. Z grecką historią w tle. W filmie „Lachtara. Tęsknota”



Fot. TVP

eprasa.pl a3944fb8dc



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Polak i Bośniak. Różne pokolenia i różne życiowe oraz zawodowe doświadczenia, ale przed kamerą od razu złapali kontakt. Zarazem odmienni i podobni do siebie. Również fizycznie. Tymi właśnie rozbieżnościami oraz podobieństwami wypełnili niełatwą ekranową relację. Między ojcem a synem. W drodze z Grecji do Polski. Przez meandry emocji i ostre zakręty dróg. Na ekranie dużo rozmawiali w naszym języku.

TOP LISTA

– To było najbardziej karkołomne zadanie – wspomina reżyser filmu „Lachtara. Tęsknota" Sebastian Chondrokostas. – Znalezienie kogoś, kto mówi po polsku i po grecku. Po grecku perfect, a po polsku z akcentem. Wybór padł na aktora znanego m.in. z serialu „Infamia", choć wielu starszym kinomanom kojarzącego się przede wszystkim z oscarowym filmem „No Man's Land" („Ziemia niczyja", 2001) Danisa Tanovicia. Język bośniacki, podobny do polskiego, pomógł mu w nauczeniu się większości kwestii fonetycznie. Reszta to już był zawodowy kunszt – bezapelacyjnie w roli Jorgosa Wasilopoulosa, ojca filmowego Piotra, odnalazł się znakomicie.

Branko Đurić (rocznik 1962) – urodzony i wychowany w Sarajewie aktor, reżyser, komik i muzyk – zyskał sławę (w całej Jugosławii) dzięki komediowemu serialowi „Top lista nadrealista" (1984–1991). W sierpniu 1992 r., kilka miesięcy po wybuchu wojny w Bośni, przeniósł się do Słowenii, gdzie mieszka do dziś. Gra, reżyseruje (m.in. hitowe słoweńskie filmy: „Cheese and Jam", „Tractor, Love and Rock'n'Roll"), jest scenarzystą i producentem programów TV oraz reklam. Sprawdza się również jako frontman zespołu rockowego Bombaj Štampa.

FORMUŁA I RYTM

Grający syna Filip Pławiak – laureat Nagrody Polskiej Akademii Filmowej „Orły" za pierwszy plan w filmie „Biała odwaga" (2024) – zwrócił na siebie uwagę dziewięć lat wcześniej główną rolą w „Czerwonym pająku". W 2016 r. pojawił się u boku Andrzeja Chyry w thrillerze „Prosta historia o morderstwie". Rozpoznawalność przyniosły mu postać partnera tytułowej bohaterki w serialu „Chyłka" oraz rola agenta specsłużb w serii „Nielegalni" (2018). Z kolei 2024 r. to m.in. „Rojst. Millenium".

Aktor wspomina: – Byłem właśnie po zdjęciach do „Białej odwagi", „Rojsta" i „Anieli", czułem, że chciałbym zrobić coś innego. Kameralna historia skupiona przede wszystkim na relacji ojca i syna, a do tego formuła kina drogi i rytm, który wyczuwałem już podczas czytania scenariusza, były dokładnie tym, czego w tamtym momencie zawodowo szukałem.

W ekranowym Piotrze Kalicińskim najważniejsze było dla niego to, z czym się zmagał i jaką drogę musiał przejść bohater. Nie tylko tę oczywistą, fizyczną – przemierzając z ojcem Europę – lecz także wewnętrzną, gdy mierzył się z traumami z dzieciństwa i problemami, które przez lata na fundamencie tamtych doświadczeń narastały.

DRAMAT I HUMOR

Na ekranie ojciec Grek i jego syn z Polski (pół-Grek), obaj na życiowym zakręcie, spotykają się po latach w Atenach, by po śmierci byłej żony i matki sprzedać rodzinne mieszkanie w Wałbrzychu. Zmuszeni okolicznościami odbywają wspólną podróż do Polski śladami ucieczki Greków przed wojną domową w 1949 r.

Jak przyznaje reżyser i zarazem współscenarzysta, jedną z inspiracji do napisania „Lachtary" był „Grek Zorba" Michaela Cacoyannisa.

– Jorgos i Piotr są pewnego rodzaju parafrazą Aleksisa i Basila. Stąd (mimo dramatycznych wątków) wiele komicznych sytuacji wynikających przede wszystkim z charakteru ojca, lecz również z zabawy stereotypami – zwraca uwagę reżyser. – Niektóre cytaty pochodzą wprost z zasłyszanych opowieści mojej polsko-greckiej rodziny. W nich zawsze najbardziej dramatyczne zdarzenia mieszały się z ekstremalnie komicznymi.

Đurić dodaje: – Istnieje wiele trudnych tematów, które łatwiej zrozumieć i zaakceptować, gdy są „pokryte" humorem. O swoim bohaterze mówi, że to „idealnie zrównoważony Grek". Dowcip, wrażliwość, upór i męskość współistnieją w nim w naturalny sposób.

Nawiązując do trudnych wyborów z przeszłości, stwierdza: – Sam też byłem emigrantem i dostrzegłem wiele podobieństw między moimi własnymi doświadczeniami a doświadczeniami Jorgosa. To sprawiło, że niektóre sceny były dla mnie emocjonalnie znacznie trudniejsze.

BAGAŻNIK WSPOMNIEŃ

W filmie pojawia się jeszcze jeden bohater. To leciwy Polonez. Zamiłowanie do starego samochodu jest zapożyczeniem z biografii ojca reżysera, właściciela Toyoty Corolli z lat 70. Polonez pojawił się w scenariuszu, bo to „ikona czasów PRL", „bagażnik wspomnień" głównych bohaterów i swoista metafora ich dawnego wspólnego życia. A jak można do niego wsiadać, gdy nie można wsiąść? Filmowy Jorgos ma na to skuteczny sposób.



Fot. TVP

epiasa.pl a3944fb8d0



Sisters of Mercy, Progresja, 23 października 2026 r., Warszawa

Dym, światło i dźwięk



Maciej Walaszczyk

Aż trudno uwierzyć, że koncert zespołu święcącego swoje największe triumfy 35–40 lat temu może być nostalgiczny, ale jednocześnie tajemniczy, bo złożony w większości z zupełnie nowych utworów, wykonywanych od wielu lat wyłącznie na koncertach i nieutrwalonych na nagraniach studyjnych. Choć ostatnia płyta „Vision Thing", odsłaniająca nieco cięższe oblicze zespołu, ukazała się w 1990 r., Andrew Eldritch, wciąż dysponujący zadziornym lirycznym barytonem, nieustannie koncertuje. Towarzyszy mu obecnie dwoje gitarzystów – Ben Christo i androgeniczny Japończyk Kaj – oraz obsługujący syntezator i słynny automat perkusyjny Dr Avalanche Chris Catalyst. Koncertu w warszawskiej Progresji słuchało się z wielką przyjemnością – było selektywnie i czysto, a człowiek za konsoletą panował nad dźwiękiem tak, jak chciał. Wszystkie nowe utwory, a było ich 11, wciąż oparte są na brzmieniu nastrojowych gotyckich gitarowych arpeggiów, precyzyjnie wzmacnianych ciężkimi riffami i elektronicznymi fakturami. W niekończącej się mgle dymów oświetlanych bielą, fioletem i purpurą świateł napierał na słuchaczy transowy wręcz dźwięk kolejnych rockowych fal uderzeniowych, m.in. „Don't Drive on Ice", „On the Beach" czy „Eyes of Caligula" i wielu innych, nieznanych kompozycji. Za tą wagnerowsko-rockową fasadą skrywają się ironia i jedyna w swoim rodzaju odmiana rockowego popu – tkwiąca korzeniami jednocześnie w balladach Cohena, przebojach Fleetwood Mac i ostrości Motörhead. Bez Eldritcha, jego inteligencji i wokalnej osobowości ten rodzaj muzyki staje się po prostu komiksem, a najlepsze nawet dekoracje instrumentalne tracą swoją siłę i ostrość. Zauważył to jeden z byłych muzyków zespołu Gary Marx, wskazując na wieloletnią twórczość byłych członków Sisters of Mercy z The Mission. Stylistyczne podobieństwa okazują się pozorne, detale powierzchowne, a cały wyraz i siła znikają, pozostawiając pustkę. Tymczasem warszawski występ kultowego zespołu z Leeds cofnął nas na moment do przeszłości. Z mroków lat 80. wyłoniły się motoryczna „Alice" oraz odpowiednio skrócona „Temple of Love" oraz kilka hardrockowych ładunków z „Vision Thing". A na koniec skarby wyłowione z płyty „Floodland", w tym „Lucretia My Reflection" i finałowa „This Corrosion". Dużo apokaliptycznego czarnego humoru, ale z rozmachem.

Zanim sprzeniewierzono wolność

To literacki reportaż z nieoczekiwanego wyjazdu pisarza do Paryża i Londynu jesienią 1935 r. i próba odpowiedzi na pytanie, czy wieszczący „Zmierzch Zachodu" Spengler miał rację. O ile w latach 1923–1928 stolica Francji uwiodła Sándora Máraiego, zatrzymując go na kilka lat, to powrót uderzył prozaika gwałtownym zachwianiem porządku społeczno-politycznego Trzeciej Republiki, w którym my rozpoznajemy źródła macronizmu spychającego Francję w odmęty niekończącego się kryzysu. Zaskakiwały go gwałtowny rozrost metropolii, rozwój środków techniki i przemysłu, banalizacja kultury oraz triumf człowieka masowego. „Masy [...] żądają przywilejów dla swego barbarzyństwa, chcą wprowadzić własny brak gustu, mają śmiałość być ordynarne" – pisał. Widzi je syte, niedbające o przyszłość i okopane wokół podziałów politycznych w skali nieznanej przez I wojną światową.

Rok wcześniej Paryżem wstrząsnęły manifestacje, które wybuchły po ujawnieniu tzw. afery Stavisky'ego. Skandal finansowy wywołany przez ukraińskiego Żyda podzielił kraj na dwa zwalczające się obozy, a „czterdzieści milionów obywateli rozpadło się na 40 partii" komasujących prawicę i lewicę, aż po rosnących w siłę komunistów. „Być może właśnie z intryg tych podzielonych na parcele pól walki, za szańcami wzniesionymi z lokalnych interesów, rozstrzygnie się los Europy" – zauważał pisarz. Jeśli współczesna Francja ściągnęła imigrantów, sowicie opłacając ich przywilejami i przez to przygotowując grunt pod konflikty na tle socjalnym, rasowym i kulturowym, to tamta jeszcze „nie akceptowała nowych krewnych". I chodziło tylko o emigrantów zarobkowych z Europy Wschodniej czy Ameryki Płd. o statusie obywateli „drugorzędnych", z niedostępną dla nich nawet pracą szambiarza, których wielu po prostu odsyłano na granicę. Poza tym Márai jest niezwykle czuły na krajobrazy, zapachy, smaki, szczególnie zielonych burgundów, którym poświęcił niemal kilkustronicowy hymn. Oraz oczywiście na zmysłowość i elegancję Paryżanek. A Anglia? Anglia, którą spotkał cztery lata przed wojną, to wciąż ceniąca „splendid isolation" wiejska, niemal feudalna Old Merry England, w której nawet robotnicy pozostawali najwyżej sentymentalnymi socjalistami. Cieszono się urokami właściwie pojętej wolności. Dziś po obu stronach kanału sprzeniewierzonej.



Sándor Márai, „Patrol na Zachodzie", Czytelnik 2026

Maciej Walaszczyk

eprasa.pl a3944fb8dc





HITY i KITY ZAREMBY

„Oresteja”, ale na nowo

Idąc na „Oresteję” do Teatru Narodowego, warto pamiętać, kto jest jej autorem. Ajschylos wystawił ją w Atenach ok. 458 r. p.n.e. Ale Belg Luk Perceval napisał całkiem nowy tekst

Wielu widzów pomyśli, że ogląda oryginalną sztukę antyczną, jedną z najstarszych w dorobku ludzkości. Ci, którzy kupią program teatralny, przeczytają: „Na motywach trylogii Ajschylosa”.

Teatr Luka Percevala, uznanego reżysera, budzi moje sprzeczne emocje. W tym przypadku ten jego tekst przetłumaczył z angielskiego prof. Tadeusz Sławek. Zgadza się on z tragedią Ajschylosa co do zarysu akcji. Ale niemal żadne zdanie nie powtarza się dosłownie. Hekube, wdowa po królu Troi Priamie, w oryginalnej tragedii się nie pojawia. Tu jest dodana, jakby wbrew logice fabuły. Król Argos Agamemnon porwał po zwycięstwie Greków jej córkę, jasnowidzącą Kasandrę. Hekuby z nią nie było.

Po powrocie z wojny Agamemnon zostaje zamordowany przez żonę Klitajmestrę. Pomaga jej Ajgistos, którego ojca wcześniej zamordował ojciec Agamemnona. Po tym zabójstwie Orestes, syn zabitego, wraca, aby dokonać zemsty na matce i jej kochanku. Zachęca go do tego siostra Elektra.

Zdarzenia więc niby się zgadzają. Ale w wersji Percevala to tekst o tragedii wojny, uderzającej w kobiety. O tym opowiada Hekuba, tragiczna królowa, która traci całą rodzinę. To także opowieść o historii kobiecych krzywd. Ajschylos przypisuje Klitajmestrze skargę: ona mści się za córkę Ifigenię. Ojciec złożył ją w ofierze, aby okręty Greków mogły wyruszyć na wojnę. To jednak tylko jeden z motywów królobójstwa. Dopiero Perceval czyni go myślą przewodnią zemsty.

Dostajemy opowieść antywojenną i wymierzoną w patriarchat. Ajschylos nie myślał takimi kategoriami i mówił innym językiem. Hekubie adaptator wkłada w usta tyrady wymierzone w bogów. Ajschylos nie był czołobitny wobec greckich bóstw. Ale ta tragedia kończy się zaniechaniem zemsty na Orestesie, więc jakąś apoteozą greckiej religii. Ta część jest w ujęciu Percevala pominięta.

Mamy tu do czynienia z rewizją podobną do tej, której dokonał Christopher Nolan w filmie według „Odysei”. On też dodał Homerowi sprzeciw wobec wojny. Zarazem większość tekstu Percevala nawet do mnie przemawiała. To poważna, szlachetna oferta. Otwarte pozostaje pytanie, czy tak można. Bo tytuł „Oresteja” belgijski reżyser połączył z obcą autorowi wymową.

Za to grane jest to w zasadzie według poetyki greckich tragedii, w której okrutnych zdarzeń nie widzimy, lecz są one opowiadane. Postaci zamierają w różnych pozach na zboczach piramidy ułożonej ze schodków (scenografia Annelies Vanlaere). Wszystko rozwija się powoli i nieubłaganie. To pole dla talentów tragiczek. Najpierw wielki popis ascetycznej recytacji daje Danuta Stenka (Hekuba), potem wstrząsająco monologuje Aleksandra Justa (Klitajmestra). Towarzyszą im Ewa Bukała (Elektra), Karolina Staniec (Kasandra) i nic niemówiąca, grająca ciałem Hanna Wojtóściszyn (nieżyjąca Ifigenia).

Mężczyźni są zepchnięci do tła. Potężnej budowy niczym symbol męskiej przewagi Robert Czerwiński jest niemym Agamemnonem, a potem sprowadzonym do kilku zdań, jakby bezradnym Orestesem. Cezary Kosiński jako Ajgistos też wypowiada niewiele słów. Kontrowersyjnym pomysłem jest zredukowanie Chóru do jednej osoby – Chorusa, który jedynie mamrocze i wprawia w ruch obrotową scenę. A przecież grał tę postać intensywnie obecny Mariusz Bonaszewski; wcześniej miał ją kreować zmarły, równie wielki, Jan Frycz.

Widzę wady tej inscenizacji, choćby za wiele krzyku – taka jest ekspresja „teatru nowoczesnego”. Ale przyjąłem to przedstawienie chyba nawet cieplej niż obecni na widowni recenzenci.

Piotr Zaremba

Fot. Maria Shulga/Archiwum Artystyczne Teatru Narodowego

Pożegnanie z doktorem Lecterem

Film „Milczenie owiec" Jonathana Demme'a widziałem wiele razy – to klasyka amerykańskiego kina grozy. Ale obejrzenie go na Cinemaksie prowokuje do nowych przemyśleń

Najpierw była powieść dziennikarza Thomasa Harrisa. Po raz pierwszy usłyszałem odcinek „Milczenia owiec" w 1990 r., czytany w radiu przez Annę Chodakowską. Byłem ujęty lapidarnym stylem, bez jednego niepotrzebnego zdania. Szybko zdobyłem powieść – to czas ekspansji takiej literatury na polski rynek po upadku PRL.

Harris malował przerażający świat seryjnych morderców, nie epatując okrutnymi opisami, ale odwołując się do naszej wyobraźni, a zatem do ukrytych lęków. Choć scena, w której doktor Hannibal Lecter morduje policjantów, na chwilę odebrała mi apetyt. Odpowiadała mi też wizja świata Harrisa. W „Milczeniu owiec" czy we wcześniejszym „Czerwonym smoku" współczuje ofiarom i każe się utożsamiać z sensownymi stróżami prawa. Doktor Lecter, psychiatra i zarazem morderca kanibal, staje się symbolicznym uosobieniem zła.

W 1991 r. pojawił się film. Lapidarność stylu Demme'a odpowiadała oszczędnym opisom Harrisa. Po latach jest wciąż powtarzany. Ale usłyszałem już kilka głosów, że dziś i powieść, i film miałyby marne szanse na światową czy nawet amerykańską karierę. Dlaczego?

„Buffalo Bill", morderca z „Milczenia owiec", chce zmienić płeć. Wprawdzie znający go Lecter tłumaczy, że nie jest on transseksualistą, lecz szaleńcem, któremu się to tylko wydaje. Ale przecież współczesne siły postępu uważają, że ważniejsze od symptomów medycznych jest subiektywne poczucie tożsamości. Facet czujący się kobietą był tu zaś przedstawiony jako potwór. Faktycznie to chyba by dziś nie przeszło.

A zarazem sam Harris mnie rozczarował. W tamtych powieściach oddzielał dobro od zła. W „Hannibalu" z 1999 r. krotochwilnie zbliżył potwora Lectera do sympatycznej agentki FBI Clarice Starling. Uznałem ten nagle ujawniony relatywizm za coś w złym guście. Autor adaptacji filmowej Ridley Scott tylko trochę to wrażenie osłabił. Potem Harris napisał jeszcze „Hannibala po drugiej stronie maski", gdzie tłumaczył Lectera jego przeżyciami z dzieciństwa. A przecież zbrodniczy doktor był postacią sugestywną, gdy wyłaniał się z niebytu, z tajemnicy. Powstał również tandetny serial „Hannibal", dla zabawy żonglujący postaciami z tamtych książek. Stanowczo nie polecam takiej zażyłości z mordercami, nawet fikcyjnymi.



Fot. Materiały prasowe

SAMOTNI ARTYŚCI W RODZINIE

Dzięki HBO nadrobiłem zaległość. Obejrzałem film „Wartość sentymentalna" norweskiego reżysera Joachima Triera. Archetyp rwących się, a jednak wartych podtrzymywania więzi rodzinnych jest, pomimo zmian cywilizacyjnych, jednym z najtrwalszych

Znajomy aktor powiedział mi, że dzięki takim filmom odzyskuje wiarę w kino. Zatem po roku od premiery zerknąłem. Zrazu wydał mi się jak wiele filmów europejskich zbyt wystudzony, z powolną akcją i wiele razy ćwiczonymi wątkami. Po całym filmie chylę jednak czoła. To opowieść subtelna i w dobrym stylu. Takie powtarzanie ma sens.

Mamy dwie dorosłe siostry: Norę i Agnes (Renate Reinsve i Inga Ibsdotter-Lilleaas). Po śmierci ich matki kontakt z nimi odnawia ojciec, sławny niegdyś reżyser (w tej roli znakomity Stellan Skarsgård). Chce nakręcić nowy film, a ponieważ Nora jest zawodową aktorką, proponuje jej główną rolę. Ona, rozżalona na niego za porzucenie rodziny, odmawia. Film ma być jednak kręcony z amerykańską aktorką (Elle Fanning) – w ich rodzinnym domu, będącym istnym magazynem wspomnień.

To film o rodzinnych więzach, ale i o barierach, które je blokują. Zadajemy sobie pytanie o naturę współczesności: swoboda seksualna nie załatwiła problemu niedostatku uczuć. Nora, choć jest aktorką, pozostaje samotna. Czy dlatego, że rozbita rodzina nie nauczyła jej prawidłowych relacji ze światem? Ale jej siostra ma przecież męża i synka. Z kolei ojciec, wyniosły artysta, pomimo dawnych przewag w relacjach z kobietami, też na starość został sam. To empatyczna opowieść o przyciąganiu i odpychaniu w małym rodzinnym kręgu.

Ale także o roli twórczości artystycznej. Reżyser Gustav bywa egoistą, człowiekiem wyzbytym empatii. A zarazem kręci film będący opowieścią i o jego matce (pojawia się nawet wspomnienie wojennego ruchu oporu), i o córce, z którą nie umie się dogadać. Stary artysta jest produktem współczesnej cywilizacji, ale po prawdzie akurat ludzie jego profesji zawsze oddzielali się własną twórczością od życia, także od rodziny.

Czy można to wynagrodzić bliskim, opowiadając o nich w filmie? Warto to sprawdzić.



Sekrety Santiago de Compostela

Najważniejsze wydarzenia dzieją się nie w sanktuarium św. Jakuba, lecz w drodze do niego – na szlaku, który staje się miejscem egzystencjalnego doświadczenia

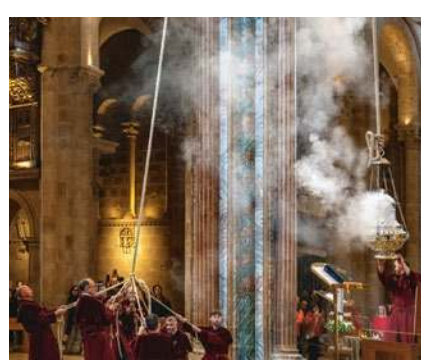


GRZEGORZ GÓRNY

Rok 2027 został ogłoszony Rokiem św. Jakuba, zwanym też Jubileuszowym Rokiem Compostelańskim, ponieważ centrum uroczystości będzie się znajdować w mieście Santiago de Compostela w hiszpańskiej prowincji Galicja. W średniowieczu był to jeden z głównych ośrodków pątniczych Europy.

TRZY PIELGRZYMKI WIĘKSZE

Od XII w. prawo kanoniczne wyróżniało trzy tzw. pielgrzymki większe (*peregrinationes maiores*): do Jerozolimy (do Grobu Pańskiego), do Rzymu (do grobów św. Piotra i św. Pawła) oraz właśnie do Santiago de Compostela. Dante Alighieri nazywał pątników udających się do tych miejsc kolejno „palmieri" (nieśli z sobą palmy), „romani" (udawali się szlakiem rzymskim) oraz „pelerini" (ubrani byli w charakterystyczne peleryny). Z czasem postępująca na Półwyspie Iberyjskim sekularyzacja sprawiła, że pielgrzymowanie do galicyjskiego sanktuarium niemal w ogóle ustało.



Swoje odrodzenie zawdzięcza jednemu człowiekowi. 9 listopada 1982 r. w Santiago de Compostela zjawił się Jan Paweł II, który wygłosił tam słynne orędzie, znane jako Akt Europejski. Papież wołał z owego miejsca: „Z Santiago kieruję do ciebie, stara Europo, wołanie pełne miłości: odnajdź siebie samą! Bądź sobą! Odkryj swoje początki. Tchnij życie w swoje korzenie". Apelował o powrót do chrześcijańskiego dziedzictwa, które ukształtowało kulturę i tożsamość naszego kontynentu. Przywołał przy tym słowa Goethego, iż świadomość europejska zrodziła się z pielgrzymowania.

Autorytet papieża był tak wielki, że jego przemówienie stało się impulsem do odrodzenia starej pątniczej tradycji. Opustoszałe średniowieczne szlaki znów zapełniły się wędrowcami, wśród których – co było zaskoczeniem dla komentatorów – dominowali ludzie młodzi. W 1989 r. Jan Paweł II nieprzypadkowo wybrał właśnie Santiago jako miejsce Światowych Dni Młodzieży, na które zjechało się ponad 500 tys. osób. Dwa lata wcześniej Camino de Compostela zostało ogłoszone Europejskim Szlakiem Kulturowym, a w 1993 r. wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO. W zeszłym roku do hiszpańskiego sanktuarium przybyło ponad pół miliona pielgrzymów.

NAUKA POTWIERDZA TRADYCJĘ

Dlaczego 100-tysięczne miasto w iberyjskiej Galicji stało się jednym z najważniejszych centrów pątniczych chrześcijaństwa? Odpowiedzi na to pytanie próbują udzielić autorzy książki „Sekrety Composteli" – teolog ks. prof. Piotr Roszak i hiszpański historyk sztuki dr Fran-

eprasa.pl a3944fb8dc

cisco Singul. Ich publikacja, bogato ilustrowana zdjęciami Janusza Rosikonia, ukazała się w przededniu Roku św. Jakuba. To właśnie postać owego apostoła znajduje się w centrum ich opowieści, ponieważ w Santiago jest ulokowany grób pierwszego z dwunastu uczniów Chrystusa, który oddał życie za wiarę.

Wielu krytyków podważa tezę, jakoby św. Jakub, którego ścięto w 43 r. w Jerozolimie, mógł zostać pochowany w dalekiej Hiszpanii. Autorzy bronią jednak tej wersji, powołując się na odkrycia naukowe. Grób w Santiago pochodzi z I stulecia i odnaleziono na nim starochrześcijańskie inskrypcje, m.in. grecki monogram XP (chi-rho) oznaczający Chrystusa (dorównujące mu wiekiem chryzmony odkryto tylko w Jerozolimie i Rzymie) oraz najstarsze (poza Nazaretem) znane monogramy maryjne. Wspomniane napisy dowodzą, że już na samym początku naszej ery grobowiec w Galicji musiał być ważnym miejscem kultu chrześcijańskiego, co oznacza, że krył w sobie ciało niezwykle znaczącej postaci.

Autorzy książki na podstawie starożytnych przekazów odtwarzają drogę, którą przebyły doczesne szczątki św. Jakuba z Ziemi Świętej na Półwysep Iberyjski. W Dziejach Apostolskich po wniebowstąpieniu Jezusa następuje niemal dziewięcioletnia przerwa w narracji. W tym czasie uczniowie Chrystusa wyruszają z misją w różne strony świata. Według tradycji Jakub trafił do Hiszpanii, która była wówczas prowincją imperium rzymskiego. Po powrocie do Judei został stracony na rozkaz Heroda Agryppy za bluźnierstwo. Ciała skazańców porzucano wtedy niepochowane w jerozolimskiej Dolinie Gehenny – która była czymś w rodzaju wysypiska śmieci – by tam zostały rozdziobane przez ptaki. Uczniowie Jakuba wykradli jednak jego zwłoki, aby uchronić je przed zbezczeszczeniem. Za taki czyn groziła im surowa kara, więc musieli nie tylko ukryć ciało męczennika, lecz także sami zniknąć.

Późniejsza rekonstrukcja wydarzeń opiera się na poważnych hipotezach, wzmocnionych tradycją ustną. Sprawcy znaleźli schronienie w Jaffie, w domu Szymona Garbarza, który oprócz sprzedawania zajmował się balsamowaniem zwłok. Jak wiemy z Dziejów Apostolskich, miał bliski kontakt z nawróconym setnikiem rzymskim Korneliuszem, który dowodził niegdyś legionem w okolicach Sewilli. To właśnie ów centurion miał pomóc uczniom Jakuba załadować zabalsamowane i ukryte w ładunku ciało ich mistrza na statek w porcie w Jaffie. Stamtąd popłynęło ono do Hiszpanii.

NARODZINY ŚWIADOMOŚCI EUROPEJSKIEJ

Inwazja muzułmanów, którzy w 711 r. najechali Półwysep Iberyjski, sprawiła, że grób Jakuba popadł w zapomnienie. Został odkryty na nowo dopiero w 830 r. przez mnicha Pelagiusza. W błyskawicznym tempie chrześcijańskie rycerstwo okrzyknęło świętego patronem rekonkwisty, czyli odbicia Hiszpanii z rąk mahometan. Pod jego sztandarem stoczono wiele zwycięskich bitew, dlatego zaczęto go nazywać „Matamoros", czyli pogromcą Maurów.

Szybko też grób apostoła stał się celem pieszych pielgrzymek odbywanych z najdalszych zakątków Europy. Tylko na terenie dzisiejszej Polski sieć szlaków św. Jakuba liczyła 8 tys. km. Wzdłuż dróg pątniczych powstawały hotele, szpitale i karczmy. Dzięki nim budowano drogi, mosty i domy. Przez długie stulecia pielgrzymowanie dla wielu Europejczyków pozostawało jedynym sposobem poznawania tradycji, języka i obyczajów innych nacji, a zarazem poszukiwania cech łączących wszystkich ludzi, sprzyjając duchowej integracji kontynentu. Jak mówił Pius XII: „W tych wspólnych trudach zanikają różnice klasowe, wytwarza się wspólnota, wzajemne zrozumienie i poczucie pokoju przekraczające nawet granice narodowe".

Jeden ze średniowiecznych kronikarzy arabskich z niekłamanym podziwem pisał, że szlaki wiodące do Santiago są bardziej zatłoczone niż drogi prowadzące do Mekki. Stawiał więc gorliwość ówczesnych katolików jako wzór do naśladowania współczesnym sobie muzułmanom. Czy dziś powtórzyłby to samo?

OD TURYSTY DO PIELGRZYMA

Jest jakimś paradoksem to, że w czasach, w których kościoły na Zachodzie pustoszeją, drogi do Santiago zapełniają się ludźmi. Wielu młodych podejmuje trud pieszej wędrówki do sanktuarium nie z powodów religijnych, ale kierując się innymi motywacjami, np. traktując ją jako formę terapii, samopoznania lub odnalezienia wewnętrznej równowagi. Ks. Piotr Roszak, który przez 10 lat posługiwał jako kapłan w hiszpańskiej parafii, znajdującej się na szlaku jakubowym, opowiada, że wielokrotnie spotykał piechurów, którzy swoją podróż zaczynali jako turyści, a kończyli jako pielgrzymi. Dla licznych pątników Camino (niespodziewanie niekiedy dla nich samych) stawało się drogą nawrócenia.

Ks. Roszak mówi, że podczas wielodniowej peregrynacji, przemierzając bezludne i surowe pejzaże, człowiek ma szansę doświadczyć Bożej Opatrzności nie w teorii, lecz w praktyce. To okazja, by się przekonać, że jako ludzie nie jesteśmy samowystarczalni, lecz zdani na innych, tych napotkanych na drodze, a przede wszystkim na hojność i szczodrość samego Stwórcy. Dzięki temu, jak zauważa kapłan, pielgrzym może głębiej wniknąć w tajemnicę zaufania Bożej dobroci.

Janusz Rosikoń wspomina, że fotografując pielgrzymów na Plaza del Obradoiro przed bazyliką św. Jakuba, jego uwagę zwrócił wybuch radości sześciu kobiet, które weszły właśnie na plac. Mimo widocznego zmęczenia znajdowały się w stanie euforii. Okazało się, że są Amerykankami, które przybyły z Alaski – babcia, dwie córki i trzy wnuczki. Przyleciały do Lizbony, a stamtąd przez trzy tygodnie szły do Santiago. Ta droga wzmocniła zarówno ich wiarę, jak i więzi między nimi. Ich podróż jak w soczewce skupiała to, co w pielgrzymowaniu do Santiago najistotniejsze: budowanie wspólnoty i duchowych fundamentów egzystencji.



Ks. Piotr Roszak, Francisco Singul, Janusz Rosikoń, „Sekrety Composteli", Rosikon-Press, Warszawa 2026

Fot. JANUSZ ROSIKOŃ/ROSIKON-PRESS

eprasa.pl a3944fb8dc



Tajemnice wrzosowisk

W naszej strefie klimatycznej stadium sukcesji, do którego zmierzają wszystkie tereny, jest las. Kierunek leśny został przyjęty przez przyrodę wraz z odchodzącą epoką lodowcową. W pewnym momencie zalesione były niewyobrażalnie rozległe obszary Europy. Ponad lasy wystawały szczyty gór – te skaliste, wznoszące się ponad szczytową granicę lasu. Las nie porastał także jezior. Jednakże jeżeli by pozwolić działać procesom naturalnym odpowiednio długo i bez zakłóceń, zobaczylibyśmy, że góry ulegają erozji i się rozsypują, a jeziora wypłycają się, zarastają, stają torfowiskami. W końcu wszystkie te miejsca pokryłby las.

Cywilizacja, która pojawiła się w międzyczasie, wiązała się jednak z usuwaniem lasu na znacznych powierzchniach. Powierzchnie te miały różne przeznaczenie. Część pozostawała terenami, które ogólnie można by nazwać terenami zieleni, ale z rozmaitych powodów las nie mógł się na nich pojawić z powrotem. Usunięcie lasu doprowadzało często do zubożenia gleby, tym bardziej że niejednokrotnie wiązało się z wypalaniem. Las oczywiście odtworzyłby się i na takim terenie, jeżeli dostałby szansę, ale takie wykorzystane, zubożone tereny były przeznaczane na pastwiska, na których przeżuwacze skutecznie zapobiegały zarastaniu drzewami. Tak powstały słynne wrzosowiska będące znakiem rozpoznawczym i chlubą Szkocji. Był to proces ogólnoeuropejski – nie bez powodu jedna z polskich ras owiec nosi nazwę wrzosówka – ubogie tereny nie były pastwiskami wystarczająco zasobnymi dla krów, ale dla owiec jak najbardziej.

Wrzosowiska są bardzo ciekawym efektem ubocznym także współczesnego sposobu wykorzystania terenu. Chodzi o poligony wojskowe. Pod gąsienicami czołgów, pośród wybuchających pocisków i pożarów drzewom trudno przetrwać. Takie rozległe powierzchnie, wydawałoby się kompletnie nieprzyjazne przyrodzie, nie stały się przeszkodą dla rozwoju wrzosowisk. To właśnie poligon wojskowy w gminie Borne Sulinowo stał się najrozleglej-

Monotonne i bardzo malownicze, ubogie i jednocześnie różnorodne. Wrzosowiska to odpowiedź przyrody na działania człowieka, wariacja na temat: jak zagospodarować przestrzeń



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Fot. Shutterstock

eprasa.pl a3944fb8dc

szym w naszej części Europy kompleksem wrzosowisk. Obecnie najcenniejszą przyrodniczo część obejmuje rezerwat przyrody „Diabelskie Pustacie" o powierzchni niemal 1 tys. ha, będący trzonem jeszcze rozleglejszych Wrzosowisk Kłomińskich, które w szczytowym momencie miały powierzchnię 3,5 tys. ha.

Dlaczego w takim razie chroni się wrzosowiska, skoro są wtórnym zbiorowiskiem krzewinek, które zastąpiły las, i to chroni do tego stopnia, że niektóre z wrzosowisk stają się rezerwatami przyrody, obszarami Natura 2000 i są wymieniane w dyrektywach wspólnotowych jako cenne w skali kontynentu?

WRZOSIEC I WRZOS

Zacznijmy od tego, że zbiorowiska roślinne nazywane wrzosowiskami powstają przy udziale dwóch gatunków. Jednym z nich jest wrzosiec bagienny *Erica tetralix*. Jest on rośliną na tyle rzadką, że podlega ochronie gatunkowej i wskazywany jest jako wymagający szczególnej uwagi w rozmaitych opracowaniach przyrodniczych, w tym w prestiżowej Czerwonej Liście (choć znalezienie się na niej można poniekąd określić jako prestiż, jest też jednocześnie znakiem zagrożenia). Wrzosiec bagienny, występujący w Polsce przede wszystkim nad Bałtykiem, w północno-zachodniej części kraju, w tym w Słowińskim Parku Narodowym, jest więc ciekawostką samą w sobie. Tworzone przez niego wrzosowiska z udziałem innych ciekawych roślin, takich jak np. woskownica europejska, żurawina błotna, wełnianki, wełnianeczki i mchy torfowce, porastają torfowiska. Nie są zbiorowiskami wtórnymi, powstałymi w miejscu usuniętego niegdyś lasu, lecz jego forpocztą, kolejnym stadium zanikłego jeziora. Wrzosowiska z wrzoścem są rzadkie i niewielkie powierzchniowo.

W drugim przypadku mamy do czynienia z wrzosowiskami z udziałem wrzosu pospolitego *Calluna vulgaris*, któremu towarzyszą jastrzębiec kosmaczek, mącznica lekarska czy widłak goździsty. Powstają w miejscach suchych i są zbiorowiskiem wtórnym. Z wyjątkami, ponieważ górskie wrzosowiska w Karkonoszach dysponują nieporównanie większą ilością wilgoci niż piaszczyste wrzosowiska nizinne i z większym prawdopodobieństwem mogą mieć charakter naturalny. Jedne z najpiękniejszych polskich wrzosowisk porastają grzbiet Karkonoszy w rejonie Śnieżnych Kotłów. Warte zobaczenia są oba fenomeny: zarówno fioletowe powierzchnie zaskakujące swoim widokiem na tej wysokości pośród wysokogórskiego krajobrazu, jak i Śnieżne Kotły, olbrzymie formy skalne mające kształt unikalnych dolin rozpoczynających się przepaścistymi kotłami, które biegnąc dalej na północ, przechodzą w kamieniste piargi, polodowcowe jeziorka i surowe świerkowe lasy.

WTÓRNY NIE ZNACZY GORSZY

Przy określeniu wrzosowisk jako zbiorowisk wtórnych należy wyjaśnić jeszcze jedno. W tym przypadku nie jest to określenie pejoratywne ze względu na bogactwo organizmów, które w razie braku rozległych wrzosowisk byłyby bardzo rzadkie, tak jak wiele ze wspomnianych wyżej roślin i zwierząt, o których za chwilę. Wtórność wcale nie musi być też konsekwencją działań człowieka, lecz może być przyrodniczą koleją rzeczy. Wrzosowiska powstawały nieraz po pożarach wznieconych przez pioruny, ale trzeba przyznać, że te obecnie największe mają charakter antropogeniczny, a do tego są przez człowieka utrzymywane. Nie zawsze wcale jako poligon wojskowy. Nieraz utrzymuje się celowo wrzosowiska chociażby dlatego, że dostarczają pożytku pszczołom, ale także dlatego, że przy okazji różnych procesów dziejowych i przyrodniczych stały się oazą gatunków, na których ochronie nam zależy, a które gdzie indziej są rzadkością.

CIETRZEWIE, GŁUSZCE I LELKI

Wrzosowiska to siedliska cietrzewi *Lyrurus tetrix*. I już samo to wystarczyłoby, żeby wrzosowiska hołubić. Cietrzew, drugi po głuszcu co do wielkości polski kurak, o pięknych, lirowatych czarnych piórach w ogonie i grubych, czerwonych brwiach samców, jest gatunkiem, który w ciągu niespełna wieku doświadczył spadku liczebności wprost zatrważającego. Do połowy XX w. cietrzewi żyło w Polsce kilkadziesiąt tysięcy. Dziś jest ich kilkaset, a ochrona i próby przywrócenia dają jak na razie bardzo mizerne efekty. Przywracanie głuszca, który jeszcze jakiś czas temu wydawał się gatunkiem znacznie bardziej zagrożonym niż cietrzew (i faktycznie był znacznie mniej liczny), idzie obiecująco. Hodowane w wolierach przez leśników głuszce są wypuszczane, z powodzeniem rozmnażają się, tworzą nowe populacje i włączają w istniejące.

Z cietrzewiem tak nie jest, a jego liczebność wciąż spada. Dlaczego? Trudno powiedzieć. Jedna z teorii łączy spadek liczebności cietrzewi z chorobami przenoszonymi przez bażanty, obecne w naszym ekosystemie od dawna, ale jednak będące gatunkiem obcym. Wskazuje na to nazwa łacińska bażantów *Phasianus colchicus*, oznaczająca „pochodzący z Kolchidy nad Morzem Czarnym".

Tak czy inaczej, niezależnie od innych działań na pewno warunkiem ochrony cietrzewi jest zachowanie ich siedlisk, czyli torfowisk i wrzosowisk właśnie.

Suche, piaszczyste siedliska są idealnym miejscem rozrodu lelka kozodoja *Caprimulgus europaeus*. Tajemniczy nocny ptak o szeroko otwierającym się dziobie, który często bywa nazywany paszczą, okolonym szczecinkami pomagającymi w chwytaniu owadów, jest przykładem bardzo ciekawym, fenomenem na wpół przyrodniczym, na wpół kulturowym.

To o lelku uczymy się w szkole, czytając o czymś, co „klaszcze za borem", które to zagadkowe klaskanie jest odgłosem lelkowych skrzydeł, uderzających o siebie w locie tokowym. Lelka znał każdy pasterz i każdy właściciel krów, owiec czy kóz jako nadzwyczaj łasego na mleko tych zwierząt – co oczywiście jest całkowitą nieprawdą w przypadku tego owadożernego ptaka.

Jednocześnie lelka mało kto widział. Tak jest zresztą również dziś: nocny tryb życia, znakomite maskowanie się w dzień, także na gnieździe będącym po prostu dołkiem w piasku, i żelazne nerwy, dzięki którym lelek nie zerwie się do ucieczki, zanim dosłownie się na niego nie wejdzie – wszystko to sprawia, że spotkanie z nim wymaga albo bardzo szczęśliwego trafu, albo wytrwałych poszukiwań. I odpowiedzialnych – znacznie lepiej zrezygnować z takiej przygody, niż doprowadzić do porzucenia lęgu.

Oczywiście wśród wrzosowisk, ale to dopiero wiosną, kiedy lelki wrócą z Afryki.



FRÉD I ADAM*

Odmiana na pielgrzymkowym szlaku

Trzy miesiące pieszej wędrówki słynnym pielgrzymkowym szlakiem do Santiago de Compostela. Bez telefonu, bez internetu, z obowiązkowym limitem 25 km dziennie. Takie wyzwanie – w ramach programu resocjalizującego młodych ludzi – podejmują bohaterowie filmu „Camino dla opornych".

Fréd (Alexandra Lamy) to nauczycielka z piętnastoletnim stażem, która po niefortunnym incydencie z uczennicą zostaje zawieszona w pracy. Jej życie prywatne również zaczyna się sypać. Za namową przyjaciółki zostaje mentorką 17-letniego Adama (Julien Le Berre) – chłopaka ze sporą kartoteką.

Inspiracją dla twórców filmu był prawdziwy program reintegracji prowadzony przez stowarzyszenie non-profit Seuil, które pomaga młodzieży w kryzysie, wytyczając im długie piesze wędrówki. Młody człowiek wyrusza w drogę z dorosłym opiekunem i podczas kolejnych kilometrów uczy się samodzielności, odpowiedzialności, współpracy i radzenia sobie z własnymi emocjami.

„Compostelle" (to oryginalny tytuł filmu) obejrzało już ponad milion Francuzów, ale wiadomo, że Francuzi kochają rodzime filmy, choćby były to przewidywalne narracje. Co więc może przyciągnąć do tej historii widzów w innych krajach? Przede wszystkim sama trasa. Pięknie sfilmowana.

Droga św. Jakuba, która prowadzi do katedry w Santiago de Compostela w północno-zachodniej Hiszpanii, gdzie według tradycji spoczywa św. Jakub Większy Apostoł, to właściwie nie szlak, ale sieć europejskich szlaków pielgrzymkowych. W ramach Camino de Santiago wędrowcy mogą wybierać spośród kilkudziesięciu różnych wariantów (np. Camino Francés, Camino Portugués czy Camino del Norte), wędrując pieszo, rowerem, a nawet konno.

Według raportu opublikowanego w kwietniu br., w 2025 r. do Santiago de Compostela dotarło ponad 530 tys. pielgrzymów, czyli o ponad 6 proc. więcej niż rok wcześniej. Przy czym piechurzy wybierają się w drogę nie tylko z intencjami pielgrzymkowymi. Dla sporej grupy samotna wędrówka to szansa na pozareligijne doświadczenie – wyciszenia, refleksji i osobistej przemiany.

A warto pamiętać, że istniejąca od ponad tysiąca lat Droga św. Jakuba jest jedną z najważniejszych chrześcijańskich tras pielgrzymkowych, obok szlaków do Rzymu i Jerozolimy.

Jolanta Gajda-Zadworna

**Bohaterowie filmu „Camino dla opornych"*



Fot. Rafael Film



SŁODKO-SŁONY

Ognisty cydr

ANNA MONICKA

Pierwszy oxymel dostałam w prezencie od przyjaciółki, która postanowiła mi pomóc, bo nie mogłam wyjść z przeziębienia. Mała buteleczka z kwaśno-miodową miksturą, z nutą czosnku. Piłam ją codziennie rano – jedną łyżeczkę rozcieńczoną w ciepłej wodzie. Płynu wystarczyło mi na kilka tygodni – nie zachorowałam już ani jesienią, ani zimą. Potem kupowałam wielokrotnie różne oxymele, bo produkuje je wiele pasiek. Miałam wrażenie, że dobrze robią nie tylko na odporność, lecz także na trawienie. Wreszcie postanowiłam sama przygotować taką nalewkę, żeby mieć ją zawsze pod ręką. Podobno infekcje i gorączkę leczył oxymelem już Hipokrates, a sama nazwa pochodzi od greckich słów „oxys" (kwaśny) oraz „meli" (miód).

Warto ją nastawić w dużym słoju, żeby wystarczyło dla całej rodziny do wiosny. Trzeba oczywiście kupić jak najlepsze składniki – dla mnie absolutnym numerem jeden jest żywy ocet jabłkowy „Dębski" produkowany w miejscowości Dębe pod Serockiem – delikatny w smaku i pięknie pachnący (zawdzięcza to długiemu procesowi fermentacji, która trwa około roku).

Miód kupuję zawsze na Pojezierzu Drawskim – wielokwiatowy przypomina mi czasy dzieciństwa. Gdy jest płynny, aż połyskują w nim pyłki i ma niesamowicie intensywny aromat.

Do tego porządny czosnek, cebula, owoce dzikiej róży, trochę pigwy, można dodać ekologiczną cytrynę. Każdego składnika po pokrojeniu powinna być mniej więcej szklanka. Do tego dodaję po kawałku korzenia imbiru i świeżej kurkumy. Wsypuję je do wyparzonego słoja i zalewam octem na miesiąc – powinien dokładnie przykrywać owoce i warzywa. Zakręcam i trzymam w zacienionym, chłodnym miejscu. Codziennie sprawdzam, jak moja mikstura naciąga, i delikatnie ją mieszam. W piątym tygodniu przecedzam i filtruję płyn, dosładzam go miodem i gotowe.

Można oczywiście zmieniać proporcje, dodać owoce jarzębiny, rokitnika, aronii. Niektórzy dokładają do słoja dwie, trzy gałązki rozmarynu, a także ostrą papryczkę. Inni zmniejszają ilość czosnku, za to dokładają imbiru. Warto się pobawić i znaleźć swój własny smak.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Nietoperze robią zapasy

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jeszcze kilka dni temu na jasnym niebie w słoneczne dni obserwowałem nietoperze borowce wielkie. Być może, jeżeli pogoda będzie odpowiednia, wysoko na niebie uda się jeszcze komuś zauważyć charakterystyczną sylwetkę.

Borowce latały w ciągu dnia, kiedy ciepło uaktywniało owady. Wysoko, żeby uniknąć drapieżnych ptaków. A robiły to wszystko, żeby każdy odpowiedni moment, zanim zapadną w hibernację, wykorzystać na robienie zapasów tłuszczu.

Samo zjawisko, skądinąd bardzo interesujące i widowiskowe, nasunęło mi fundamentalną refleksję. Robienie zapasów w sprzyjającym momencie, magazynowanie z wyprzedzeniem czegoś, co jest niezbędne do przetrwania, to w przyrodzie bardzo ważna zasada.

I tu powrócę do bardzo często poruszanej przeze mnie kwestii wody, która oby nie okazała się trudniejsza do zdobycia niż np. ropa. W przypadku ropy mamy sprawnie działające źródła dostaw, systemy transportu i przetwarzania. W przypadku wody jesteśmy dostosowani do warunków, które nie zmieniały się w zasadzie od wieków. Rosło tylko zapotrzebowanie: w powstających coraz większych skupiskach miejskich, w rolnictwie, w przemyśle. Nadal rośnie, zapasy i opady maleją, a my nadal opieramy się na modelu tradycyjnym.

Co będzie natomiast, jeżeli do zmian klimatycznych dołączy chociażby wyjątkowo silne El Niño (być może już się to stało) albo inne zjawisko ekstremalnie zaburzające opady? I jeżeli skrajnie niskie opady utrzymają się przez kolejne sezony? Być może do rozważenia, kto wie jak szybkiego, będzie odsalanie wody morskiej. Trzeba ją będzie jednak rozprowadzić i mieć do tego infrastrukturę.

Pod koniec zimy 2026 r. w dużej części Hiszpanii wystąpiły opady tak silne, że wywołały powodzie. Spowodowały szkody i napełniły zbiorniki. W niektórych rejonach zapasy, które od dłuższego czasu były na granicy wyczerpania, wzrosły do takiego poziomu, że zapewnią wodę na kilka kolejnych lat.

Nie wiemy, jak będą wyglądać kolejne wiosna i lato w naszym kraju. Czy będzie padać? Tego nie wiadomo, natomiast pewne jest to, że musimy wziąć przykład z nietoperzy oraz z Hiszpanów i zacząć gromadzić wodę. Nie w odległejszej perspektywie, ale już teraz – zacząć tej jesieni i tej zimy.

eprasa.pl a3944fb8dc



3 MIŁOŚCI

Ogród koncentracyjny

Muzułmańskich radykałów mordujących Brytyjczyków na ulicach UK chroni przed Johnym Cleese'em, twórcą grupy Monty Pythona, program antyekstremistyczny.

W lipcu 2026 r. aktor powiedział: „Nie jestem rasistą. Jestem kulturalistą („I am not a racist. I am a culturalist"). Dodał też, że „wierzy, iż niektóre kultury są lepsze od innych, ponieważ woli te, które nie zachęcają do bicia żon, pedofilii, okaleczania żeńskich narządów płciowych, ukamienowań i nieustannego nadmuchiwania męskiego ego". „Jestem również świadomy różnicy między islamosceptycyzmem a islamofobią. Zauważ, że nienawiść nie ma z tym nic wspólnego. Tylko moralne preferencje". Cleese został zgłoszony do rządowego programu antyekstremistycznego „Prevent".

Jakiś czas temu cytowałem tutaj wyniki badań noblisty Jamesa Watsona, z których wynika, że inteligencja jest skorelowana z przynależnością rasową. Jeden z moich znajomych skomentował to tak: „I co, na starość zostałeś rasistą?". Umysł w okowach to poetycka metafora opisująca stan psychicznego lub intelektualnego uwięzienia, w którym ludzkie myśli, przekonania lub emocje są skrajnie ograniczone przez ideologię.

Istnieją lepsze kultury, przynależność rasowa różnicuje ludzi, po prostu. Tyle że nic – kultura, narodowość czy rasa – nie zmienia faktu, że wszyscy jesteśmy adoptowanymi dziećmi Boga, więc wszyscy ludzie mają tę samą godność. To fundament naszej wolności. Podobnie fundamentalna jest oczywistość, że cenzurowanie prawdy to brama obozu koncentracyjnego. Zauważył to już lata temu Marcin Świetlicki, autor tytułu tego felietonu.

„Media społecznościowe niszczą nasze demokracje" – mówi Macron i chce ich zakazać, by „uratować Francję i inne kraje". Próba cenzurowania wolności wypowiedzi przez państwo jest próbą utrzymania monopolu tradycyjnego establishmentu politycznego na informację. Mimo wszystkich wad mediów społecznościowych zapewniają one obywatelom wolność wypowiedzi. Nieomal wstydzę się wypisywania takich banałów, tyle że dziś stwierdzenie, iż istnieją tylko dwie płcie, było głównym newsem w światowych mediach.



ROBERT TEKIELI

Włoska Konferencja Episkopatu, we współpracy z Papieskim Instytutem Studiów Arabskich i Islamistycznych, wydała specjalną publikację wprowadzającą do islamu. Dzieci w szkole, w trakcie katechezy, usłyszą następujące twierdzenie: „Koran to objawione słowo Boże". Ciekawe jakiego boga. Katolicy są dziś zdradzani przez swych pasterzy. Na szczęście są jeszcze kapłani, którzy trzymają się zdrowej nauki.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl a3944fb8dc

„Osoba identyfikująca się jako transpłciowa zachowuje swoje pierwotne DNA. Żadna operacja, syntetyczne hormony ani zmiana ubioru nie zmienią tego faktu...". Za te dwa wpisy na X groziło studentce weterynarii, Brazylijce Isadorze Borges de Aquino Silva, dziesięć lat więzienia. Uważam, że lekarzom i ideologom prowadzącym do transokaleczania dzieci powinno grozić dożywocie.

Niemcy mają 2,9 tys. meczetów. W Arabii Saudyjskiej nie ma żadnego kościoła i publiczne wyznawanie chrześcijaństwa jest zabronione. Trwa wojna cywilizacji. Rządzący Zachodem udają, że tego nie widzą.

W Europie żyje 50 mln muzułmanów. Dwadzieścia sześć lat temu było ich mniej niż 500 tys. Podbój kontynentu bez oddania jednego strzału. Upadek cywilizacji.

Irlandia tworzy spot, w którym przedstawia przytulenie przez dziadków jako molestowanie. „Nie każdy może życzyć sobie przytulenia, nawet ze strony kochających osób".

Umbria jest piątym z dwudziestu regionów Włoch – po Toskanii, Sardynii, Emilii-Romanii i Wenecji Euganejskiej – które zalegalizowały ustawę określającą „przepisy dotyczące regionalnej opieki zdrowotnej w zakresie dobrowolnej śmierci z pomocą medyczną poprzez samodzielne podanie śmiertelnego leku". Miłość, troska, przytulenie. Czy można wątpić, kto jest promotorem cywilizacji śmierci? Diabolos oznacza dzielić.

Kościół ma 468 leprozoriów, 117 tys. centrów opieki nad chorymi na AIDS, 5357 szpitali, w których leczy się tysiące chorych, 100 tys. przychodni, domów starców i dla niepełnosprawnych, sierocińców oraz gabinetów lekarskich. Caritas udzieliła pomocy ponad 500 mln biednym, bezdomnym, potrzebującym. Kościół jest najczęściej atakowaną instytucją na naszym globie. Ponad 388 mln chrześcijan na świecie doświadcza wysokiego lub ekstremalnego poziomu prześladowań z powodu swojej wiary. Chrześcijanie są najbardziej prześladowaną grupą religijną. Po sieci krąży film instruujący młode muzułmanki i młodych muzułmanów, w jaki sposób wolno bić kobietę.

Antonio Gramsci studiował Kościół katolicki z uwagą, jakiej żaden wróg Kościołowi nie poświęcił. Gramsci rozumiał chrześcijaństwo lepiej niż wielu chrześcijan. Dlaczego rewolucja nie udała się w ani jednym dojrzałym zachodnim społeczeństwie? Bo za państwem istnieje linia umocnień: szkoły, prasa, stowarzyszenia, rodziny i, nade wszystko, kościoły. I te umocnienia postanowił zdobyć dla światowej rewolucji. Wiedział, że wojna kulturowa poprzedza politykę i toczy się wewnątrz instytucji kształtujących sumienie. Ta wojna jest dla rewolucji nie do wygrania, o ile dalej istnieje ład, który wyjaśnia świat, śmierć i cierpienie, jeśli porządek sensu jest przekazywany

Istnieją lepsze kultury, przynależność rasowa różnicuje ludzi, po prostu. Tyle że nic – kultura, narodowość czy rasa – nie zmienia faktu, że wszyscy jesteśmy adoptowanymi dziećmi Boga, więc wszyscy ludzie mają tę samą godność. To fundament naszej wolności. Podobnie fundamentalna jest oczywistość, że cenzurowanie prawdy to brama obozu koncentracyjnego

z rodziców na dzieci. Gramsci wiedział, że Kościół jest najbardziej trwałą maszyną do formowania zgody. Wiedział więc, że rewolucja nie wygra bez całkowitej laicyzacji życia i obyczajów.

Rewolucyjny antyKościół zdobył dziś na Zachodzie właściwie absolutną władzę formowania ludzi. Osiąga zwycięstwo już przed głosowaniem. By je osiągnąć, by zapewnić rewolucji hegemonię kulturową, wystarczyło przekształcić edukację, nauczając demos, że nic nie jest dane przez Boga; że rodzina, małżeństwo, seks i osoba są wynikiem umowy społecznej, którą zawsze można zmienić. Rewolucja tożsamościowa wygrała. Hegemonia to Zgoda. Co dziś ludzie Zachodu uważają za oczywiste?

Zachód upadnie ostatecznie, jeśli przestanie sobie co pokolenie przypominać, że jego kultura i religia, która tej kultury jest fundamentem, to najowocniejsze drogi do prawdy, dobra i piękna. Cywilizacyjni apostaci to barbarzyńcy, którzy próbują otworzyć bramy Miasta i doprowadzić do rzezi. A jest czego bronić: zachwytu, który budzą jaskinie Lascaux, Paestum, Prowansja, Orvieto, Siena, katedry gotyckie, Sagrada Família, rzeźby Michała Anioła, obrazy Leonarda da Vinci, Caravaggia, Vincenta van Gogha, Rembrandta, Cézanne'a czy Gustava Klimta.

Marksizm zakończył jako wielki sługa nihilizmu, gramscianizm sprawił, że nie ma trwałego fundamentu ani dla prawdy, ani dla wartości, ani dla sensu życia. Pytanie o sens straciło sens. Świat Zachodu wieje nudą, przeciwieństwem miłości nie jest zazdrość. Toniemy w obojętności, bo miłość i zazdrość to siostry.

A Polska? Rosja żąda rozbrojenia Polski i Bałtów. Komisja Europejska chce, by wojska „europejskie" mogły przekraczać granice bez zgody najechanego kraju. Bez zgody Polski niemieckie wojsko będzie mogło legalnie przekraczać naszą granicę. Nie będzie wyłamywania szlabanów.

Niepodległość się rozmyje; wszyscy też wiedzą, że mimo wielu usiłowań nie udało się zbudować zadowalającej definicji suwerenności. Więc mordy w kubeł. „Point de rêveries, messieurs!". Żadnych mrzonek, Irokezi Europy.

Jesteśmy sercem Zachodu. Dużym, starym narodem. Jesteśmy dziećmi potężnej cywilizacji. To Kościół niańczył Europę, tworzył jej fundamenty. Cywilizację buduje się od dymu z komina od nieba.

Od czasów wieków ciemnych oświecenia wyprasza się Boga z Europy. Dziś głosi się miłość do zwierząt ponad miłość bliźniego. Rzeczy stanęły wyżej ludzi, zwierzęta wyżej Boga. Można Ziemię nazwać boginią, ale dalej przecież będzie rzeczą. Gramsci był kulturalistą. Czy za sprawą jego rewolucji zostanie ustanowiona apokaliptyczna hegemonia zła? Ostateczna bitwa zostanie stoczona w sercach naszych dzieci.

eprasa.pl a3944fb8dc

Żyć bezpiecznie czy rządzić wygodnie? Dyktatura smart city

W ręku ze smartfonem, mieszkając w smart city, przeciążeni overtourismem, z podziwem i niepokojem lub przerażeniem przyglądamy się nowemu światu



Joanna Formela

Zastanawiamy się, gdzie znajduje się granica między nieuchronnym globalnym postępem, nowymi technologiami i siłą sztucznej inteligencji, wypierającej naszą własną. Dane, statystyki, AI – kontra zdrowy rozsądek, ludzkie odczucia i emocje. Dodatkowo groźba utraty kontroli.

Mieszkańcy inteligentnych smart cities nie muszą nawet samodzielnie myśleć. Mają biec w kierunku, który wskazuje AI, ufając jej bezgranicznie. Co ma pewne odzwierciedlenie w wyborach. Smart ma uwodzić wizją lepszej przyszłości, lepiej zorganizowanej społeczności, poddawanej stałemu audytowi wedle wskaźników, którymi gminne przywództwo kwalifikuje jakość zachowań obywateli, reglamentując ich przestrzeń wolności.

Piękne miasta, teraz piękne smart cities, wyrosłe uprzednio dzięki prawdziwej inteligencji przodków, są ulepszane i dostosowywane do wymogów technologicznych. Bez refleksji, że piramidy, Koloseum czy Wawel powstały w czasach, w których o AI nikomu się jeszcze nie śniło. A człowiek inteligentnie myślał i własnymi pomysłami, twórczą wizją zmieniał swoją okolicę.

Mamy obecnie okazję uczestniczyć w tajemniczym eksperymencie społeczno-technologicznym, którego skutki na razie pozostają nieznane. Czujniki, znaczniki, oprogramowania, parametryzacja zachowań, 15-minutowe miejskie klatki.

Smart city 1.0, 2.0 i 3.0 – pojęcia użyte po raz pierwszy przez Boyda Cohena, amerykańskiego stratega miejskiego – niekoniecznie przedstawiane są w szczegółach mieszkańcom tychże wyczarowanych miast.

W którym przedziale znajduje się nasze smart city? Dokładnie nie wiemy. Pojawiają się jednak głosy, że w technokratycznych zarządach miast brakuje empatii i zagubił się w nich człowiek. To nowa inżynieria społeczna, przemoc dystrybuowana cząstkowo, w smaku ideologiczna i przenikająca każdy aspekt życia, socjologiczna gentryfikacja łamiąca zwyczaje i codzienne rytuały.

Piewcy smart city, zauroczeni sztuczną inteligencją jako mechanizmem ich przywództwa, zdają się nie dostrzegać strat zafundowanych zagubionym, atakowanym frazesami nowej mody ludziom, tkwiącym choćby w korkach do pracy i z pracy. Samochód, który zapewnia obywatelowi małą wolność wyboru, staje się zbędnym rekwizytem w nowym porządku dnia. Mamy więc osiedla mieszkaniowe, lecz brakuje dróg dojazdowych i miejsc parkingowych. Inteligencja smart miast dopuszcza jedynie parkingi dla operatorów tych miast. Smart city zdaje się mieć zapach klasowy czy raczej kastowy.

Prominenci smart city chwalą się sztuczną inteligencją. AI w podzięce i w służbie ludzkości gromadzi dane, chcąc ułatwić życie – prześwietla i monitoruje, a pod hasłem spójnego środowiska analitycznego ma nas na oku. Archiwa urzędów to scentralizowane hurtownie danych. To one stoją na straży porządku. W różowych okularach donosimy więc grzecznie wszystkie żądane informacje i stosujemy się do restrykcji, z wiarą, że ma być bezpiecznie, ma być wygodnie.

Żyć bezpiecznie czy rządzić wygodnie?

A tu niespodzianka – klops! Wywrócił się paskudnie kontener z danymi w Polsce i informacje wrażliwe milionów Polaków wyciekły do internetu, ktoś zawinił i obietnicy nie dowiózł. Smart niespodzianka.

Smart cities głosiły otwartość na różne kultury, turystów oraz wszelkich przybyszów z dalekich stron, nie przewidując konsekwencji takiego działania. Obrazy przekraczania wszelkich granic wieją grozą. Liczby, gromadzone dane same w sobie nie zapobiegają problemom. Smart to filozofia podporządkowania, niepodporządkowanym smart nie przysparza troski.

Widocznym sygnałem przekroczenia granic są emocje mieszkańców, a nie tylko statystyki. Pomijając poważny temat nielegalnych migrantów wymagający odrębnej dyskusji – hasła „Tourists go home" na ulicach Barcelony, Lizbony czy Wenecji to sygnał zachwianej równowagi.

W Krakowie, smart city zagrożonym overtourismem, to emocje mieszkańców doprowadziły do zmiany władzy. Pojazdy uprzywilejowane z białej listy dla prominentów rozpoznaje sztuczna

12/1026/F

eprasa.pl a3944fb8dc

inteligencja, a dla reszty – szybkie mandaty. Ruch turystyczny stał się nie do zniesienia, a „inteligentne” i bezduszne zarządzanie miastem wzbudziło sprzeciw oraz gniew.

Gdańsk, także miasto smart, zadeptują tłumy, pozamykane są liczne drogi dojazdu, ograniczane są płynność i pojemność ulic, ceny za parkingi dla mieszkańców są horrendalne, dla wybranych, dla władzy – enklawy wyjęte spod opresji finansowej. Nad Motławą też już słychać pomruki niezadowolenia „kochanych” mieszczan.

W okresie wakacyjnym w wielu miejscach pojawiały się głosy otrzeźwienia i zaniepokojenia zjawiskiem overtourismu. Nie łagodzi tego ani nowy żargon władzy, ani jej technologiczne narzędzia wpływu. Cyfrową rewolucję i media społecznościowe oskarża się o współwinę w zadeptywaniu popularnych miejsc od Tajlandii po Rzym. Miasta, które jeszcze niedawno rywalizowały o każdego turystę, dziś pytają, gdzie kończy się granica zdolności ich przyjęcia. Jakby sprawy wymknęły się spod kontroli.

> W Krakowie, smart city, w którym ruch turystyczny stał się nie do zniesienia, a zarządzanie miastem „inteligentne” i bezduszne, sprzeciw oraz gniew mieszkańców doprowadziły do zmiany władzy

Różni pełnomocnicy do spraw overtourismu w miastach, w których się „przelało”, raportują, że chcą odzyskać kontrolę nad przepływem turystów m.in. przez ich „rozpraszanie” i zmianę nastawienia do tematu krótkiego zwiedzania miasta, zmieniając wektory – do poznawania przez doświadczenie. Brzmi to trochę jak odwracanie kota ogonem, bo jednak kot, jakkolwiek odwrócony, zapewnia dopływ pieniędzy.

Prawdą jest, że ludzie wykształcili nowe nawyki, polubili chodzenie na skróty, szybkie zwiedzanie, pracę zdalną i zaakceptowali niewolę w smart miastach. Zaakceptowali nowy język, międzynarodowy żargon dający złudzenie przynależności do nowoczesnej wspólnoty.

W rewersie do tej narracji w naszym pięknym kraju bocznymi drogami maszeruje druga frakcja. Nawołująca do umiaru, pragnąca wykorzystywać nowe technologie dla ludzi, a nie ludzi dla nowych technologii.

REKLAMA

niedziela
TYGODNIK KATOLICKI OD 1926

Zamów PRENUMERATĘ na 2027 r.



Promocja obowiązuje do 30 września 2027 r.

ROCZNA (52 wydania)
W prezencie otrzymasz:
- kwartalnik „Niedziela. Magazyn” na 2027 r. (4 wydania)
- e-book „Antologia. 100 lat *Niedzieli*”
- kupon rabatowy – 10% na zakupy w ksiegarnia.niedziela.pl

PÓŁROCZNA (26 wydań)
W prezencie otrzymasz:
- kwartalnik „Niedziela. Magazyn” na 2027 r. (2 wydania)
- e-book „Antologia. 100 lat *Niedzieli*”

KWARTALNA (13 wydań)
W prezencie otrzymasz:
- „Niedziela. Magazyn”

Zamów więcej niż 1 egz., np. dla siebie i sąsiada, a uzyskasz darmową wysyłkę!

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

Dostawa: Poczta Polska, Pocztex, InPost

Więcej na: prenumerata.niedziela.pl

prenumerata.niedziela.pl
kolportaz@niedziela.pl
+48 34 369 43 51

eprasa.pl a3944fb8dc

OGNIEM NA WPROST

Drony na gospodarczej wojnie



Andrzej Rafał Potocki

Trochę przyjrzymy się wojnie dronowej, a *de facto* gospodarczej, między Kijowem a Moskwą i spróbujemy zrozumieć grę, która się tu toczy. Na początku Ukraina była wyłącznie celem uderzeń kacapów i skupiała się na obronie swojego nieba; obecnie, jak wiemy, te uderzenia są wzajemne. Ukraina dysponuje mniejszymi zasobami niż Federacja Moskiewska i jej salwy są znacznie słabsze. Za to skutki wielokrotnie poważniejsze. O ile rosyjskie salwy idą w tysiące dronów i dziesiątki rakiet miesięcznie, co przy wysokim współczynniku zestrzeleń i tak daje setki i tysiące trafień, o tyle ukraińskie skuteczne trafienia są poniżej stu miesięcznie. Moskale nie podają liczby swoich zestrzelonych środków napadu powietrznego, więc można przyjąć, że współczynnik zestrzeleń nie jest duży i nie ma się czym chwalić. Pomiędzy lipcem a październikiem br. Tryzuby zaatakowały skutecznie 15 rafinerii oraz jedną instalację destylacji. Potem nastąpiła przerwa na żądanie prezydenta Donalda Trumpa, który ogłosił rozejm energetyczny. Ponieważ Kreml nadal niszczył ukraińskie instalacje energetyczne, Kijów wrócił do ataków na obiekty Federacji. Riazań, dwa razy Petersburg (obiekty naftowe), Togliatti i jeszcze poprawka Omska. Ta konsekwentna strategia doprowadziła do tego, że moce przerobowe moskiewskiego przemysłu naftowego spadły do poziomu najniższego od 12 lat. Spadek produkcji benzyny przekroczył 20 proc. rok do roku, a wytwarzanie oleju napędowego zmniejszyło się o prawie jedną trzecią rok do roku. Kacapska firma Seala AI oceniła, że z powodu „nieplanowanych remontów", w tym będących skutkami ukraińskich ataków, wyłączona jest ponad połowa pierwotnych mocy produkcyjnych, wynoszących nominalnie ponad 6,5 mln baryłek ropy dziennie (czyli po ludzku: kremlowski przemysł naftowy przetwarza co dnia mniej niż 4 mln baryłek ropy). Dla porównania: amerykański potencjał przetwórczy to ok. 18 mln baryłek dziennie. Przy czym Seala AI jako powiązana z Kremlem i uprawiająca na swojej stronie typową propagandę sukcesu może dane zawyżać.

Po spadku wymuszonym atakami ukraińskimi Federacja Moskiewska ma do dyspozycji ok. 60 mln ton ropy. Armia i służby nie wezmą mniej. Towar zakontraktowany za granicą musi wyjść, choć i tak w wyniku zakazu wydanego przez Kreml spadł do bardzo małego wolumenu. Cięcia idą głównie po rynku cywilnym, na którym dramatycznie odczuwa się deficyt paliwa. W czasie tegorocznych zbiorów brakowało oleju napędowego dla rolników, a właściciele pojazdów prywatnych to już zupełnie mogą zapomnieć o kupnie paliwa. I dobrze im tak.

Po rafineriach przyszedł czas na magazyny firm e-commerce. Do pierwszego uderzenia w magazyny marki Wildberries doszło 18 lipca koło Tambowa. Na początku zostały trafione huby „Jagódek" pod Moskwą i Petersburgiem oraz magazyn w Jekaterynburgu. Po czym pod koniec sierpnia jeszcze raz magazyn w Kotowsku. Moskale zaczęli drzeć japę, że to ataki na cele cywilne, ale Ukraińcy odpowiedzieli, że Wildeberries jawnie i po cichu dostarcza wyposażenie rosyjskiej armii, więc jest celem wojskowym. Ale czynnik militarny jest tu w rzeczywistości drugorzędny. Wildberries wraz z podobną siecią Ozon (jej magazyny zostały trzepnięte między 22 a 27 sierpnia br.) to handel internetowy, czyli e-commerce, najbardziej dynamicznie rozwijająca się gałąź gospodarki (w zasadzie jedyna, która się rozwija), i stanowi ok. 4 proc. wartości PKB. Uderzenie w obie sieci, które stanowią prawie połowę rynku e-commerce, zdemolowało wiele firm. Ponieważ magazyny nie były ubezpieczone, a zarówno Wildberries, jak i Ozon nie wypłacają odszkodowań za zniszczony towar, finansowo stracili dostawcy. Strzał w e-commerce nie tylko radykalnie zredukował zapasy magazynowe materiałów wojskowych i podwójnego zastosowania, lecz także walnął po kieszeni firmy łamiące sankcje. Uderzenie poszło więc głównie po szwach gospodarczych. Raz, że to demolka PKB i mocne uszkodzenie dużego rynku. Dwa, że w konsekwencji iluś ludzi będzie musiało ograniczyć zakupy w wyniku nagłego zubożenia.

Na koniec wiadomości z frontu. 3 Korpus „Azow" zakończył operację „Vivaldi". Czwarta faza chyba miała być dojściem do Żerebca, ale to się nie udało. Jednak i tak skala odzyskanego terenu – ponad 270 km^2 – robi wrażenie. Do tego 270 jeńców i całkowite rozbicie ruskiej 144. Dywizji Zmotoryzowanej. Moskale dawno nie dostali takiego łomotu. Najważniejszy sukces to odsunięcie zagrożenia Łymanu od północy przez likwidację nawisu. Dodatkowo Moskale ratując ten kierunek, musieli ściągać posiłki z innych odcinków. Ukraina ma szczęście, że przy tak nieogarniętym kierownictwie państwowym ma w większości naprawdę przytomnych i sensownych żołnierzy.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a3944fb8dc

***Michał Korsun** prezentuje: Odpowiedzialny za polskie wojska dronowe gen. Mirosław Bodnar melduje niewykonania zadania*



Wycinki z przeszłości

W dwudziestoleciu międzywojennym wciąż żyli uczestnicy powstania styczniowego z 1863 r. Jednym z nich była Rojza Goznańska, 94-letnia Żydówka mieszkająca w Rotnicy pod Druskienikami. Jak donosił 1 lipca 1934 r. „Nasz Przegląd Ilustrowany", kobieta korzystała z pomocy udzielanej jej przez rząd. Za ostatniego weterana powstania uznaje się Feliksa Bartczuka, który zmarł 9 marca 1946 r. w Kosowie Lackim, mając blisko 100 lat.

(sp)


NASZ PRZEGLĄ
ILUSTROWANY
Święto Morza — Świętem Rzeczypospolit
Żydówka — uczestniczka powstania 63 roku.
Rojza Goznańska, lat 94, na Suwalszczyźnie, uczestniczka powstania 63 r. — korzysta z pomocy udzielanej jej przez Rząd. — Obecnie mieszka w Rotnicy pod Druskienikami.

Z WOLEJA

Nie wygrali, bo są... Polakami



Ryszard Czarnecki

Ceremonia coraz bardziej kontrowersyjnego plebiscytu „France Football" tym razem odbyła się nie w Paryżu, jak często, ale po drugiej stronie Kanału Angielskiego – tak mówią Brytyjczycy – przez nas uparcie nazywanego kanałem La Manche, czyli w Londynie. Nasza najlepsza piłkarka Ewa Pajor zajęła drugie miejsce, choć strzeliła w najbardziej prestiżowej żeńskiej lidze świata – hiszpańskiej – najwięcej goli. Zresztą w Lidze Mistrzyń też była królową strzelczyń. Złotą Piłkę zdobyła jej koleżanka z drużyny FC Barcelona, która co prawda strzeliła mniej bramek, ale jest Hiszpanką, a nie Polką i już poprzednio dwukrotnie wygrywała ten coraz mniej miarodajny plebiscyt.

A ja mam poczucie déjà vu. Przecież my, Polacy, już to przerabialiśmy. Dziś nasza Ewa przegrywa z panną Alexią Putellas, bo tamta jest bardziej rozpoznawalna i zgarnęła więcej trofeów – jak pięć lat temu Robert Lewandowski w absolutnie niezasłużony sposób przegrał z Leo Messim. Wtedy Polak wygrał Bundesligę z FC Bayern, zdobył również Puchar Niemiec, a jego zespół triumfował w Lidze Mistrzów. Przede wszystkim jednak Polak był królem strzelców we wszystkich tych rozgrywkach! Analogia jest absolutnie oczywista. W tym roku naszej rodaczce nie wystarczyło, że w finale championship strzeliła dwa gole, miała także asystę i została wybrana na MVP meczu. W całej Lidze Mistrzyń zdobyła jedenaście goli, więcej od wszystkich piłkarek, ale też znalazła się w oficjalnej jedenastce LM na koniec sezonu 2025/2026. W zakończonym sezonie Polka była najlepsza, ale nie w kabarecie francuskiego tygodnika.

Wypisz, wymaluj jak w sezonie 2020/2021, gdy „Lewy" wygrał wszystko w rozgrywkach ligowych i na Starym Kontynencie, a Messi ledwie Copa América, przegrywając rywalizację z Polakiem w Lidze Mistrzów: zarówno klubową, jak i pod względem liczby goli. Nasz rodak wtedy prowadził w klasyfikacji do ostatniego dnia, a o wygranej Argentyńczyka zdecydowały egzotyczne, małe kraje, które głosowały na dotychczasową popularność piłkarza z Ameryki Łacińskiej, a nie na realne dokonania w sezonie sportowca znad Wisły.

Robert Lewandowski i Ewa Pajor (w kolejności chronologicznej) urodzili się jako Polacy i dlatego nie wygrali Złotej Piłki. Nasz najlepszy strzelec w historii reprezentacji Biało-Czerwonych (92 bramki w 170 występach) – gdyby piłkarski świat był sprawiedliwy – powinien wygrać plebiscyt „France Football" dwa razy, bo przecież w sezonie 2019/2020 ów plebiscyt odwołano pod pretekstem COVID-19, chociaż ligi grały. Zawodnicy strzelali wówczas bramki, zdobywali tytuły, ale Francuzom to nie wystarczyło.

Trudno być Polakiem.

eprasa.pl a3944fb8dc



OD A DO ZYBERTOWICZA

Państwo jakoś działa

Wbrew nadużyciom semantycznym, wbrew codziennym, językowym manipulacjom, wbrew infoprzeciążeniu sporo słów nadal zachowuje swoje znaczenie

To był poniedziałek. 19 października 2026 r. Po południu wybrałem się na Forum Idee dla Polski zorganizowane przez Instytut Sobieskiego. Ważna i dobrze przygotowana konferencja. Jednak zazgrzytało mi hasło przyświecające Forum: „Nowy system operacyjny dla Polski: państwo, które działa".

Przypomniałem sobie swój niedawny spór z pewnym dość wpływowym polskim biznesmenem, który w dyskusji o sposobach naprawy naszego kraju raz po raz podkreślał, że polskie państwo nie działa. Z trudem go przekonywałem, że w istocie, choć dzisiaj państwo funkcjonuje znacznie poniżej naszych ambicji, z nazbyt licznymi ułomnościami, to jednak działa. Jego podstawowe funkcje są bowiem realizowane.

Że działa infrastruktura energetyczna i transportowa, że po ulicach chodzimy w zasadzie bezpiecznie, że bezpiecznie się czujemy w swoich domach, że pensje są wypłacane. Że wreszcie – choć tego argumentu w sporze nie użyłem – zasoby biznesowe tegoż przedsiębiorcy są chronione przez prawo własności. To wszystko jest niebagatelne, chociaż brzmi raczej minimalistycznie.

Powinniśmy więc mówić, że państwo działa mało sprawnie, głównie reaktywnie, daleko poniżej naszych oczekiwań i obecnych wyzwań.

SŁOWA MAJĄ ZNACZENIE

Tak, nadal mają. Wbrew wszelkim nadużyciom semantycznym, wbrew codziennym, językowym manipulacjom, wbrew infoprzeciążeniu powodującemu, że coraz słabiej rozumiemy, jak działa dzisiejszy świat – sporo słów nadal zachowuje swoje znaczenie.

A od nas zależy, jak daleko zajdzie niszczenie języka i komunikacji społecznej.

„CIEPŁA WODA W KRANIE"

Koncepcja „ciepłej wody w kranie" to znak rozpoznawczy rządów Donalda Tuska w latach 2007–2015. To metafora strategii politycznej nastawionej na zapewnienie obywatelom podstawowego komfortu życia przy jednoczesnym unikaniu ideologicznych reform i wielkich wizji. Oto jej krótka definicja.

Pragmatyzm zamiast ideologii: Rząd miał się skupiać na zarządzaniu państwem w sposób technokratyczny, a nie na realizacji ambitnych projektów rozwojowych.

Stabilizacja i unikanie ryzyka: Chodziło o utrzymanie spokoju społecznego i gospodarczego. Wielkie reformy postrzegano jako potencjalnie destabilizujące, zatem niebezpieczne.

Zaspokajanie bieżących potrzeb: Priorytetem było dostarczanie podstawowych usług publicznych, które miały zapewnić poczucie bezpieczeństwa. Stąd metafora „ciepłej wody".

Reaktywność zamiast proaktywności: Władza miała reagować głównie wtedy, gdy pojawiał się konkretny problem („gdy się pali, gdy się wali"), a nie z wyprzedzeniem kreować przyszłość.

A to, że za kulisami polityki „ciepłej wody" w najlepsze, podobnie zresztą jak dzisiaj, rozwijała się korupcja, było jednym z kosztów płaconych za przyzwolenie Polaków na taki styl rządzenia.

AMBITNIEJ

Rozumiem, że o ile kiedyś „ciepła woda w kranie" była strategią przetrwania i minimalizacji ryzyka, o tyle dziś państwo jedynie ledwo nadąża. A „nowy system operacyjny" postulowany przez Instytut Sobieskiego to próba zdefiniowania ambitniejszej podmiotowości.

Hasło z konferencji odczytuję jako diagnozę, że dotychczasowy „system operacyjny" uległ zużyciu i nie jest w stanie sprostać wyzwaniom kolejnej dekady.

Byłbym jednak rad, gdyby tak ważne wydarzenie jak Forum Idee dla Polski odbywało się pod nieco bardziej adekwatnie sformułowanym hasłem. Wiem, wiem. To mój nauczycielski nawyk – raz po raz czepiam się słów. Przez dekady na UMK w Toruniu uczyłem metodologii nauk społecznych i domagałem się od studentów, by wyrażali się tak precyzyjnie, jak to możliwe.

Jednak nie chodzi tylko o instynkt belfra.

Formuły typu państwo „nie działa", państwo „z kartonu" czy „z dykty" cechuje coś więcej niż jedynie przesada. Obserwuję, że dla wielu ludzi, w tym młodych, takie słowa na temat polskiego państwa to krok od odwrócenia się od naszej polskiej wspólnoty, a nawet gardzenia nią. Dwa lata temu pisał o tym Rafał Woś w „Tygodniku Solidarność".

Wystrzegajmy się retoryki totalnej negacji. Raczej stosujmy taką krytykę, która otwiera drogę do naprawy. Rozważmy formułę „od ciepłej wody do państwa ambitnie nowoczesnego".

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl a3944fb8dc

wPolsce24

Fakty bez chaosu.
Podsumowania, na które czekasz

RAPORT
Wiadomości

Od poniedziałku do piątku
o 12:00 i 15:00



Zabieram widzów w samo serce
najważniejszych wydarzeń
i gwarantuję trafne komentarze

Jacek Łęski

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	202	631	43	459	EPG 825, EPG PON 257	YouTube
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	T	TOYA	evio	inea	multiMedia	TelewizjawPolsce24

eprasa.pl a3944fb8dc

wPolsce24

NIE DAMY SIĘ OKRAŚĆ!



Jacek Karnowski,
redaktor naczelny
telewizji wPolsce24

WALCZYMY Z UKŁADEM,

który decyduje,
co Polacy mają oglądać

WSPIERAJ
wPolsce24

wesprzyj.wPolsce24.tv

numer konta FRATRIA S.A.: **69 1020 4900 0000 8202 3036 2577**
tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO